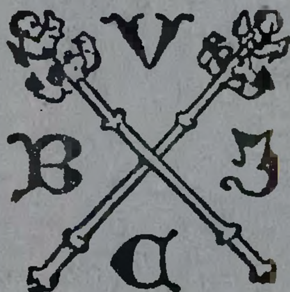
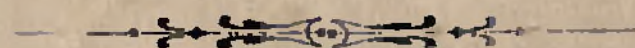



V
B
I
C

Stefan Żeromski.

OPOWIADANIA.



WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.

1895.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Сентября 1894 года.

Warszawa. Drukiem Emila Skiwskiego.

ZAPOMNIENIE.

Zapowiedzieliśmy gajowemu Lalewiczowi że nazajutrz przed świtem będziemy u niego skąd ma nas poprowadzić na młode kaczki — „klapaki“—do jemu tylko wiadomego smugu nad stawem.

Słowo się rzekło, — trzeba było wstać przed drugą w nocy, naciągnąć długie buty i iść. Idziemy tedy z panem Alfredem, papierosy palimy, gwarzymy od niechcenia... Idziemy twardą ścieżką między zbożami. Zgięte już ku ziemi kłosy okwitłego żyta do twarzy nam niemal dostają,—na każdym z nich wiszą ogromne krople rosy. Z rozkoszą przesuwasz rękę po mokrych kłosach i pozwalasz, by cię biły po twarzy. Pachnie zboże...

Czasami pociąga od Wisły nie to wiatr, lecz zdrowy chłód, niby wilgotny oddech ziemi, ukrytej w nocy. Nie porusza on ścian

zboża, lecz je głaska, dotyka ustami, jak pocałunek. Wtedy kłosy leniwo, przez sen, tłuką się o siebie i cichy szmer przechodzi zbożem. Strząśnięte krople zlatują z łuski kłosów, przypadają do kolan ich, z kurzu zzutych, i wiszą tam do świtu. Z bardzo daleka, z głębi olszyn nad rzeczką, dolatuje odgłos pieśni słowika. Leci po rosie tkliwe nawoływanie: przyjdź, przyjdź, przyjdź!... i niewysłuchane cichnie między trawami. Nastaje cisza długa, póki nie wypłynie z niej staccato ekstatycznej, gwałtownej, namiętnej, nerwowej, upajającej miłosnej pieśni. I ta zacichnie w rosach dalekich... Wtedy zadumane olszyny słuchają urwanych, radosnych wybuchów głosu, podobnych do pocałunków. Ale nie czas nam słuchać Szopena-olszyny.

Wkraczamy już na szerokie łąki. Nad lasem ciemność się zmniejsza, — nie rozprasza się jeszcze, lecz rzednie. Jest tam niby łuna dogasającego pastuszego ogniska. Obok nas ciemno tak jeszcze, że ledwo możemy dojrzeć wyżła Puka, o dwa kroki biegnącego przed nami. Zbliżamy się, brnąc po wysokiej trawie, do lasu i idziemy jego brzegiem po wrzosach, potykając się na kretowiskach i krzaczkach jałowcu. Derkacze skrzeczą na przemiany w łąkach, gdzieś daleko odzywa się pierwsza prze-

piórka i melodyjny jej głos odbija się w lesie. Weselej iść w ciemności z jej wołaniem: — pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!...

Jak woda przypływają i otaczają nas zimne fale leśnego chłodu, złączonego z zapachem poziomek, jałowcu, młodej wikliny, smoły sosnowej, z całym tym niedającym się opisać, wilgotnym, gęstym, duszącym aż, a tak zdrowym zapachem lasu, ukrytego w mgłach porannych. Pachnie, jak bukiet.

Blado-niebieskie niebo zaczyna wreszcie przeświecać między gałęziami sosen. Zdaje się, że eter przejrzysty napełnia las. Nieruchomo, bezwładnie, jakby pogrążone w znużeniu, leżą w powietrzu zwieszone ku ziemi gałęzie sosen. Kontury ich i kontury grubych, w burych sukmanach pni sosnowych odkreślają się już, a jednak toną w niebieskości, jak ryby w wodzie, plamami są w jednym wielkim kolorze, rozpływają się w tym żywiole, w szarym przedświcie. Dostrzedz już można mgły nad łąkami i pod niezmiernie ostrym kątem padający na nie cień lasu. I odbywa się w oczach zawzięta walka, bój nad boje, cienia ze światłem, odbywa się szybko, niepostrzeżenie, jak uciekanie czasu. Przesuwają się wszystkie fazy napaści, osłabienia, pogromu... Każda ma miarę czasu, ma trwanie, żyje, wysila się, walczy,

umiera, a tem straszliwiej, że bez wrzasku, bez odgłosu. Aż wreszcie cień poczyna ustępować. Jest taka minuta przed wschodem słońca, gdy zlatuje w głąb' krzaków jałowcu i rokicin, przypada na twarz w trawy, chyłkiem idzie między badyłami, rowami i brózdami, zbliża się do lasu, wreszcie na łeb na szyję doń ucieka, aby tam usiąść pod osłoną sosen, oddychać nocą i patrzeć z wściekłością na bielejące pola. Od tej minuty głośniej krzyczą derkacze, zaczynają wołać przeciągle swoje „ku-wyk“ czajki, i, jak chłop pracowity, wstaje śpiewać hymn pracy serdeczny brat roli — skowronek.

Drożyna nasza zarosła trawą, poprzerzynana wyschniętemi kałużami i korzeniami drzew, wybiega czasami na łąkę, by znowu ku lasowi zawrócić. Gdy, stosując się do jej kaprysów, wyjdziemy z lasu, bierzemy oddalone krzaki za pasące się konie, zbliżamy się ku nim z ostrożnością nadzwyczajną po to chyba, by je kopnąć nogą ze źle tajoną złością, gdy się okażą w całej swej niewinności, rosą białą od stóp do głów, jak komżą, okryte.

Nareszcie purpurowym płomieniem zapala się zorza nad lasem. Złoto-ponsowymi brzeżkami otaczają się białe chmurki, leżące na niebie, jak plamy od bezmyślnych pociągnięć pędzlem na nieczaczętym obrazie. Zdaje się, że

jakaś ręka szybko ściąga z widnokręgu oponę czarną i ostatek ciemności wsiąka w ziemię. Wstają wsie z ich wysokiemi topolami, co się w świtaniu niebieskiemi wydają, kępy drzew, drogi, pola uśmiechnięte i dalekie, dalekie smugi lasów granatowych, jak ogromne, zastygłe fale.

Zbliżyliśmy się właśnie do „gajówki“ Lalewicza, stojącej między chojakami na wydmuchu piaszczystym.

Lalewicz siedział już na progu. Gdyśmy podeszli, zerwał się strasznie szybko, czapkę z zielonym lampasem miętosił w garści i kłaniał się, trzaskając obcasami po oficersku. Jest to okrągły, podobny do obcasa człowieczek, z tłustą twarzą, uśmiechającą się zabawnie, jakby wszystkie zęby miał trzonowe.

— Lalewicz, kaczki będą?—zagadnął pan Alfred.

— Chmary, jaśnie panie, chmaaary!

— No, to jazda! Prowadź.

Zapaliliśmy papierosy, przełożyliśmy lankastrówki z lewych ramion na prawe—i jazda! Lalewicz maszerował przodem, ja na ostatku. Mgły bielusieńkie kłębią się, kotłują na miejscu, przewalają, jak słupy dymu. Wierzchołki drzew i wikliny dają się widzieć czasami z głębi mgieł, jak czarne plamy, i giną znowu. Na

białej jak mleko rosie ciemno-zielonymi, prawie czarnymi pasami znaczą się ślady naszych butów.

— Piękności będzie dzień! — wypalił Lalewicz, pragnąc widocznie dla samej przyzwoitości coś mówić.

— Uhm! — mruknął pan Alfred.

Nagle Lalewicz stanął i przykucnął nawet.

— Ehe-hej! ptaszek! — wyszeptał, wpatrując się w ziemię. Na mokrej trawie znać było świeży, w kierunku lasu idący ślad wozu.

— Deski, jaśnie panie, deski z pod tartaka kradnie — wyszeptał z przekonaniem i z pewnem aż zatkaniem w gardle.

— Chodźmy, a cichuteńko — wyszeptaliśmy prawie jednocześnie i wkroczyliśmy w las za śladem.

Podkradłszy się pod porębę, Lalewicza wysłaliśmy na zwiady, sami zaś usiedliśmy w cieniu. Wyszedł na polanę, między pniaki, jak lis; uśmiechnął się, nie przysiągłbym nawet, czy się nie oblizał—i kiwnął na nas palcem.

Podeszliśmy: w zaroślach leszczyny stał wóz z zaprzężoną doń szkapiną. Wóz był mały, z niezmiernie wyschniętemi szprychami w kołach. „Przewodek“ z „pośladkiem“ połączony był tylko „rozworą,“ a na osiach leżały „rycz-

many“ z wysokiemi kłonicami. Po prawej stronie dyszla stała kobylina, przywiązana do orczyków odwiecznymi postronkami. Były one prawdopodobnie w równym z nią wieku. Chomąto bez „podkładu“ wytarło jej szyję z szerści, „obladry“ drewniane wytarły boki, stare wędzidło wygryzło wargi. Chomąto zsunęło się jej z kłębu na uszy, gdyż spuściła łeb, i przekrzywiając a przymrużając z wyrazem nieopisanego pesymizmu oczy, szczypała trawę. Muchy i bąki siadały na jej szyi, gryzły ostry jak piła grzbiet, ssały pod brzuchem, właziły w oczy — nie raczyła ich zegnać; i jeżeli machnęła ogonem, to tak sobie odruchowo, dla zwyczaju.

Marna skóra wisiała na niej, jak sakpalto na szkielecie; zerwane nogi ledwo podtrzymywały ciężar kości; nie zwróciła na nas najmniejszej, nawet przelotnej uwagi, pomimo że Lalewicz „penetrował“ już koło naszelnika, oglądał postronek, okręcony o kłonicę i pełniący obowiązki lejców. Kazali jej tu stać — to stoi; zdejmą skórę—niech zdejmują...

— Bogaty, psia-kość, moderunek! — mruknął gajowy.—Żeby choć krzta rzemienia... Powrózek na powrózku — dodał z żalem.

Usiedliśmy pod sosną w oczekiwaniu. Lalewicz z za krzaka główkę wysunął, mruga

oczkami i uśmiecha się: — dostrzegł go już, Wicka Obalę.

Idzie Obala cichaczem, chyłkiem, między krzakami, niosąc na ramieniu cztery deski. Ogląda się, nasłuchuje, czasem przysiądzie i miga się między zaroślami jego czerwona magiera.

— Czterocalówki — szepce nam za uchem gajowy tajemniczo, jak na spowiedzi.

Dopada do nas Obala, ma już złożyć na wozie deski i umykać, — aż tu wyrasta przed nim, jak z pod ziemi, Lalewicz, kłania się i powiada:

— Bon-dziur, Obala...

Chłop cisnął deski na ziemię, splunął nieznacznie i stoi. Było pewnego rodzaju podobieństwo między nim i jego kobyłą. Chudy, wyschnięty, wywiędły, sczerniały, nizki, z niebywale szerokiemi i wypukłemi plecami—robił wrażenie jakiegoś narzędzia do podważania ciężarów, czegoś w rodzaju dźwigni...

Z pod olbrzymiej jak poduszka, czerwonej magiery wysuwały się włosy długie, bez połysku, nieczesane od dawna, bo wisiały w nich źdźbła słomy i siana. Miał na sobie dwa kawały płótna: koszulę do kolan zgrzebną w kształcie spódnicy, pod szyją na czerwoną tasiemkę zawiązaną i przepasaną na biodrach

pasikiem; z pod koszuli do kostek sięgały spodnie takież zgrzebne, takie stare, takie czarne i tak podarte, że, patrząc na nie, doznawało się chęci wołania w niebogłosy: dawajcie, Obala, wasze spodnie na wystawę paryską, dawajcie; niech wie cywilizacya, że i wy produkujecie rzeczy wygody w miarę sił i środków!—Kolana miał zgięte raz na zawsze, jak konik polny, i na tych kolanach dziury w spodniach, nie wskutek rozdarcia powstałe, ale wytarte, okrągłe, jak od wypalenia. Patrzałem na jego nogi wielkie, przerosłe gnojem, czarne, z wykrzywionymi palcami, z paznogciami jak u zwierzęcia, z piętami spłaszczonemi i wypchniętemi w tył, i doszedłem do przekonania, że cywilizacya nie zaniosła do chałupy Obali ani jednej jeszcze pary butów.

A twarz nie była brzydką: — zwykła chłopska twarz, niby wykuta z piaskowca przez początkującego rzeźbiarza, bezmyślnie zimna i spokojna, iście dżentelmeńska, niczem nieporuszona twarz. Od nosa zbiegały ku brodzie dwie zmarszczki głębokie, w których skóra bledszą była cokolwiek niż na twarzy i szyi, czarnych od opalenia.

Podnieśliśmy się z ziemi—i wtedy nas dopiero Obala dojrzał. Ściągnął z głowy magierę, odgarnął garścią włosy z czoła, i kłaniając się nam, palnął w ziemię magierą.

— Pochwalony Jezus Chrystus!—powiada.

— A na wieki, na wieki, mój bracie! — rzekł pan Alfred.—Chwalisz ładnie Pana Boga...

Chłop nic. Patrzy na nas od niechcenia. Czeka.

Pan Alfred usiadł obok niego na pniaku i mówi:

— Mój Obala... bo Obala się nazywasz, prawda?... otóż, mój Obala, ładnie to jest, żebyś ty w biały dzień szedł do cudzego lasu i tak sobie bez żenady brał coć się podoba? Powiedz-że mi: ładnie to jest? I kary się boskiej nie boisz i tego... No, i jakże tu ciebie uważać za sąsiada, za obywatela, za, że tak powiem, brata?...

— Doprosom się łaski...

— Dajże pokój, proszę cię, dajże pokój. Pójdziesz za te deski do kryminału, bo ja tu od was niedługo z kijkiembym wyszedł. Uważasz mię?...

— Uwazom, jaśnie panie.

Podczas gdy Obala „uważał,“ Lalewicz przysunął się do niego nieznacznie i tak go zgrabnie jakoś chwycił za czuprynę, że chłop ani się spostrzegł. Za chwilę miałem sposobność obserwowania przebiegu operacyi tak zwanego „bicia w mordę.“ Prawą pięścią Lalewicz bił, lewą trzymał Obalę za czub. Chłop od

czasu do czasu odganiał go ręką, jak komara, mówiąc doń spokojnie:

— Odydź, Lalewic, odydź...

— Między oczy! — rzekł pan Alfred, częstując mię papierosem i zapaloną szwedzką zapałką.

„Dał“ mu Lalewicz między oczy, dał w zęby, w nos, w gardziel raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty... Zobaczyłem krew, sączącą się cienką strugą z nosa chłopa. Lalewicz bije precz, aż podskakuje... Wreszcie daje się słyszeć przejmujący, okrutny, wstrętny, obrzydliwy płacz człowieka mordowanego i nagle zakrzywione palce wpijają się w gardło gajowego. Zerwał się wtedy pan Alfred i dał Obali jedno uderzenie, tak zwane „durch,“ gdzieś w brodę — takie, że, jak to mówią, nakrył się nogami i jak kamień wpadł w krzaki. Trochę go tam jeszcze obcasami poszturchał gajowy i wrócił do nas spocony i zarumieniony.

Chłop wstał niebawem, krwią plując i usta ocierając rękawem koszuli. Okazało się, że nawet pięciu palców, jakie tradycya na policzku „zamalowanego“ mieć chce, nie było... Wypluł się, wysapał, otarł podbite oczy i zaczął odmotywać postronek z kłonicy.

— Lalewicz, pójdziesz mi w południe do pana Biedermana i poprosisz o napisanie skargi

na Obalę o kradzież desek — rzekł uroczyście pan Alfred.

Chłop „podjął“ pod nogi dziedzica.

— Doprosom się łaski, jaśnie dziedzicu... daruj mi une deski.

— Dzisz go, „psiandsza!“ (psia dusza)... amator!—zapiszczał gajowy.

— Daruj, jaśnie panie!

— Dlaczegóż to mam ci darować, mój Obala?

— Pierwszy i ostatni raz, jaśnie panie... Ni razickum tu nie beł i nie będę... Trumnę przecie trza zbić, a tu głód taki, co „okez.“

— Jaką trumnę?

— Lo chłopoka. Syn mi niby pomar, Wojtek.

— A więc kradniesz? Na trumnę nawet kradniesz? Pomyśl tylko, jakiś ty łajdak...

— A i skądże wezne? skąd wezne?—zapytał dziwnie szybko i tupiąc śmiesznie nogami. — Tu pochowek, dobrodziejowi pięć rubli, pokładne rubel, a my oba już miesiąc zimioka nie widzimy. Daruj, jaśnie panie, smiełuj się...

— Zobaczę, mój Obala, czy prawdę mówisz, czy ci umarł syn rzeczywiście. Prowadź nas.

Wrzucił chłop deski na wóz, zaciął szkapę i ruszyliśmy. Obala ciężko szedł przodem obok

szkapy, szeroko rozstawił nogi i zacinał ją cochwila.

Obydwoje potykali się jakoś...

Wyszliśmy znowu na łąki. Przecudowny, jaśnie-wielmożny, urągający wszelkiemu opisowi puklerz słońca wyszedł nad szczyty lasów. Mgły przejrzystymi obłokami unosiły się w niebo—rosa tylko jeszcze, jak obrus biały, leżała na łąkach.

Mała wioseczka tuliła się niedaleko do ściany parowu. Chałupa Obali świeżo zbudowaną była, brakowało jej poszycia nad lewą połową, podwórze było nieogrodzone, a o kilka kroków wznosiła się mała stodółka, połączona ze stajnią.

— Gdzież umarły? — zapytaliśmy, zatrzymawszy się nad brzegiem gnojówki, zajmującej połowę podwórza.

— W stodolinie leży.

— Tyś żonaty?

— Nie... „gdowiec.“

— Prowadź-no do umarłego, pokaż-no go.

Poszedł przodem Obala swym niedźwiedzim krokiem, otworzył wrótnię i wpuścił nas do wnętrza małej i pustej stodółki. W jednem zapolu leżała trocha skoszonego siana na suchych chróstach, — na klepisku zaś, na rozpostartym snopku kłoci, leżał rozciągnięty trup

piętnastoletniego chłopaka. W szczycie stodoły wesoło świegotały na gniazdach wróble.

Chłopak taki sam był „chuderlawy“ jak ojciec, takież miał czarne nogi i spłaszczone pięty; włosy tylko miał uczesane, twarz umytą. W złożonych pobożnie rękach o kolorze ziemi trzymał krzyżyk, wystrugany z patyka. Słupami unosiły się nad nim komary i muchy, siadały na twarzy, wsysały się w kąciki ust. Poszedł Obala z gałęzią, aby je zegnać. Gdy wracał znowu do nas, miał oczy bez blasku, podobne do płynu nalanego pod powieki.

— Na cóż umarł? — zapytał pan Alfred, zabierając się do wyjścia.

— A kto go ta wie? Ścisnęło, i pokój.

— Jednym psubratem mniej! — rozśmiał się do nas gajowy.

Podniósł na niego oczy Obala i dziwny blask żółty zamigotał w nich na minutę.

— Masz więcej dzieci?

— Nie, jaśnie panie; jedynak beł u mnie... jedynak...

Piorun żalu musiał w serce go uderzyć, gdy mówił ten wyraz—tak go dziwnie wymówił. Podparł potem głowę na pięści, rozstawił nogi i patrzał do obłędu smutnym wzrokiem, wzrokiem, co nic nie wyraża, podobnym do szeroko otwartej rany. Patrzał, patrzał

i nagle wsunął rękę w kudłate swe włosy i z całej mocy je szarpnął.

Za chwilę był już spokojny, taki sam zimny; z wyrazem tępej zapobiegliwości w oczach zaczął wynosić z zapola „kobylicę,“ siekierę, „olśnik,“ piłkę, sznur ciesielski, „lubrykę,“ rozmąconą w skorupce, i zabierał się do roboty trumny.

— Pomoglibyście a-to, Ignacy...—wymówił prosząco, zwracając się do gajowego.

— Ii... pszeł, głupi! Akurat tu z tobą będę... Przyznaj się lepiej jaśnie panu, jakeście to żyto łuskali. To to psiarstwo, jaśnie panie, na przednówku, na ten przykład teraz, to se idzie w pole i wyłuskuje, wyłuskuje nad ranem ten „mlicz“ z kłosków. Dopiero jak ma pełne „zajdy,“ to szast do chałupy i zupkę se taką gotują na mleku.

— A za tę dzisiejszą kradzież to, uważasz, skargę się poda. Jeśli zechcesz, możesz zagodzić się...

— A to już zapogódźwa się, jaśnie panie; odrobię...

— Ee... na odróbki ja się znowu nie godzę. Dasz cztery ruble i rubla na kościół, lub pójdziesz do kryminału. Namyśl się do jutra, to, uważasz, jutroby się dopiero skargę podało. Bądź zdrów, mój Obala...

Wyszliśmy. Pan Alfred szybko minął podwórze i wyszedł na drogę; ja przystanąłem za wrotami, aby podsłuchać rozmowę Lalewicza z chłopem—Lalewicz bowiem został jeszcze na chwilę w stodole. Wyjrzał, a dostrzegłszy, że pan Alfred daleko, odwrócił się do Obali i mówił nadzwyczaj szybko:

— Wincenty, nie bójcie się nic... przekabacę go... nic się nie bójcie... Ja tu zalecę z heblem, to wystrugamy trumienkę galento, ino pójdą do dom te jamniki. Zalecę tu, zalecę...

Wypadł tymczasem i, dogoniwszy dziedzica, dowodził mu o konieczności skarania Obali, lecz ponieważ ten Obala ma dwie morgowiny piachu lotnego, więc to nawet żadnej kary nie będzie dla niego, gdy pójdzie do kryminału. Kuty złodziej wyjdzie, i cała parada.

— Zobaczy się, zobaczy się; a zresztą nie nudź—zakonkludował wreszcie pan Alfred i kazał gajowemu „szorować“ przodem.

Wkrótce potem wchodzimy przez spróchniałe pogródki na olbrzymią groblę kilkunastomorgowego stawu. Tam otacza nas nagle nieopisany gwar ptaków. Piszczą żałośnie w trzcinach szpaki, kraczą kurki wodne, pogwizdują bekasy, huczą bąki, kwakają ukryte stada kaczek, smutnie pośpiewują rybitwy;

rytmicznie wyrzucając do lotu skrzydła, kołyszą się kulony, srokosze kują żelazo na gałązkach olszyn, a wysoko na gałęziach sosen edukują swe dzieci, obrzydliwie wrzeszcząc, wrony-matki.

Kazano mi pozostać na grobli w celu strzelania do kaczek „w lot,“ pan Alfred zaś i Lalewicz, okrążywszy staw dokoła, zniknęli mi z oczu.

Zdawało mi się, że mię opuszczają siły. Położyłem się na ziemi, z zamiarem niewstawania, choćby nastąpiło trzęsienie ziemi, lub nawet przejeżdżał powóz, pełen pięknych dam. Postanowiłem patrzeć, leżąc na wznak, na niebo, na kołyszące się wierzchołki sosen i olch, patrzeć, jak od środka stawu wzdyma się woda i fale uwieńczone pianą biegną do brzegu, by obryzgać tataraki w kształcie szabel, co przeginając się, przykładają do wody twarze i zdają się z zachwytu drżeć od tajemniczej, ledwie dosłyszalnej melodyi chlupania fal. Czasami od silniejszego podmuchu wiatru pochylały się wysmukłe pnie sosen i stawały się podobnemi do olbrzymich, cudacznych istot.

Wysoko przelatywały z krzykiem z drzewa na drzewo wrony, a czasami krzyk ich stawał się natarczywym, jak wołanie o pomoc.

Wpatrzyłem się dobrze i dostrzegłem przyczynę ich niepokoju.

Na jednej z najwyższych sosen siedział chłopak i długą tyczką spychał z gniazd młode pisklęta wron, nieumiejące jeszcze fruwać. Podniosłem się i dostrzegłem chłopaka, co siedział na ziemi i wyrzucone łapał. Co chwila czarne, obrzydliwe pisklę spada na ziemię, jak kamień. Jedne zdychają od razu, inne podnoszą jeszcze ogromne łby na nieopierzonej szyi i maszerują po trawie wielce zabawnie. Wtedy mały myśliwy dogania zbiegów, wołając:

— A kej ty idzies, fajtasiu, kej?...

Ujmuje go za skrzydło i uderza łbem o pień, lub i bez tego obrzyna mu nogi, które główny leśniczy kupuje po trzy grosze parę.

Matka-wrona miota się jak obłąkana, siada niemal na ramionach młodego śmiałka, czepia się dziobem jego kija, uczepi się gałązki tuż nad nim i bije głową, jak młotem, w pień, odgryza małe gałązki i kracze zachrypłym, wysilonym, przebrzydłym głosem rozpaczy. Gdy chłopak wyrzuci pisklę, rzuca się na ziemię z wlokącemi się skrzydłami, otwiera dziób, chce krakać — głosu nie ma, bije więc skrzydłami i skacze oszalała, śmieszna, do nóg chłopaka, jakby pierwsza ze swego rodu zrozu-

miała potrzebę samobójstwa. Gdy zabiją wszystkie jej dzieci, wzlatuje na drzewo, odwiedza puste gniazdo i, kręcąc się na niem wkoło, myśli nad czemś...

Położyłem się znowu na wznak. Cóż mię to obchodzi? Wiem, że tam gdzieś biją pioruny uczuć, na jakie my, ucywilizowani, mamy lekarstwo w samobójstwie...

...Pozazdrościłem Obali i wronie. Obydwoje oni szybko zapomną. Czemby się ugasiła ich piekielna, niezgruntowana, okrutna, nieświadoma boleść, jakby przepędzili dzisiejszą noc sami w pustych swych gniazdach, gdyby nie to boskie, nie to wspaniałe, dobrotliwe, najlepsze z praw przyrody—mądre prawo zapomnienia? Dla nich „żyć“ znaczy „zapomnieć“—i dobra przyroda pozwala im zapomnieć natychmiast...

Ach, jakże im zazdrościłem!...

DOKTOR PIOTR.

W pokoju pana Dominika Cedzyny ciemno i cicho, choć stary jegomość nie śpi. Oparłszy się plecami o poduszki, wpół leżąc na łóżku, zatopiony jest w dziwacznych myślach, do niebywałego ogromu podniesionych przez ciszę nocną. A noc jest cicha śmiertelnie. Światło księżycowe, przestrzeliwszy grubą warstwę szronu, co zabielił szyby niby wapno, stoi na powierzchniach starych gratów, dwu ścian, części sufitu i podłogi, bez ruchu, jakby z zimna skostniało, takie samo zapewne, jakie oświecać musi tej nocy kłody, gnijące na dnie wód, przywalonych lodem. W szparze szerokiego zapiecka odzywa się czasami świerszcz, w kącie pokoju kołace głucho stary zegar szafkowy, ostatni zabytek świetności minionej. Śpiew świerszcza i tępy szczęk wahadła sprawiają panu Dominikowi niejaką, trudną do określenia ulgę. Gdyby nie te dwa litościwe szmery, rozszarpałyby mu chyba serce tłok i burza uczuć

i odebrała rozum nawałnica ponurych myśli. Gdy z mrocznych kątów izby wychylać się poczną zmory bojaźni, gdy w sercu żarzyć się poczyna żal bezsilny i łzy okrutnego bólu palą powicki—świerszcz szepce głośniej, zupełnie jak gdyby wyraźnemi słowami, sylaba za sylabą, mówił: „Wzywaj Go w dzień utrapienia, a wyrwie cię i czcić Go będziesz.“ To dziwne zdanie, ta rada czy modlitwa utajona w szmerze robaczka nocy, jest jedynym i ostatnim punktem podparcia dla wytrąconych ze zwyczajnej kolei myśli samotnika

Kilkakrotnie zapalał świecę, sądząc, że go światło uspokoi. Daremnie. Skoro zatlił zapałkę, rzucał mu się w oczy list syna i przypominał, jakie i gdzie ta męka ma źródło. Teraz ogarnęła go chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w same ślepie, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci: zapuścić sondę wgłąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną — no, i niech tam wszystko jasne pioruny spalą!

Nałożył okulary, odsunął list za płomień i powoli, półgłosem czytać zaczął:

„Mój drogi ojcze! Ze wszystkich moich złotych marzeń dyabeł sobie fidybus ukręcił i zapalił nim cygaro. Chełpiłem się niegdyś

z moich zdolności do matematyki, oczy mi na wierzch wylaziły z pychy, gdy koleżkowie kpinkowali, że ja już w łonie matki, w randze sześciomiesięcznego embryona, oczekując chwili wydostania się na ten padół rachunku różniczkowego, rozwiązywałem z nudów algebraiczne zadanie o gońcach. Teraz przeklinam i te niby zdolności i te głupie rachunki. Gdybym był pasał krowy na wygonie, albo i same wieprzki... Ale co to pomoże w bawełnę obwijać! Awantura ma taki deseń: Mniej więcej przed trzema tygodniami prosi mnie do siebie profesor i daje do czytania list niejakiego Jonatana Mundsley'a, chemika, byłego profesora w jednym z uniwersytetów angielskich. Ten pan, porzuciwszy katedrę, urządził sobie laboratoryum prywatne i prosi naszego starego o wskazanie mu najzdolniejszego z pomiędzy asystentów naszej politechniki, chce bowiem takiemu facetowi powierzyć kierownictwo owej budy. Obiecuje płacić 200 franków miesięcznie, dać mieszkanie, wszelkie materyały, jakich chemiczna dusza zapragnie, opał i inne przyjemności — no i prawie zupełną swobodę w pracy. Gdym list przesylabizował, profesor odebrał go z rąk moich, złożył starannie, schował do szuflady, skrzywił się swoim zwyczajem i, podawszy mi flegmatycznie kończynę, usiadł

przy biurku i wetknął nos w papiery. Patrzałem z podziwieniem na jego łysy czerep, gdy ten stary niedojda mruknął:

— „Tam już napisałem... Należy wziąć ciepłe spodnie i wełniane skarpetki. Wiadoma rzecz... mgły... Miasto Hull nad morzem. Jeżeli brak panu pieniędzy, mogę pożyczyć trzysta franków bez procentu na trzy miesiące. Tak... tylko na trzy miesiące.

„Zrobiło mi się haniebnie głupio. Azaliż ja — myślałem, — wziąwszy na się postać najzdolniejszego między chemiki, pojadę w wełnianych skarpetkach nad morze, aż do miasta Hull? Czemu nie kogo innego spotyka takie zaszczytne wyróżnienie, taki los szczęśliwy? Bo to los! W pracowni Mundsley'a, bez troski o jutrzejszy obiad i dzisiejsze przyszczypki u butów, można pracować nie tylko nad zdobyciem nowych wiadomości, ale i zaspokajać wydłubane ze swego własnego mózgu hypotezy.

„Ta chemia ma swoje psie figle... Skoro człowiek raz w to błoto wlezie, jeżeli jeszcze powącha spraw niezbadanych, a wiecznie nęcących, porywa go taka przecież szewcka pasya odnajdywania nowych „prądzeń," że gotów i o wełnianych skarpetkach mniej dokładnie pamiętać. A zresztą, mój tatku, zobaczyć

Anglię, jej prawdziwie wielki przemysł, te cuda cywilizacyi, te kolosalne skoki ludzkiego geniuszu! Zabrałam się i poszedłem. Posiedziałem na Stapferwegu, a stamtąd, gnany niepokojem, ruszyłem na miasto. Zamiast wszakże zwołać publikę do Kropfa, gdzie tradycya surowo nakazuje oblewać wyjątkowe zdarzenia, puściłem się nad jezioro. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na drodze, prowadzącej do Westmünster. Ciemna mgła kąpała się we wzburzonych falach jeziora; rude, obdarte, poszczerbione zbocza i upłazy gór wynurzały się z niej kiedyniekiedy, niby fantastyczne wyspy; żałośnie krakały mewy, szybując nad samą wodą.

„A więc jadę — myślałem — do ziemi angielczyków ziemnowodnych, jadę nad morze, nad niedalekie i nieznane morze... Nadaremnie tak długo łudziłem się nadzieją, że pojadę w inne strony, że po ośmiu latach inny zobaczę krajobraz. Nadaremnie w ciągu ostatnich trzech lat wysłałem tyle strzelisto-rekomendowanych afektów do Łodzi, Zgierza i tym podobnych Pabianic, upraszając o posadę z płacą 40, 30, niech tam zresztą wszyscy dyabli — 25 rubli miesięcznie. Na próżno wynosiłem pod niebiosa moje talenty chemiczne, cytowałem moje patenty, obiecywałem wynaleźć nowe środki drukowania perkalów. Skompromito-

wałem się tylko w oczach własnych i świętej nauki. Tam żydkowie i niemczykowie wszystko już wynaleźli, zatkali wszystkie miejsca i popychają wielki przemysł. Rozwiały się marzenia o tem, że cię, mój staruszku, *mit pompe und parade* zabiorę do siebie, że posprawiamy sobie nowe przyodziewki (samych butów kozłowych z cholewami po dwie pary na chłopa), że naznosimy tytuniu, cukru, herbaty, kiełbas—licho wie zresztą czego,—że się będziemy wieczorami, jak ostatnie szewcy, zgrywać w domino i świętej pamięci Kozików wspominać... Eh, Kozików, Kozików!... Czy też ojciec pamięta ten wydmuch piaszczysty za naszym ogrodem, obrośnięty krzywemi sosnami i nizką, szorstką trawą? Sam nie wiem, czemu tak lubię myśleć o tej dziurze. Pamiętam raz... po długich i tęgich mrozach, po ciężkiej zimie, nastał pierwszy dzień ciepły, prawie upalny. Był to jeden z pierwszych dni marca. Około południa obnażył się niespodzianie ze śniegu szczyt owego wzgórza, wylazł ze skorupy i zaczerniał nad białym widnokręgiem, jak garb potworny. Stałem wtedy w oknie i wydawałem lekcyę korepetytorowi—pamięta go tatko? kudłatemu Kawicy. Coś mię kolnęło. Nie wiem, jakim sposobem wykręciłem się z lekcyi, wypadłem na dwór, zwołałem psy folwar-

czne i „co koń skoczy“ przez zagony, przez pastwisko, bez czapki!... Do dziś dnia mam w sercu tę chwilę, te uczucia, jakby to było wczoraj. Po igłach, gałęziach, po korze odziemków sosnowych spływały ogromne, brudne krople, ciężko kapały na zaspy i dziurawiły je na wskróś; każdy skostniały badyl, każdy pniak, kamień, każde drzewo, każdy przedmiot czarny wciągał w siebie, połykał wszystkiemi porami promienie słońca i stawał się w mgnieniu oka ogniskiem ciepła. Dokoła drzew, krzaków, suchych łodyg chwastu, dokoła kamieni i kołków drążyły się w oczach ogromne jamy i ukazywał w nich jasny, wiotki piasek. Każde jego ziarenko, nasycone ciepłem, zdawało się żarzyć i płonąć, szerzyło na zmarzniętych towarzyszów radosny ogień. Ziarnka piasku parzyły śnieg ze spodu, drzewa i krzaki chlustały nań ciepłemi kroplami; przykopy i zagony zdawały się dźwigać zdławione grzbiety. Z dalekich pól szedł gęsty opar, niby dym ciepły, migał się i przewalał nad równinami, a trząsł i połyskiwał nad wzgórzem.

„Stado wróbli wygrzewało się na gałęziach suchej wierzby i ćwierkało, jak na trwogę. Rozpuszczone, jak u indyków, ich skrzydła strzepywały z gałązek lód i osędzieliznę, dzioby kuły niecierpliwie w próchno, obwieszone

soplami. Zdawało mi się wtedy, że całe to stadko śpiewa jedną pieśń dziwną i nigdy niesłyszaną, przejmującą do szpiku kości. I popłynęły nareszcie pierwsze wody wiosenne, bujne, nagłe, gwałtowne, jak łzy niespodziewanego szczęścia. Sączyły się brózdami, żłobiły sobie głębokie łożyska w posiniałych kolejach, wyrzniętych przez sanice, lały się po wierzchu śniegowej skorupy, z cicha, radośnie szemrząc. W naszym strumieniu woda wezbrała, powstawały wiry huczące, odsłaniały się brzegi i spływała po nich, jak ropa, żółta, rzadka, rozmoczona glina. Pnie brzóz nadwodnych zanurzyły się w rzekę i ssały korzeniami tę wodę żywą...

„Wpadłem w szał: spuszczałem strumyki, ułatwiałem spadek wodospadom, kopałem kanały, stawiałem tamy... Cieszyłem się z głębi serca, że skostniałym badylom ciepło, że już żaden wróbel nie zmarznie, i wyciągałem po raz pierwszy w życiu dziecięce ramiona do tej wielkiej niewiadomej...

„Czy też to miejsce jest tam jeszcze? Pytanie godne głowy i pióra doktora Piotra Cedzyny — nieprawdaż? Ach, tak!... Człowiek, któremu odejmą strzaskaną rękę, czuje ciągły ból w próżni, równającej się długości ręki. Często budzę się po twardym śnie z tym nie-

ujętym bólem w próżni. Oto przyjdzie nowa wiosna... Zobaczę ją we mgłach, przydymionych sadzą fabryczną, — a zarówno tam, jak tutaj, będę niósł w sobie kły upiora, głęboko zapuszczone w duszę... I tak zawsze, bez końca...

„Zapomniałem, o czem właściwie chciałem ci napisać, mój stary, mój drogi stary... Jestem sam na świecie i ciebie mam tylko, jak drugą połowę siebie, jak oddartą i niezmiernie daleko uwięzioną połowę duszy. Nie gniewaj się, że piszę rzeczy nieciekawe—piszę, jakby do siebie... Gdym wtedy stał na brzegu jeziora, było mi strasznie podle. Wielkie, przezroczyste, jasno-zielone fale biegły z jakiegoś nieznanego miejsca, schowanego we mgle, trzepały się u brzegu, pękały, rozpłatane przez ostre kamienie, a każda, ześlizgując się w głębinę, zdało się, wzdychała: „Jesteś jak mrówka wychowana w lesie, gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie...“

Pan Dominik odrzuca list ze złością, i podparłszy brodę pięściami, siedzi nasrożony jak kania. Nie męczą go już teraz fantastyczne, bezprzedmiotowe rojenia, ale zato skupiają się i kojarzą logiczne, nie mniej bolesne myśli. Czemu taki koniec wzięło życie? gdzie przyczyna tych wszystkich wypadków? Dla-

czego jedyny syn nie słucha ani próśb, ani zaklęć, ani przedstawień, ani rozkazów, i zamiast się uniewinniać, pisze rzeczy sentymentalne, niezrozumiałe? Dlaczego nie powraca? Gdyby się tylko zjawił,—przy protekcyi, podeptawszy nieco, znalazłoby się dla niego doskonałe miejsce, posażną pannę... Dlaczego?—To rzecz jasna. Człowiek nie może żyć i pracować—odpowiada sobie pan Cedzyna,—jeśli któś nie żył przed nim i nie pracował dla niego. Ten któś—któż to jest? — Ojciec. Przez urodzenie ojciec nie daje jeszcze synowi życia—daje tylko obietnicę życia, wychowanie poczyna je, a dziedzictwo dopiero zapewnia i uzupełnia. Tu jest źródło konieczności dziedziczenia w rodzie ludzkim. Ono jest węzłem, co spaja pokolenia umierające z rodzącemi się, wypływa z tego, co jest niezbędne, we względzie potrzeby ciała, tworzy i uwiecznia rodzinę. Rodzina bez dziedzictwa jest stosunkiem niedorzecznym, bolesnym, jest męczarnią, narzuconą człowiekowi przez Opatrzność... Taką klątwę my na sobie dźwigamy z Piotrusiem! Dziedzictwo dopiero jest znamieniem człowieczeństwa; przez nie, razem z owocami pracy, pozostawia synowi ojciec owoce swych wrażeń, pojęć, rozwagi, odkryć i domysłów, wszystkiego słowem, co mógł

nabyć długoletniem doświadczeniem. Syn od punktu, w którym się ojciec zatrzymał, postępuje i sięga dalej na drodze bogactwa inteligencyi,—a tym porządkiem praca przechodzi z rąk do rąk, gromadzi się, rozwija, opiera jedna na drugiej i formuje piedestał, na którym wznosi się coraz wyżej... cywilizacya. W rosnącym postępie społeczeństwa jeżeli kto raz utraci wątek, już go niepodobna pochwycić—i jeżeli ojciec był niedołężnym w pracy, syn cierpi za winy niepopełnione, a nieszczęście z krwią się przekazuje. Dziedzictwo trzyma dzieci w obrębie progów do mowych i zaspokaja ostatnią i dlatego może tak wielką i gwałtowną namiętność starości, namiętność obcowania z potomkami...

— Ja to wszystko straciłem — szepce pan Dominik, ściskając sobie skronie—i straciłem na zawsze! Głos starości woła na mnie o ducha i krew, a ja jestem jak rzeźbiarz, od którego żądają w terminie skończonego posągu, podczas gdy on, prócz idealnego w duszy obrazu, nie ma ani garści gliny. Osiemnastoletniego wyrostka puściłem bez grosza, samopas za granicę... cóż dziwnego, że wyrósł na obcego mym wyobrażeniom, na nowożytnego człowieka. Czem-że ja go przyciągnę? Miłością, śmiertelną tęsknotą?... Co nas łączy?

Nazwisko chyba, które on po nowomodnemu lekceważy sobie. To nowoczesny człowiek: uczyni ze sobą, co chce i jak chce. Za moich czasów syn był w ręku ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi. Nie zasmucił ojca, bo wisiało nad nim twarde i mocne, nie pisane prawo. Teraz ono rozwiązane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Śpieszą po twardym gościńcu, w skwarze i znużeniu— zdaje im się bowiem, że na najbliższem wzgórzu tej drogi leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska, pokazując, że ta nadzieja czczem jest mamidłem. Ich nic nie wstrzyma, to też w duszach ich niema „miękkich włókien“ czułości. Słabych i nikczemnych mieli ojców! Ach, wielka nasza wina!... ale czyż nasza tylko? My, członkowie szeroko rozpostartej rodziny szlacheckiej, stanowiliśmy odrębną społeczność, byliśmy cennem zbożem, rosnącem na pocie tłumu, jak na nawozie. Czy nie tworzyliśmy postępu, nie piastowali cywilizacyi, nie rozwijali prawidłowo naszej myśli? Duch czasu wsiał nas w gminy, jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiał w pole nędz-

nej wyki. Rozbiliśmy się na jednostki, zwyrodnieli i zgoła znikli. Cóż z tego, że ja przystosowałem się, że poszedłem na służbę do pierwszego lepszego bękarta losu, do syna jakiegoś przekupnia, do parweniusza, który rozmaitemi protekcyami, stypendyami z lewej ręki, pokornem całowaniem mankietów doszedł do dyplomu inżyniera i możności zgarniania pieniędzy na torach kolejowych? Co z tego, że wyłamałem ze stawów moje harde myślenie z takim trudem, jakbym wyłamywał kości,—że nauczyłem się zginać kark i pracować, jak ostatni z moich niegdyś parobków? Co z tego, że, zdławiwszy w sobie obrzydzenie, wsiadłem na karuzelę pojęć nowoczesnych? Nie przestałem być sobą i nie zostałem mieszczuchem. Co stokroć gorsza, nie rozumiem mego syna, nigdy nie będę jego przyjacielem, nigdy nie będę godnym jego współczucia, jego, co jest jedyną na całym szerokim świecie istotą z mojej krwi. I nic się już nie zdarzy w tem plugawem życiu, oprócz jednego wypadku godnego uwagi, oprócz śmierci. Piotruś pojedzie do Anglii. To znaczy, że gdy ja będę umierał, gdy ktoś litościwy wezwie go telegraficznie, on, przy największym pośpiechu, może przyjechać nazajutrz po moim pogrzebie. Po mojej nędznej śmierci... nigdy już nie

pomacam rękami jego włosów, ani nie usłyszę głosu. Zapomniałem, jak on mówi, i nie mogę sobie przypomnieć tego dźwięku. Ciągle się w czyjejś mowie odzywa, krąży mi koło uszu i ciągle zwodzi. Nigdy nie obejmę oczami jego postaci, jego męskich, szerokich ramion. Taki był wtedy chuderlawy, mizerny tego wieczora, kiedym go odprowadzał, nie przeczuwając, że na zawsze. Do końca będę nasłuchiwał, wyczekiwał jak głupi, do ostatniej minuty życia—i nadaremnie!...

W tej chwli stary szlachcic czuje znowu w sobie mroźne powiewy obawy.

— On zupełnie o mnie zapomni — szepce zbielałemi wargami.—Ani razu o mnie nie pomyśli... Ale co... nie pomyśli! On dobrowolnie, umyślnie zerwie, przestanie pisywać, zaprze się. Ogarną mu umysł jakieś wyobrażenia. Co to jest ojcostwo? zada sobie pytanie jakiś filozof nowoczesny. Nagromadzi dowodów i wykaże z oczywistością nieodpartą, że ojcostwo to złudzenie uczuć, to pewien nawyk moralny, który dla takich a takich przyczyn wytrzebićby z dusz ludzkich warto. Może nawet... o, rozpaczy!... będzie miał słuszność! Nie będzie wcale podły, ani głupi, tylko wykształcony. Nikt go za to nie skarze, nikt nawet nie obwini. Jakież jest na to prawo?

— Trzeba się ratować—mówi starzec, załamując ręce.

Zimny pot spływa mu z czoła, serce uderza twardem, głośnem, powolnem tętnem. Za pomocą siły ducha. mocnej a cienkiej, jakiejś, jaźni nagle skupionej i wyłamanej z głębi istoty moralnej, stara się zbadać swój rozum, podniecić go, wyćwiczyć i wyostrzyć do walki z sofizmatami syna.

— Ja cię nauczę, błaźnie, ja ci wytłómaczę, ja cię przekonam, że łżesz—mówi głuchym i twardym głosem.

Bolesny, natężony, bezowocny paroksyzm poznania podpowiada mu zdania cudaczne i plugawe. Starzec chwyta je i pomija, szuka innych i znowu tropi coraz nikczemniejsze myśli synowskie, zupełnie tak, jak ogar tropi ślady sarny podczas zamieci zimowej, gdy wicher je zwiewa.

— Chemia ma swoje psie figle... Dlatego leci na koniec świata. Cóż znaczy stary jakiś dziad, któremu los odbierał po kolei wszystko, aż do ostatniej szmaty odzieży i ostatniego złudzenia!

Wszystkiemi potęgami ojcowskiego serca klnie tę naukę. Jakaś umiejętność, coś, czego nie można ani zniweczyć, ani nawet nienawidzieć—porwało chłopca, jak śmierć.

— Oddaj mi go! — skamle—wypożycz na jeden dzień, na jeden dzień cały. Więcej nie chcę.

Gdzieś nieskończenie daleko, w zaspach śniegu, rozlega się świst przelatującego pociągu, nagły, przeszywający, jak wołanie na pomoc. Potem nastaje znowu głęboka cisza. Blask księżycowego światła zwolna się przysuwa do łóżka starca, który, zwinąwszy się w kłębek, miota się, płacze w tym ciemnym kącie i mruczy monotonną, żałosną swoją skargę.

Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył Instytut Komunikacyi w tym właśnie okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares, szepcząc: zagrabiaj, o piękny posągu!... Nie tylko tendencya pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły znienacka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i, czuwając, oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej, niż panny, ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego warszawskiego powroźnika, urocza córka którego pie-

lęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stronic z dzieła Buckle'a.

Pan Teodor urodził się w mieście Warszawie, bodaj że na Krochmalnej ulicy, gdzie ojciec jego skromny, ubogi, ale chędogi szynczek narożny utrzymywał. W latach pacholęcych bawił się mały Teoś wraz z czeredą młodszego i starszego rodzeństwa, że tak powiem, w rynsztoku, wybijał szyby sąsiadom starozakonnym i byłby był pozostał na zawsze w stanie barbarzyństwa, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność. Oto właścicielka domostwa, gdzie mieścił się instytut starego Bijaka, dama draśnięta zębem czasu oraz przedziwnie uczuciowa, dostała pewnego pięknego poranku celny strzał z procy, naciągniętej ręką małego urwipołcia. Kamień utkwił w samym koku i przyprawił podstarzałą pannę o kilka dni płaczu i cierpień moralnych.

Rozkazała przywołać do siebie Teosia, patrzała nań długo, a wreszcie rzekła:

— Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę.

Chłopiec był nadspodziewanie zdolny, w lot naukę w sztubie pochłonął i w sekrecie nawet przed zapijającym wszelkie sprawy Bijakiem zdał do gimnazyum. I tam szedł z nagrodami z klasy do klasy, cicho i skromnie. Opiekunce na imieniny pisał laurki, całował

kolana i ręce, a po jej śmierci musiał, sierotka, wiele nacałować mankietów, nim wreszcie zdał do Szkoły Głównej, ukończył wydział matematyczny i przy pomocy tych i tamtych dostał się do Instytutu.

Wszystko to gładko mu poszło. Nie będę opiewał wszystkich jego promocyi, przygód, zachodów, zmian sposobu myślenia i miejsc pobytu—dość będzie, gdy powiem, że budował wiele pięknych mostów, dużych dworców, wielką ilość dystansów — i że, nim upłynęło lat dziesięć od ukończenia studyów, posąg nasz miał już kilkadziesiąt tysięcy rubli, ulokowanych bezpiecznie i świetnie. Do posad przy eksploatacyi nie kwapił się, wolał zawsze trzymać z grubemi rybami i asystować przy budowie dróg nowych. Pieniądze płynęły do jego kieszeni szerokiem łożyskiem: drobna niejednokrotnie usługa, słówko zgrabnie pochlebne, dzielna, niewinna na pozór operacyjka, co więcej, szczęśliwy dowcip warszawski—napełniały na nowo pugilares, po jakiejś inżynierskiej bachanalijce chwilowo opróżniony. Nie mówię o rezultatach głęboko i systematycznie obmyślanych planów działania.

Wśród uśmiechów losu inżynier nasz, wyznać trzeba, nie zapomniał o ubogiej familii z Krochmalnej ulicy. Prowadzał za sobą ko-

hortę nie tylko braci, ale bliższych i dalszych kuzynów, z których każdy już po tygodniu operowania pod okiem dobroczyńcy chadzał przy zegarku i rujnował się na modne haweloki. Na południowem wybrzeżu Krymu pan Teodor posiadał wytworną willę, gdzie królowała pięknie rozkwitła małżonka jego, czytelniczka niegdyś Buckle'ów i Mill'ów. Cudownie tam było: w oddali falowało morze, dokoła rozściełał się las podzwrotnikowych krzewów. Zdawało się, że pan Teodor do końca życia będzie sobie w wolnych chwilach odczytywał to tę, to inną stronicę Dekamerona (mądre bowiem księgi rozdawał na pamiątkę niewyspanym telegrafistom), gdy oto niespodziewanie zjawił się demon niepokoju.

Wówczas właśnie poczęto w kraju budować drogę żelazną — pan Teodor zjawił się i wziął spory dystans.

Zaraz po objęciu robót przyplątał się do niego zrujnowany do szczętu obywatel ziemski Dominik Cedzyna. Początkowo pełnił na budującym się plancie obowiązki zwyczajnego dozorcy, poganiacza ludzkiego stada, później zaskarbił sobie względy naszego przedsiębiorcy i do innych celów użytym został. Dziwnie wyglądał ten elegancki, wyprostowany starzec z miną pana, zawsze wytwornie i czy-

sto ubrany, gładko uczesany i wygolony starannie, kiedy stał w pobliżu drzwi wobec Bijakowskiego, rozwalonego niedbale na krześle. Inżynier doświadczał demokratycznej rozkoszy, trzymając przy drzwiach byłego panka i mówiąc do niego: „pójdziesz mi, mój panie Cedzyna...“ albo: „tyle już razy mówiłem panu Cedzynie...“ albo: „trzeba być mazgajem, panie ten... panie Cedzyna.“

Twarz starego szlachcica nie zdradzała nigdy ani śladu gniewu, ani cienia obrazy, ani pozoru zdziwienia. Czasami tylko po zaciętych jego wargach przemykał się tęskny, dziecięcy niemal uśmiech, czasami wypłowiałe oczy zachodziły mgłą jeszcze bardziej i zdawały się nic nie widzieć. Nigdy wszakże żrące go upokorzenie nie wynurzało się na zewnątrz w dźwięku mowy lub treści słów.

— To także honor, to punkt honoru — myślał. — Ja i tak pan, a tyś cham!...

Miał ten człowiek jedną tylko pociechę i nadzieję. Skoro nadchodził wieczór, gdy robotnicy, zlani do suchej nitki potem, rzucali łopaty i, zjadłszy strawę, padali w sen kamienny, gdy panowie inżynierowie zasiadali do winta—Cedzyna szedł wzdłuż plantu do sąsiedniego miasteczka. Głowa jego podnosiła się

wtedy dumnie, oczy nabierały blasku, usta szeptały: „Piotruś... ach, Piotruś!“

Pukał do okna pocztmistrza i ugrzecznionym, bojaźliwym głosem pytał, czy niema listu do Dominika Cedzyny. Jeżeli ten list upragniony otrzymał, oddalał się szybko, pieszcząc kopertę palcami i przytulając ją do warg. Potem w swej nędznej izdebce stawiał świecę przy łóżku i zaczynał czytać. Czytał powoli, w sposób dziwaczny: nie przebiegał oczyma od razu całego listu, lecz wykradał jedno, dwa zdania, kilka słów—i składał pismo. Czasami koniec listu odczytywał dopiero trzeciego dnia po otrzymaniu. Gdy mu dokuczono, gdy go obrażono, gdy czuł, że mu klatkę piersiową coś gnieść zaczyna, niby obręcz żelazna, i krew uderza do głowy,—macał boczną kieszeń surduta, gdzie nosił paczkę listów od syna—i odzyskiwał spokój. W każdej chwili wytchnienia, podczas obiadu czy chwilowej przerwy w robocie, wydobywał arkusik i wmyślał się w jakieś zwyczajne zdanie. Wtedy uśmiech łagodny, jak promyk słońca, wypogadzał jego twarz drewnianą i skrzepłą na niej troskę.

W odległości wiorsty od dźwigającego się nasypu, stanowiącego część dystansu pana Teodora, sterczało pośród pól wyniosłe wzgó-

rze, porośnięte jałowcem i uwieńczone szarym, zębatym grzbietem skał wapiennych. Góra należała do folwarku Zapłocie, a folwark do niejakiego pana Juliusza Polichnowicza. Inżynier zwrócił uwagę na owo wzgórze zaraz po rozpoczęciu robót, zbadał skały, znalazł w nich obfitość węglanu wapna i niewielką ilość obcych przymieszek, dostrzegł, że zbocza i osypiska wykazują piękne pokłady wyborowej gliny,—to też w kilka dni po przyjeździe zabrał ze sobą pana Cedzynę i pojechał do folwarku Polichnowicza. Zmierzch zapadał, kiedy furmanka zbliżała się do Zapłocia. Folwark stał u samego podnóża góry. Zabudowania otaczał szeroki czworobok usychających topól. Budynki były w stanie opłakanym: waliła się w gruzy stara gorzelnia i wyciągała ku niebu obdarte z poszycia krokwie, jak kościotrupie piszczele, nachylały się ku ziemi dachy stodół; tu i owdzie sterczały żerdzie rozwalonych płotów. Kamienista i urozmaicona zatrważającemi wyrwami droga mijała pewien rodzaj bramy i prowadziła przed dwór. Ogromny, czarny dach tego domostwa zjeżdżał ze ścian w tył i jednym swoim krańcem dosięgał prawie ziemi.

Kiedy wasąg naszych przedsiębiorców zatrzymał się przed gankiem, w dwu oknach

błyszczało światło. Jakaś figura zjawiła się we drzwiach.

— Czy to ty, Szulim? — zapytał głośno stojący na progu.

— Nie, to nie Szulim — odpowiedział Bijakowski.—Czy dziedzic jest w domu?

— Któż tam, u dyabła?

— Czy dziedzic tutejszy jest w domu?

— Dziedzic?

— Można się z nim widzieć?

Osoba znikła i jednocześnie prawie światło w oknach zgasło. Wędrowcy nasi wstąpili na ganek, lecz znaleźli drzwi zamknięte. Bijakowski zastukał.

Żadnej odpowiedzi.

— Dziwna rzecz — zauważył pan Dominik.

Inżynier zeszedł z ganku i zajrzał za węgieł dworu, szukając innego wejścia. Musiały tam być jakieś drzwi, biegano bowiem tamtędy, białe postacie wsuwały się do dworu i wymykały do ogrodu, dźwigając jakieś ciężkie przedmioty, coś w rodzaju szaf, luster, kanap, stołów, łóżek, obrazów.

— Nadzwyczajny dom—mówił do siebie zaciekawiony do żywego „bourgeois.“ — Ten obywatel wyprowadza się widocznie, czy co, u licha?... o tej porze... panie Cedzyna...

Pan Dominik pokiwał melancholijnie głową i cicho westchnął.

Z pomiędzy pokrzyw i kęp bzu wysunęła się wreszcie jakaś babina, podeszła do Bijakowskiego i bezczelnie zaglądała mu w oczy.

— Coście to za jedni, ludzie? Skądeście?

— Jesteśmy z kolei, chcemy rozmówić się z tutejszym panem — mówił do niej p. Cedzyna.—Mamy do pana interes. Chcemy od niego kupić kamień... Słyszysz? Jest ten wasz pan? można go widzieć?

— Pana niby? — namyślała się baba.

— Naturalnie, że nie ciebie...

W tej chwili wynurzył się z mroku cień inny.

— Panowie kolejarze... aha!... Proszę, bardzo proszę... Maryna, rypaj zapalić lampę. Każ wnosić napowrót. Proszę panów... jestem Polichnowicz.

Drzwi, prowadzące z ganku do sieni, otwarły się znowu i przybysze wprowadzeni zostali do obszernego pokoju o bardzo nizkiej powale. Stało tam mnóstwo mebli i sprzętów w szczególniejszem ugrupowaniu: komoda wysunięta była na środek pokoju, na niej leżało kilka obrazów w grubych złoconych ramach i lustro, stół zarzucony był stosem rzemieni, uzd, batów, szpicrut, popręgów, torb myśliwskich

z przyborami do polowania; roztwarty kufer odsłaniał wnętrze pełne brudnej bielizny i zniszczonej odzieży. Na łóżku, okrytem podartą kołdrą, spoczywało olbrzymie psisko z familii dogów, a na wygniecionej kanapie spał maleńki kudłaty piesek. Gospodarz usiłował za pomocą forsownego wykręcania knota wydobyć z zakopconej lampki większy płomień. Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, nieco przygarbiony, o twarzy wywiędłej i zużytej.

— Siadajcie panowie—mówił, zrzucając z krzesełek na ziemię porozmiatane części męskiego odzienia i przysuwając kulawe krzesła gościom. — U mnie tu cokolwiek po kawalersku, ale bo to z tymi sekwestratorami... Fintik! won, podlecu!...

Kudłaty piesek podniósł łeb niechętnie, i machając ogonem, zsunął się na podłogę.

— Proszę pana — zaczął Bijakowski, — taki jest nasz interes: Do pana należy góra, w pobliżu której prowadzimy plant kolejowy?

— Góra? „Świńska krzywda?“ no, do mnie należy... i cóż z tego?

— Pan z niej żadnego zysku nie ciągnie?

— Jakiż ja zysk mogę ciągnąć z takiej góry? Kpisz pan, czy co?

— Pastwisko pewnie—wtrącił pan Cedzyna nieśmiało.

— Jakie pastwisko! — oburzył się Polichnowicz.—Kamień na kamieniu i trocha jałowcu. Miejsce ustępowe dla trznadli... chciałeś pan chyba powiedzieć. Ale co panom znowu do tej góry?... Fintik! won, podlecu!...

Piesek zeskoczył znowu z kanapy, na którą się był wdrapał.

— Krótko mówiąc — ciągnął inżynier,— jabym kupił od pana kamień z tej góry i prawo wybierania gliny. Czy zgadza się pan?

— Kamień? A, prawda... Owszem, panie dobrodzieju, z największą przyjemnością.

— I coby też pan żądał?

Polichnowicz zaczął kręcić w palcach papierosa, założywszy nogę na nogę w taki sposób, że końcem śpiczastego buta dotykał prawie swego nosa — i milczał. Dopiero gdy załatwił proces umieszczania papierosa w cygarnicy i otoczył się kłębami dymu, wypalił śmiało:

— Odstąpię panu za osiemset rubli.

Bijakowski zaczął się śmiać krzykliwie:

— Siedemset rubli!... bagatela! I to za miejsce ustępowe dla trznadli... Cha! cha!... wie pan, co...

— Nie siedemset, lecz osiemset rubli! Mów pan, co dajesz. Nie lubię, gdy mi się kto w nos

śmieje. Fintik! wyrzucę cię za drzwi, kpie jeden, i tyle u mnie zarobisz...

Piesek znowu zlazł z kanapy. Bijakowski spoważniał.

— Pan sądzisz, że masz z frajerem do czynienia—mówił młody obywatel, przymrużając lewe oko.—Ja, panie, jestem dublańczyk i wiem, co jest warta taka glinka, zmieszana z pewną ilością piasku, bynajmniej nie tłusta... Znajdź pan tu w okolicy taką glinę i taki kamień.

— Kto wie?... może i znajdę—powiedział inżynier, wstając i zabierając się do wyjścia.

— No... cóż pan dajesz?... niech słyszę.

— W każdym razie nie więcej nad sto rubli.

Pan Polichnowicz wpadł w głęboką zadumę.

— Dawaj pan na rękę dwieście rubli... i niech tam dyabli...

— Nie, panie—rzekł zimno Bijakowski.

— No, to trudno... Dajesz pan sto pięćdziesiąt?...

Inżynier śmiał się pod wąsem ironicznie.

— Spiszemy kontrakcik... co tam!... Może herbaty?...

— Ajno, herbaty! — odezwał się niespodziewanie głos z sąsiedniego pokoju.—Pan będzie częstował, a ja nie wiem, skąd panu wezmę tej herbaty... Widzicie!

— Milczeć, małpo jedna!—rzekł Polichnowicz, wcale nie odwracając głowy.—Może panowie kwaśnego mleka z kartoflami?...

— Nie, dziękujemy. Sto rubelków płacę, piszemy umowę na dwie ręce... jest świadek, pan Cedzyna...

— Pan Cedzyna! — zawołał młody człowiek, obrzucając gościa ognistem spojrzeniem—pan Cedzyna, z Kozikowa?

— Tak, niegdyś...

— Cóż znowu? Już pana wyleli! Cha, cha!... To dopiero pogrom na ziemiaństwo! Koleje pan dobrodziej teraz budujesz?...

— Pracuję—odpowiedział skromnie pan Dominik.

— Phy!... A no, cóż robić!... piszmy ten kontrakt. Będzie przynajmniej co wsadzić jutro w zęby panom starozakonnym...

Spisano kontrakt—i późno w nocy przedsiębiorcy opuścili folwark.

Po upływie kilkunastu dni u podnóża góry funkcyonowała maszyna do wyrabiania cegły, a na skałach roiły się ludzkie postacie. Inżynier zjawiał się na szczycie góry i rozciągający się u stóp jej obszar ciekawem i zamyślonem obejmował okiem.

Był koniec sierpnia, czas orki. Na polach Polichnowicza panował zupełny spokój.

Bijakowski nie znał się na gospodarce rolnej, z mozołem odróżniał pszenicę od jęczmienia w kłosie, zastanawiała go wszakże szczególna predylekcya dziedzica Zapłocia do ugorów. Te długie, szare smugi gruntu, pokarbowanego niegdyś przez równe zagony, sprawiały wrażenie jak cmentarz smutne. Gdzieniegdzie jednostajną barwę odłogu przerywało pólko ścierniska, albo kartofli,—za niemi ukazywał się on znowu i ginął aż w oddali, jednocząc się z nieużytkami i pastwiskiem.

Młody dziedzic przychodził codziennie na górę, siadał na kamieniu, ćmił papierosa za papierosem i gawędził.

— Pański folwark—mówił do niego Bijakowski pewnego razu,—widziany z tej góry, podobny jest do trupa.

— Dobrze, dobrze... Do trupa! Wziąłem po ojcu folwark źle prowadzony, musiałem zaprowadzić płodozmian umiejętny...

— Płodozmian? Gdzież tu i jakie płody pan zmieniasz? Tu żadnych płodów wcale niema.

— Jakto niema?

— Nie znam się na tem, ale nie widzę ani żyta...

— A bobik?

— Co za bobik?

— No i bierzesz się pan do krytykowania! Widzisz pan ten pas zielony?

— Cóż panu przyjdzie z pasa zielonego, albo i z samego tam bobiku? Żyta nie widzę.

— A tamto ściernisko to po czemże?... po kapuście z baraniną?

— Ależ to chłop przecie dwa razy więcej żyta wysiewa!

— Bo chłop niszczy glebę, sieje żyto po życie... Chłopu pan pozwól tylko, to panu na Placu Teatralnym „zimioków“ nasadzi, ale wcale z tego nie wynika, abyśmy mieli, idąc za jego przykładem, wyniszczać grunta. Tu rzeczywiście trzeba trochę mieć kapitału...

Nie pamiętam dokładnie, jak się to stało, dość, że nadeszła ta chwila. Gdy pierwsze lokomotywy świstać poczęły na nowej drodze żelaznej, Jules Polichnowicz wyjeżdżał z Zapłocia, unosząc w podróżnym saku kilka setek rubli. Folwark z ugorami, pustemi stodołami i litanią długów stał się własnością inżyniera Bijakowskiego. Nowy dziedzic przez czas pewien spoglądał z rozkoszą na pochylone pola, zapadający się w ziemię dwór staroszlachecki i wysokie topole z uschniętymi szczytami. Własny majątek! Stare domostwo — marzył—przeznaczy się dla rządcy; na wzgórzu, frontem do

plantu, wzniesie skromny ale stylowy pałacyk. Zbyt długo wszakże inżynier nasz był człowiekiem praktycznym, aby idealne marzenie o pałacyku usunąć mogło na plan drugi myśl o ugorach.

Co począć z tymi ugorami? Czyliż doprawdy osiąść w takiem Zapłociu i zacząć uzbierane pieniądze „wkładać“ w brózdy, stodoły, owczarnie? Jeździć co niedziela z rodziną do wiejskiego kościoła, zasługiwać się Panu Bogu, aby żyta gradem nie wybijał i strzegł od podpalacza?

Przyjechać na lato do siedziby wiejskiej, obserwować z małżonką zachody słońca, uganiać się (wraz z tąż małżonką) po pachnących łąkach za różnobarwnymi motylami, czytać Giovanni Boccacia w cieniu lip odwiecznych, nawet kiełbie łowić na wędkę w strumieniu — słodkie to są przyjemności, ani słowa; ale siedzieć tu zimą i łypać oczami na przebiegające pociągi—to, co najmniej, nierozsądek.

Zupełnie inne uczucia miotały duszą pana Dominika Cedzyny. Nabycie przez inżyniera folwarku dało mu nadzieję otrzymania posady rządcy, powrotu na wieś, do roli, rozporządzania się, jak tego dusza zapragnie, mieszkania pod strzechą starego dworu. To też zasługiwanie się jego Bijakowskiemu, posłuszeń-

stwo i niemiłosierna pilność przechodziły wszelkie granice.

— Ten pan inżynier wie dobrze—myślał stary szlachcic,—co wart jest taki pan Cedzyna. Wie, że to nie dorobkiewicz, goniący za zyskiem; wie, że taki Cedzyna zdechnie z głodu, a nie ruszy tego, co należy do dziedzica; że wypruje ze siebie żyły dla tego, komu służy, bo to jest człowiek, posiadający nieznany dzisiejszym ludziom przymiot, śmieszny, maleńki przymiot staroszlachecki—honor.

Nie spełniły się nadzieje pana Dominika.

Zjawili się „indywidualiści“ i zaproponowali inżynierowi rozparcelowanie folwarku. Po głębokim namyśle, po spłaceniu długów — Bijakowski rozprzedał ugory, pozostawiając sobie zabudowania, skalistą górę i mały skraweczek ornego gruntu poza ogrodem.

Do niepoznania zmieniła się postać tego kawałka ziemi. Kudłaci indywidualiści zwlekli się wkrótce na pola folwarku wraz z żonami, dziećmi, sprzężajem i dobytkiem. Chude szkapy osadników ciągnęły z lasu belki i gonty, koła wozów żłobiły nowe drogi wzdłuż dzikich miedz; wybierano studnie, grodzono płoty i na gwałt wznoszono domostwa. Po całych dniach słychać było łoskot siekier. Kwaśne pastwiska, porośnięte nędzną, kędzierzawą

trawką które, historycznie rzecz biorąc, od czasów kołodzieja Piasta aż do dublańczyka Polichnowicza służyły tylko za miejsce igrzysk i spacerów dla bystronogich zajęcy, pustki podleśne i obumarłe ugory nabrały teraz tak wielkiej wartości, że się stały częścią składową wielu istnień ludzkich. Liczne oczy wpatrywały się w te kawałki ziemi z niepokojem i serca osnuwały na nich nadzieje.

Gdy nadeszła wiosna, wyszły na ugory pługi i odwróciły skiby, przerośnięte murawą...

Gdy nadeszła wiosna, u podnóża góry, noszącej w mowie gminu nazwę „świńskiej krzywdy,“ buchały wielkie kłęby dymu. Przyparty do zbocza góry olbrzymi cylinder szachtowego wapiennika wyrzucał w mokre mgły snopy iskier. Długa, nad przepaścią zawieszona ława łączyła okopcony szczyt komina z podnóżem białych turniczek. O kilkaset kroków dalej, bliżej dworu, wznosił się wysmukły, czerwony komin cegielni.

Smugi dymu, płynące po przestworze niebieskim, wywabiły z dalekich wiosek, w lasach ukrytych, gromadę bezspodniowców z zapadniętymi brzuchami i wydłużonym przewodem pokarmowym wskutek bezwstydnego przeładowywania go samymi kartoflami. Przyszli i stanęli przed obliczem twórcy cywi-

lizacyi. Inżynier wejrzał okiem mędrca na ich wywiędłe kadłuby, na brudem obrosłe ich dzieci, na znikome reszki spódnic ich żon, córek, kochanek — i miłosiernie wyznaczył im miejsce w postępie ludzkości.

Ze zrzynów od belek pobudowano lokale mieszkalne w miejscach przez inżyniera wskazanych i poumieszczano tam przybyłych. Zwierzchnictwo nad całą produkcyą objął pan Dominik Cedzyna, osadzony w dwu mieszkalnych izbach dworu. Inżynier opuścił dziedzictwo i udał się tam, dokąd powoływały go nieuniknione warunki ekonomiczne. Przed wyjazdem nauczył starego szlachcica, jak się ma zapatrywać na sprawy społeczne, gdzie zakładać kopalnie gliny, jak zsypywać do pieca bryły kamienia i formować z nich sklepienie, jak poznawać po mocnem świetle wapna, że kwas węglany wypędzony z tych brył został, jak unikać tworzenia się *wilków*, jak normować płomienie, wchodzące do pieca z oddzielnych ognisk — i t. d.

I popłynęły jednostajne, równe i bardzo długie dnie rzetelnej pracy. Nadzorca wstawał o świcie, budził i prowadził do roboty czeladkę, a późna noc przypędzała go dopiero do domu.

Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska, niestrudzonemi uderzeniami podkopywane, zlatywały ze szczytów i kruszyły się na drobne cząstki ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion. Głębokie miejsca wszczepienia i oparcia żelaznych drągów, żłoby i garby, wykute dziobem ciężkiego kilofa, pozostały na zawsze, świadcząc, ile tam człowiek włożył siły mięśniowej. Za pomocą dwu dźwigni — drąga i oskarda — zepchnięto z posad całe skały, zdruzgotano kolosalne formacye. Braki narzędzia zastąpił prostacki „sposób“ na przyrodę, wymysł nie mózgu, ale raczej mięśni. Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennemi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia. Nawisłe złomy, gdy rozpętano nieopatrznie ich utajoną energię, zlatywały niespodziewanie, jak uderzenie piorunu, zabijając i kalecząc; każdy głaz, zanim wtrącony został w czeluść pieca, do ostatka ranił, gniótł, karał ciężarem, twardością, ostrą powierzchnią, parzył ogniem i dusił dymem, jak wróg śmiertelny, wyżerając życie.

Bezkształtne obnażenia warstw głębokich i ułamane wierzchołki stoją na tem pobojowisku,

jak płyty grobowe i jak sarkofagi. Szarugi jesienne i wichry zimowe wyżłabiają na ich powierzchniach tajemnicze znaki—może imiona rycerzy kultury, co tam polegli w boju z przyrodą.

* *
*

Pan Dominik zasnął dopiero nad ranem. Nie był to posilny odpoczynek, lecz starcze półczuwanie. Zjadliwa, błędna boleść nie usunęła się, ani ukoiła, lecz jak topór kata, ciężka i niecujęta, wisiała w postaci snu nad znękaną jego duszą. Śniło mu się, że stoi na rozmiękłej grobli, u brzegu zamarzniętego stawu. Lód na nim był siny, kruchy i nasiąkły wodą. Nagle zobaczył idącą ku niemu z przeciwnego końca stawu postać omgloną. Widmo szło, lekko się kołysząc, zgrabne zataczało koła, ledwo-ledwo dotykając stopami gładkiej powierzchni. I oto — w mgnieniu oka — zobaczył tuż przy brzegu, prawie u stóp swoich, falę, zwijającą się ogromnym kłębem, lód popękany na drobną krę, a na wodzie rozmoczone, jasne jak len włosy. Cudne kędziory młodzieńcze to rozbiegały się na wodzie, tworząc jakoby koronę, to lgnęły kosmykami do czoła, do jasnego czoła Piotrusia. Starzec usiłuje krzyczeć, ale gardło ma ściśnięte i zatkane, jakby skrze-

pami zsiadłej krwi; chce rzucić się w wodę, lecz, nie wiedzieć czemu, nie może jej dosięgnąć. Zanurza wreszcie ręce po łokcie i czuje zimno, ścinające, okropne, śmiertelne zimno w żyłach, w piersiach i w sercu. Gdyby mógł wydać jęk, jeden tylko jęk, jeden okrzyk... gdyby chociaż mógł westchnąć...

Brzask zimowego świtu ubielił zamarznięte szyby. Dał się słyszeć łoskot drzwi roztwieranych w czworakach, odgłos skrzypiącego stąpania po zmarzniętym śniegu i rozmów ludzkich. Pan Cedzyna się ocknął i ciężkim wzrokiem powiódł po swej izbie. Maleńka miara pociechy spłynęła do jego duszy, gdy się uświadomił, że to, co widział przed chwilą, było snem tylko. Niestety! to, co czuł przed chwilą—trwało... Przedsenne zgryzoty rzuciły się nań znowu i, jak mściwe, rozzłoszczone pszczoły, ciąć poczęły jego serce Obejmowała go złowieszcza niechęć do tej izby, do nadchodzącego dnia, może do siebie wreszcie.

Napół rozebrany usiadł na łóżku i tępym, bezsilnym wzrokiem patrzał w kąt pokoju. Niedosłyszalnie dla samego siebie, zaledwie ruchem warg—wymówił:

— Żeby to już raz, do cholery... umrzeć... tfu!...

Rozległo się stukanie w szybę, jakiem jeden z robotników, pełniący obowiązki stróża, dawał znać nadzorcy, że idzie z naręczem drew palić w piecu. Pan Dominik nie poruszył się. Dziki wstręt i bezmyślna nienawiść zaciskały jego pięście. Wszystka jego inteligencya osiadła na jednej trzeźwej myśli:

— Żeby to już raz...

Stukanie w szybę powtórzyło się i nieznany głos zawołał:

— Czy pan Dominik Cedzyna jest w domu?

Stary zerwał się na równe nogi. Wszystko jedno, kto to stuka—byleby ktoś obcy, jakiś człowiek nieznany, byleby nie ten parobek w cuchnącym kożuchu.

— Panie Cedzyna! — zawołano z za okna.

Wszystka krew spłynęła nagle do serca starowiny. Pośpiesznie wciągnął długie buty, narzucił na ramiona lisiurę, i pobiegłszy na palcach do okna, zaczął chuchać na szybę i wycierać w szronie okrągły otwór. Naraz przerwał tę czynność i raptownie odwrócił się do ściany. Zgiął się w pałąk, oczy mu zaszły bielmem, twarz skurczyła się boleśnie, ręce zacisnęły spazmatycznie — i mówił, nie wiedząc do kogo, cichym, równym głosem:

— Jeżeli tam, za oknem, jest Piotruś, to ja ci oddam... ty wiesz, że ja nie skłamię... ja ci oddam... Raz jeszcze mocno, mocno ścisnął sobie ręce i spokojnie poszedł ku drzwiom. Odrzucił haczyk i wyszedł do sieni, szeroko otworzył drzwi na ganek i stanął w progu. Na ścieżce stał młody człowiek w krótkim paltocie, z walizką podróżną w ręku. W niebieskim mroku przedświtu stary nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy, ale tamten posunął się o krok na przód i wymówił cicho, z niewypowiedzianą słodyczą:

— To chyba ojciec...

Stary Cedzyna, glucho szlochając, wyciągnął ramiona i ogarnął przychodnia długą, czułą i nienasyconą pieszczotą ojcowską.

Potem zaczął go forsownie ciągnąć do pokoju, bełkocąc pojedyncze sylaby wyrazów urwanych i połkniętych razem ze łzami. Wydarł mu z rąk walizkę, rozpiął palto, wystawił ze szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelastwa, leżącym w kącie izby, i ciągle dygocącemi usty mruczał:

— Pisał... do Anglii... do miasta...

Doktor Piotr wodził za starcem załzawionemi oczyma i nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie pan Dominik oprzytomniał.

— Zziąbłeś... co? — zapytał, nakrywając oczy dłonią, jakby patrzał pod słońce.

— Nie...

— Ale! gadanie! Zaraz ja w piecu napalę.

Skoczył ku zapieckowi i począł wyrzucać suche drwa na środek pokoju. Zaczerwieniony i zziajany kładł je później do pieca.

— Niech ojciec da pokój — przerwał mu młody doktor,—tu ciepło. Jabym się, szczerze mówiąc, przespał trochę.

— Święta prawda! Niespodziewany cymbał ze mnie starego. Malec jechał tyli świat. Chodź, przyniesiemy sofę... mam jeszcze naszą zieloną sofę... wiesz... zieloną...

Weszli do sąsiedniej, zimnej izby, zawalonej przeróżnymi statkami i rupieciami, i przydźwigali do pierwszej starożytną, familijną sofę z wierzchem ruchomym.

Pan Dominik rozpostarł na niej swoją pościel i ułożył syna do snu. Sam, zabawnie wykręcając nogi, aby stąpać na palcach, wyniósł się z mieszkania. Zaledwie doktor Piotr przyłożył głowę do poduszki, zapadł w senne marzenie, jakie jest skutkiem zmęczenia się długotrwałą jazdą w wagonie. Powieki mu się kleiły, ale nie dawał mu zasnąć mocno jakby nieustający trzask dzwonków elektrycznych,

utajony w nerwach. Na niezliczonej ilości stacyi kolejowych dzwoneczki te biły za szybami wagonu głosem cichym, przeszywającym, natarczywym i okrutnym, aż zaczęły dzwonić w uchu bez przerwy. Zdawało mu się, że wciąż trwa jeszcze ostatnia, a trzecia z rzędu noc, spędzona w wagonie. Drzemie nie pod strzechą ojcowską, lecz w wązkim przedziale, z głową opartą o drżącą drewnianą ścianę. Słyszy jeszcze łoskot kół, bijących w końce szyn, skróconych od mrozu, gdy pociąg gnał na północ od Oderberga — i to ponure dudnienie skostniałej ziemi, co głucho stęka pod szynami: — to ja, to ja, to ja...—Widzi do tej chwili pod przymkniętemi powiekami nagi, rozłożysty, nieobeszły krajobraz, jak go zobaczył wtedy, przycisnąwszy twarz do szyby,—tę pustynię, przywaloną zaspami. Daleko, w wielkiem świetle księżyca, słabo czernieją chłopskie chałupy. Długim szeregiem stoją na widnokręgu— het-het... W piersi wędrowca bije nie jego własne męskie serce, co już złudzeń przebolało tyle, ale serce dziecka, dostępne dla dawno minionych trwóg i boleści. Jak kolka tarniny, przebija je dziecięcy żal, czy wielka skrucha, i wylękłe usta szepcą:

— Panie, nie jestem godzien...

Pan Dominik powrócił na paluszkach, niosąc wiązkę suchych szczap, i począł palić w piecu. Doktor, jak przez mgłę, widział jego zgarbione plecy i siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę. Chwilami wydawało mu się, że ta droga głowa usuwa się i niknie, pozostawiając po sobie tylko duży cień, przełamany na ścianie i suficie. Morzył go przerywający się, płochliwy sen... Kiedy się znowu napół przebudził, przed piecem siedział, jak poprzednio, starzec, twarzą zwrócony do ognia. W pobliżu drzwiczek tliła się już zaledwie kupka węgli. Wiotka, jasno-fioletowa perzyna powlekała ją zwolna, a po niej migały raz za razem różowe, pełzające iskierki. Pan Dominik przypatrywał się iskrom i ruszał wąsami, jakby tym błędnym światełkom opowiadał tajemnicze historye. Co pewien czas wyciągał rękę i odgarnął kożuch śmietanki w garnuszku, przystawionym do węgli.

U wezgłowia doktorowego posłania stał stary zegar. Wahadło kołysało się nad samą jego głową. Kiedy pomykało na lewo, w cień, na upstrzonej przez muchy jego powierzchni błyskał klinik światła. Wydawało się, że stary perpendykuł rozdziawia usta i pęka z radosnego śmiechu. Wewnątrz pudła, przy-

sypanego wieloletnim kurzem, stuka nieustający chrzęst trybów, niby bicie serca zestarzałego gruchota. Melodya jego szeptu unosi się nad rozmarzoną głową śpiącego jak śpiew znajomy, rozkochany, tęskny i niewysłowienie słodki.

Ty nie wiesz — śpiewa, — ty nie wiesz, dziecko, co to jest tęsknota... Spojrzyj tylko raz, spojrzyj tylko, śpiochu, dźwignij powiekę. Widzisz tę łzę, co wytoczywszy się z oka starszego pana Cedzyny, jak łódź na końcu katapulty, zawisła na końcu najdłuższego włosa w jego lewym wąsie? Co to za ciężar, co to za ogromna łza, jaka monstrualnie wielka łza! Pac!—zleciała z łoskotem na przyszwę lewego buta. Co to? co to?—Wysuwa się druga, jeszcze ogromniejsza, jeszcze cięższa... Kap!—już wisi na wąsie. Starowina boi się bardzo, aby nie upadła na pogrzebacz i głośnym upadkiem snu twojego nie spłoszyła. Patrz, jak ją paradnie, jak śmiesznie i niezgrabnie zdejmuje z wąsa dwoma palcami... Te łzy—gada stary zegar—były cieńszemi niż nitka pajęcza włókienkami w sercu, w tem miejscu, gdzie jest nigdy nieschnąca ranka tęsknoty. Było ich mnóstwo, a każda miała brzeżki ostre, jak żądło komara. Siedziały jedna obok drugiej komunikiem i nosiły szumny tytuł lasecznika

tęsknoty. Niejednemu te figlarne istoty wyssały duszę, niejednemu odgryzały rozum... tak, tak, czcigodny organizmie... A ty, mocarzu, zadałeś im truciznę jednym jedynym synowskim uściskiem.

Każda skonała i rozpłynęła się w wielką łzę szczęścia. Ach, tylko pomyśl... gdyby choć jedna z tych łez upadła na twoją duszę!... Ach, tylko pomyśl — wszak ona strąciłaby cię z oblicza ziemi,—ach, tylko pomyśl...

W pochodzie kółek i walców gadatliwego klekota nastąpił raptem jakiś kataklizm, jakby stary zegar przyciął sobie język własnymi zębami. Rozległ się tępy szczęk, zamieszanie, łoskot—i powoli, z majestatem niedołężnie naśladującym głos kukułki, wybiła dziesiąta. Młody człowiek oczami nawpół rozwartemi wpatrywał się w okno, odtajałe w promieniach wesołego słońca. Widział skrawek równiny, iskrzącej się od kryształków śniegu, smugę oddalonego lasu i kawałek przeczystego, bladego nieba. Ogarnęła go jakaś boska fantazya. Czuł wyraźnie, że ta chwila, co przemija, ten ułamek czasu, co trwa między jednem a drugiem poruszeniem wahadła—to najwyższy i najszczytniejszy, kulminacyjny moment, że to jedyny na całe życie zenit młodości! Cóż mogło być przedtem i co może być potem? Jakież

uczucie można przyrównać do tego ostrego widzenia całej drogi życia, do tej twardej pewności: — to, co w tej chwili postanowię, będzie nie tylko mądre i godziwe, ale i dobre?...

— Nie, nie pojadę do żadnej Anglii—myślał pan Piotr.—Nie nas brać na kawał! Odeślę belfrowi trzysta franków... przecie zarobię, choćbym miał gnój wyrzucać...

* *
*

Po upływie kilku dni i nocy siarczyście mroźnych nastała odwilż. Znikła cudna przejrzystość przestrzeni; opadły delikatne pyłki mrozu, kołyszące się nad twardymi jak kamień pokładami śniegu; zginął szron, różowy w promieniach słońca, co stroił suche szkielety topól, cienkie pręty porzeczek i obumarłe badyle, wystające z pod śniegu. Od rana kapały z dachów wielkie, brudne krople; w powietrzu zawisły bałwany szaro-żółtej pary, przytłaczając sobą dym, tułający się po dachach. Na krańcach widnokręgu uwaliły się mgły nieprzejrzane na podobieństwo niezmiernych ciężarów, co zdołały wgnieść w ziemię i wzgórza, i lasy i wsie odległe.

O godzinie pierwszej z południa pan Dominik powracał z powiatowego miasteczka wynajętą furmanką.

Chude chłopskie szkapięta brnęły w roztajałym śniegu; bose sanice docierały do gruntu i sunęły po grudzie, jak po magłownicy, albo zataczały się w wyboje i zatoki. Stary jegomość otulał się zrudziałymi szopami, nasuwał kaszkiet na oczy, i ćmiąc niekosztowne cygaro, „myślał sobie.“ Jeździł niegdyś czwórką wałachów i wspaniałemi saniami, z furmanem w złotawej liberyi, otulał się niegdyś kiereją, srogimi niedźwiedziami podbitą... Boże drogi!—ziemia drżała, janczary słychać było o pół mili, konie parskały, chłopy i żydy stały bez czapek... Phi!... czy tam teraz jest gorzej—któż to wie? Nigdy przecie jazda saniami przez puste pola nie sprawiała mu takiej przyjemności, jak dziś, kiedy jedzie chłopskim wasągiem... W domu czeka pan d-r Piotr Cedzyna! Cha, cha!... Nuże, szkapy! bierzcie się w kupę! Jeszcze tylko jeden lasek, tylko mały wąwozik pod Załociem...

— Ciekawa historya—myśli pan Dominik,—czy Piotrek zrobił i przepisał rachunki? Myślał huncwot, że mu dam łazić całymi dniami po chałupach (pewno dziewuchy niemieckiego uczy...) i bąki zbijać. Aha... posiedź-no waćpan, mości chemiku, nad prowentowym kałkulem, pododawaj cyferki, napisz ładnym charakterem wykazy dla pana inżyniera, wyręcz

starego ojca. Za darmo ci będę zwoził przedni tytuń i tracił fortunę na sardynki?

Konie wbiegły na podwórze i zatrzymały się przed gankiem dworu. Pan Cedzyna wylazł ze sanek i wszedł do sieni, z hałasem otrzepując buty ze śniegu. We drzwiach pokoju stał d-r Piotr.

— Co to? ciebie, widzę, głowa boli! — zakrzyknął pan Dominik.

— Ale gdzież tam! — odpowiedział syn z przymusem.

— A cóżeś taki blady i skrzywiony?

Młody człowiek miał w rzeczy samej minę niewesołą.

Spojrzenie oczu jego dziwnie wyziębło i przyćmiło się smutkiem. Chodził z kąta w kąt, nerwowo paląc papierosa.

— Każę ja Jagnie podać barszcz, to ty mi zaraz nabierzesz rezonu. Bez barszczu, mówię ci, człowiek zawsze kiepsko się czuje.

— Ja nie będę mógł jeść, a zresztą... mało mam czasu.

— Mało masz czasu?

— Tak—powiedział d-r Piotr szorstko;— ja... widzi ojciec... ja muszę jechać. Trudna rada... muszę jechać dla objęcia tego miejsca w Hull.

Pan Dominik nic nie rzekł. Nie zdejmując futra, ani czapki, usiadł na stoliku i zwiesił głowę. Nie zważał na to, co syn robi—nic nie widział. Czuł tylko, że mu duszno, ciasno we własnych piersiach. Radby był wyjść na świeże powietrze, ochłonąć i zebrać myśli, ale nie mógł jakoś dźwignąć się z miejsca. Młody człowiek porządkował papiery i książki rachunkowe, rozrzucone na stole. Wziął w rękę niewielki, stary, zatłuszczony notes, obwiązany brudną tasiemką, i przewracał w nim kartkę za kartką.

— Proszę ojca — rzekł z żalem i smutkiem w głosie, — w tym notesie wyczytałem, że cięży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki.

— Daj ty mi spokój, daj mi spokój!—odpowiedział stary Cedzyna, opierając głowę na ręce.

— Zanim wyjadę, muszę ojcu wytłómaczyć, dlaczego powziąłem decyzyę wyjazdu.

— Co ty wytłómaczysz, głuptasie, co?—porwał się starzec. — Jedź, jeśli taka twoja wola. Tylko mi już, przez litość, nie każ podziwiać twojej mądrości!

— Chcę pomówić szczerze i otwarcie o interesie doniosłego dla mnie znaczenia. Przed czterema laty przysłał mi tatko ratami dwie-

ście rubli. W roku następnym dwieście rubli. Potem dwieście pięćdziesiąt rubli, i zeszłego roku znowu dwieście. Razem osiemset pięćdziesiąt. Pensya, jaką ojciec pobiera, wynosi trzysta rubli na rok. Skądże?...

— Synku kochany... nie chciej mię aby robić złodziejem. Jeżeli uważnie przejrzałeś rachunki, to musiałeś dostrzedz, że nie przywłaszczyłem sobie ani kopiejki Bijakowskiego. Wszystko jest w wykazach. Że nie sprzedawałem potajemnie ani wapna, ani cegły, możesz także przekonać się z rachunków. Daję ci zresztą słowo honoru... nie mam na sumieniu ani jednej kopiejki Bijakowskiego! Tak mi Boże dopomóż!

— Tak, to zupełna prawda.

— Skoro występujesz w roli oskarżyciela, to powinieneś znać się choć trochę na interesach. Cały sekret polega na tem, że Bijakowski dał mi upoważnienie do pobierania oryginalnej wprawdzie tantyemy. Od sprzedaży nigdy mi jej przyznać nie chciał, a natarczywe moje żądania zbywał zawsze jedną śpiewką: „Produkuj pan taniej... a co na tem osiągniesz, to twoje.“ Obiecał ludziom początkowo po trzydzieści kopiejek. Ja im dałem później po dwadzieścia, no i, rozumie się, przystali, bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu mają

zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza dla ciebie.

— Tak, to dostrzegłem w rachunkach...

— I to jest cały sekret, oskarżycielu! Złodziejem nie byłem i, da Bóg, nie będę!

— I ja nim być nie chcę, mój ojcze. To też osiemset pięćdziesiąt rubli muszę zwrócić...

— Komu masz zwracać? Ja tych pieniędzy nie przyjmę... wiedz o tem... nie przyjmę! Nie mogłem ci dawać na utrzymanie i edukacyę więcej, Bóg widzi... ale co mogłem... Starałem się choć trochę wywiązać z powinności ojcowskiej.

— To nie ojciec dawał mi na edukacyę i nie ojcu mam zwrócić ten dług gorzki i straszny...

Dominik Cedzyna wysoko podniósł brwi i ze zdumieniem patrzał na syna.

— Ty chyba masz bzika, mój Piotrusiu. Cóż ty pleciesz?

Doktor Piotr usiadł przy stoliku, przysunął arkusz czystego papieru i zaczął mówić powoli:

— Wartość każdego towaru po ukończeniu produkcyi składa się z kapitału stałego (oznaczmy go literą c), z kapitału zmiennego, czyli płacy najemników (dajmy na to v), i z tak zwanej wartości dodatkowej, czyli zysku, co

oznaczam literą *p*. Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, czyli zysku do płacy najemnika, *p* : *v*, pokazuje stopę wartości dodatkowej, czyli normę wyzysku. Obliczmy, proszę ojca, skrupulatnie przychód i rozchód...

Nad wieczorem dopiero skończył się zajadły spór między ojcem i synem. Obadwaj zamilkli pod wpływem tej zaciętości, co zdaje się zamykać serce tak szczelnie, jak się zamyka wieko trumny nad drogiemi zwłokami.

Stary obojętnie i z pogardą patrzał na krzątanie się doktora Piotra dokoła walizki. Od czasu do czasu szyderczy uśmiech przemykał po jego wargach i oczy błyskały gniewem. Po długiem milczeniu wyniośle i obojętnie rzekł:

— Czy tutaj nie mógłbyś stanowczo zarobić, aby uczynić zadość głupim sentymentom?

— Nie mógłbym, proszę ojca, tak prędko, jak tego pragnę. Tam mam miejsce i płacę stosunkowo niezłą.

— Możnaby i tu znaleźć posadę. Bijakowski...

— Ja nigdy i nic wspólnego mieć nie będę z panami Bijakowskimi. Nikt mię nigdy nie protegował, oprócz moich wiadomości i pracy.

— Pisałeś mi, że cię protegował jakiś profesor—rzekł stary oschle.—Jesteś w niezgodzie z samym sobą, znakomity filozofie...

— Nie. Profesor podał moje nazwisko, ponieważ, stosownie do żądania, miał wskazać czyjekolwiek nazwisko. Wskazał moje, bo uważał to za słuszne ze względu na moją porządną pracę i usposobienie do samodzielnych doświadczeń.

— Rzeczywiście, racya fizyka! Bijakowski również uważałby za słuszne ze względu... i tak dalej...

— Nikt dobrowolnie nie zaraża się parchami... To też i mnie dobrze, pókim czysty...

Stary roześmiał się. Znowu nastało milczenie aż do chwili, kiedy młody człowiek zdjął palto z kołka i począł leniwie naciągać je na ramiona.

— Czyż ty naprawdę?... — zapytał pan Dominik.

— Tak, ojcze.

— Oby cię Bóg nie skarał ciężko, moje dziecko!

— Pierwszą ratę mam nadzieję przysłać w maju. W tym notesie wyliczyłem należność każdego za cztery lata. Niechże ojciec raczy sumiennie...

— Precz, durniu! — krzyknął grubiańsko pan Dominik w przystępie wściekłego gniewu.

Ręce mu się trzęsły, w oczach migotał zły ogień.

Doktor Piotr, blady jak papier, zbliżył się do niego ze łzami w oczach i schylił mu się do nóg. Starzec odepchnął go, usunął się w kąt pokoju i odwrócił plecami. Słyszał, jak drzwi z cicha skrzypnęły i zawarły się za wychodzącym, słyszał suchy szczęk klamki, ale nie odwrócił głowy. Zapadał powoli w stan gnuśnego spokoju, obojętności tak zupełnej, że graniczyła prawie z zadowoleniem.

— Dobrze, że powiedziałem „durniu!“ — pomyślał—to mu pójdzie w pięty...

Po upływie kilkunastu minut wyjrzał przez okno. Na podwórzu nie było nikogo. Pod zachód słońca widać było przedmioty wyraźnie na dalekiej, równej, biało-niebieskiej płaszczyźnie. Na każdej szybie rysowały się i rosły w oczach, idąc z dołu do góry, fantastyczne gałązki mrozu. Starzec przypatrywał im się z zajęciem i myślał o czemś dawnem, ogromnie dawnem. Doznawał przez chwilę uczuć małego chłopca, który w pięknym dworze siedzi obok matki, pięknej, dobrej, kochanej matki, i patrzy na gałązeczki przymrozka... Nudzi mu się, płakałby i kaprysił, gdyby nie to, że

pełzające odnóżki, pręty i zębate liście tak go zaciekawiają, tak bawią...

Z zadumy obudził go dopiero daleki świst lokomotywy. Ten dźwięk sprawił mu taki ból, jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

Ku stacyi kolejowej zwolna zbliżał się pociąg, kopiąc się i nurzając w zaspach, jakby je żelaznym kadłubem roztrącał i przewiercał. Pan Dominik począł iść ku dworcowi wielkimi krokami. Zmrok padał żywo, i w miarę zwiększania się ciemności coraz wyraźniej błyskały latarnie na linii drogi żelaznej, niby duchy dobroczynne, dające znać o wielkiem niebezpieczeństwie. Gdy pan Cedzyna był na połowie drogi, ujrzał z daleka sylwetkę człowieka, idącego od stacyi. Odetchnął głęboko, w nadziei, że to d-r Piotr wraca. Wkrótce zrównał się z tym człowiekiem: był to strycharz z cegielni, młody i wesoły parobczak.

— Ty gdzieś chodził?—zapytał go rządca ponuro.

— Na stacyę..

— Po co?

— Zaniosłem zawiniątko za młodym panem.

— Za jakim młodym panem?

— Ady za panem Pietrem.

— Pojechał? — zapytał starzec obojętnie.

— Pojechał, proszę łaski pana.

— Widziałeś?

— A no i nie widziałbym? Jeszczem mu tobół zaniósł do maszyny.

— Mówił co do ciebie?

— E... mówić to ta nie mówił dużo.

— Wracaj do domu!

Chłopak oddalił się szybko brzegiem drogi. Potem przeskoczył przez rów i poszedł ku górze na przełaj przez pole.

Pan Dominik patrzał za nim ciągle, wtedy nawet, kiedy tamten skrył się w ciężkim cieniu góry. Twarz starca stuliła się i zmalała, nos się wygiął i wyciągnął ku brodzie, oczy nakryły dolnemi powiekami. Stał na miejscu i sięgał co chwila ręką, jakby z zamiarem przywołania strycharza. Następnie poszedł wolno, nie mając żadnego już zamiaru, ani pojęcia o kierunku, w jakim postępuje. Schylał się ku ziemi i przy świetle ostatniego brzasku zorzy wieczornej rozpoznawał głębokie ślady stóp syna, wyciśnięte w miękkim śniegu, które teraz mróz miłosierny utrwalał dla niego na tej okrutnej drodze. Nad każdym z tych śladów zatrzymywał się, macał go laską... Nad każdym z piersi jego wydzierał się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żałosnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza.

„COKOLWIEK SIĘ ZDARZY — NIECH UDERZA WE MNIE...“

Sofokles. „Edyp-król.“

Na łóżku, oznaczonem numerem 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdem poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: „caries tuberculosa...“— amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz i z kartoflarzów pochodził, miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował, — aż oto, ni z tego, ni z owego, zabolała go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobieciną swoją w paradnym wasągu z półkoszkami, jak se popła-

kują oboje ze strachu i żałości—i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo, — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu—tylko smutek nieodmienny przez ciąg tylu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieprzebłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości—potem operacyę, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy krwią zbroczone—i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierna.

Przed operacyą, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nić rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzyni — wspólna sala w szpitalu. Po operacyi wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa i nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od tej kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi cią-

gnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlatywały w jakiś kącik mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same—nie na sen, lecz na bezwładność,—napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikało wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokręga, jaki się od niego zaczyna i jak lej bez miary leży przed nim. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwęża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linii spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła, i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wyrywa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Ci-

cho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowcu suchego naniešli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle; dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych, jaka istnieje w duszy po prostu jak rana. Jestestwo chłopa skupiało się pod jej uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagłe przesądy, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzemsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tem, co przesuwało się przed jego oczyma. Lecz jakże zmienił się rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wyrastająca ze wstrętu,—teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapie-

żnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, jacy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli, — co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając, w jego sercu jakieś skowyczenie, z jakiem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, która nań wyrok wydała.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą...

I odszedł w towarzystwie asystentów. Od drzwi powrócił jeszcze na chwilkę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieszczotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go znienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął

oczy i leżał długo — aż nastała w nim cisza nieznana.

Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedem zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmierzonego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta! — szeptal do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niezgorzej przecie...

ANANKE.

Kochałem się czasu tej wiosny w pannie Zofii tak zapalczywie, że aż omdlewałem z gorąca. Upalne dnie czerwcowe były dla mnie jakiemiś olbrzymiemi miarami mdłego smutku, nieskończonego wyczekiwania i melancholii, rozjadającej duszę, jak kwas żrący. Mieszkałem w takim kącie gubernii S—kiej, którego, nie dość, że nie oznaczano na najbardziej szczegółowych mapach, lecz skąd nawet nie wyjeżdżało się już nigdzie, ponieważ dalej były tylko niezbadane wydmy lotnego piasku, oraz łany tatarki, tatarki i tatarki bez końca, sięgające prawdopodobnie wybrzeży morza Baltyckiego. Trzy razy na tydzień przyjeżdżała do stołecznego miasteczka mej okolicy „bieda“ pocztowa, przywożąca mi listy panny Zofii, trzy razy chodził po nie dosyć szybkonogi posłaniec—poza tem istniałem tylko, jako chodzące wysychanie z tęsknoty... „Bieda“ przybija do progu stacyi pocztowej po przebyciu

trzęsawisk czteromilowych o godzinie jedenastej,—posłaniec stał już zawsze na progu o tej porze i „czochał się“ plecami o odrzwia; nim jednak powrócił do domu i powymijał wszystkie karczmy przydrożne, była zazwyczaj druga, nieraz aż trzecia godzina po południu.

Ten właśnie czas osłabiał mię najbardziej. Chodząc od okna do okna, oddawałem się na pastwę rozmaitych ćwiczeń umysłowych: uprzytomniałem sobie i segregowałem rozmaite zadziwiające nazwy, takie jak: *Czukizanka*, *Titikacha*, *Dawalaghiri*, wyliczałem na pamięć takie właśnie *aorysty*, których nieznajomość przyprawiała mię swego czasu o *lufy*, mnożyłem godziny przez minuty, minuty przez sekundy, czasami nawet w sekrecie przed samym sobą posuwałem wielką wskazówkę zegara...

Właśnie podczas jednego z takich wyczekiwań na przybycie szybkonogiego wpadłem na pomysł mniej więcej genialny:—postanowiłem, dla uniknięcia zwłoki, sam jeździć na pocztę.

Jeździłem tedy konno—„cichym, rzewnym, smutnym truchtem,“ marząc z przymkniętemi powiekami o słodkich słowach „sowiookiej,“ które na chwilę złagodzą dokuczliwą newralgię duszy, pociąganej na zewnątrz ciągle i nieodparcie do zamglonych krain szczęścia.

Stawałem przed pocztą zazwyczaj o godzinie dziesiątej, wchodziłem do biura, kłaniałem się panu Ignacemu i czekałem. Pan Ignacy był jedynym dygnitarzem swej kancelaryi. Był to człowiek młody jeszcze, ale niesłychanie i przedwcześnie zdezelowany. Siedział zawsze przy biurku w surduciku, przypominającym nieco tużurki czasów kampanii węgierskiej, splamionym w jakich sześciuset miejscach, w niezwykle szerokiej, przydeptanej, a oblepionej od dołu warstwą zeschłego błota dolnej szacie i gumowym kołnierzyku, — przekładał listy, tłukł je pieczęcią i pisał, mrugając czerwonemi powiekami.

Miękkie blado-płowe włoski nad jego czołem przerzedziły się już znacznie — nie od nawału myśli zapewne, nie na znak nawet, że się żyło, lecz tak oto—z biedy „wzięły“ i wylazły; koniuszczek nosa, w kształcie pięty i o kolorze rędziny proszowskiej, poczerwieniał odrobinkę nie od *szpagałówki* nawet, lecz tak oto, — może od „chlipania“ w sekrecie przed wszystkimi, z łez... Uczuciowcem był pan Ignacy, egzaltował się, jak guwernantka.

Kancelaryjkę pocztową dzieliło na dwie połowy nie dosięgające sufitu przepierzenie, poza którem mieściło się prywatne mienie „naczelnika.“ Z za przepierzenia dolatywał zawsze

tłumiony płacz dziecięcy, trąbienie, gwizdanie, tupanie, odgłosy bójek, pisk, klapsy,—czasami nawet takie dźwięki i zapachy, wobec których opisu pióro się wzdryga. Pan Ignacy był ojcem dziewięciorga dziatek.

— Dziewięć numerów, proszę łaskawego pana, jak maku, che-che-che...—mawiał, przedstawiając mi już to Stasia, już Jasia, Wacia, Kazię, Manię, Józię i t. d.

Niejednokrotnie, gdy przyjechałem zbyt wcześnie i nie zastałem naczelnika, kupującego na targu masło, mleko, kartofle, kaszę i t. d., stawała w wązkich drzwiczkach przepierzenia pani naczelnikowa, dygała i usiłowała bawić mię rozmową.

Dość przymknąć oczy, aby z dziwną wyrazistością przypomnieć tę ofiarę monoandryi.

Nie sądzę, aby zdejmowała lub zmieniała kiedykolwiek stanik, połyskujący od stwardniałej warstwy wylanych nań już w odległej przeszłości płynów o przeróżnym składzie chemicznym, albo połataną spódnicę. Nie miała więcej nad lat trzydzieści, musiała być niegdyś bardzo ładną,—wówczas jednak był to szkielet wyschnięty i znędzniały tak bardzo, że miał pozór rzeczy zmiażdżonej. Jej spiczaste ramiona, wystający obojczyk, zapadnięte piersi, posieczone ręce, twarz żółta ze smutnie, niby do pła-

czu zagiętymi ku dołowi, kątami ust—przypominały, nie wiedzeć czemu, źrebię w pierwszym roku wprzężone do pługa. Nie wiem, czy się kiedy czesała lub myła,—bo ogonek zwiniętych włosów zawsze jednakowo sterczał na ciemieniu, lecz jakże często oczy jej musiały przemywać łzy gorzkie! W oczach tych było coś, co raziło dokuczliwie, co bolało niemal, jakaś nieustanna trwoga, coś, co jest napoły łzą, napoły osłupieniem.

Na uwieńczenie niedoli ta niezwykle uro dzajna dama była znowu w położeniu, jakiego tak usilnie domagają się socyologowie i statystycy francyscy od płci pięknej ich francuskiej, ojczyzny.

Myślenie pani Ignacowej nie przekraczało progu jej mieszkania:—nie umiała mówić o niczem, co nie tyczyło się bezpośrednio jej dzieci. Jaś miał ospę tej zimy. Józia przechodziła tyfus, Wacio szkarlatynę, tamten z wyłażącymi z dziur w barchanowych niezapominajkach kolanami—krup, to maleńkie chore na żołądek, zapalenie płuc, febrę, kaszel, malaryę, jakieś „ognipióry,“ angielskie choroby, winka, emetyki, oleje, proszki, kataplazmy, bańki...—o, la Boga!

W wązkiej, wilgotnej i podobnej do paki izbie leżały wszędzie mniejsze lub większe sienniki, na poobdzieranej brutalnie sofce, na zsu-

niętych kuferkach i krzesełkach, kołdry z wytarganą watą, poduszki i poduszeczki, wisiały i leżały ubrania dziecięce najdziwniejszych fasonów, suszyła się na sznurku mokra bielizna—i panował szpitalno-familijny zapach domowego ogniska.

Wchodziłem tam czasami, siadałem na kuferku i słuchałem opowiadań pani Ignacowej, licząc po swojemu minuty i sekundy. Opowiadała mi, że najstarszy dziewięcioletni Staś jest bardzo dobrze przez miejscowego profesora przygotowany do egzaminu, że zda napewno do klasy pierwszej, że nawet Boruch Kwiat podjął się po wielkich targach przerobić ufarbowany już na granatowo stary surdut syberynowy na mundur, że już pewien poczciwy mieszczanin, stolarz, robi łóżko malowane na wyprawę dla Stasia za darmo, — tylko... stancya...

Jakże straszliwie dźwięczał w jej ustach ten wyraz, jak boleśnie mdlały te szklane tępo-myślące oczy!...

Staś ów chodził między czeredą młodszego rodzeństwa w swych fantastycznie powykrzywianych butach i kurtce z wystrzępionymi łokciami, mruczał coś bez przerwy pod nosem, trzymając przed oczami jakąś gramatykę, a dla rozrywki i w sekrecie przed matką dawał

temu lub owego *byka* w ucho, lub stawał i najobojętniej dłubał w nosie.

— Staś, ucz się! Staś, ucz się! Staś, ucz się!—powtarzała machinalnie, zasłyszawszy że mruczenie zacichło.

Jeszcze pamietam ten głos ostry, krzykliwy, będący wyrazem biednej, znikomej nadziei...

...Zdziwiłem się bardzo, gdy wszedłszy pewnego razu do biura, nie usłyszałem za przepierzeniem żadnego głosu. Pan Ignacy siedział przy stoliku, z głową bezwładnie leżącą na rękach. Nie od razu usłyszał moje powitanie, a gdy podniósł wreszcie głowę i obejrzał się na mnie przez ramię, — poznałem, że go spotkało jakieś wielkie nieszczęście.

— Panie, co panu jest? — mówiłem, pochylając się nad nim.

— A nic... — odpowiedział niedbale.

— Gdzież żona?

— A dyabli ją tam wiedzą, gdzie jest... Uciekła.

— Jakto uciekła?

— No, uciekła i basta... daj mi pan pokój.

— Z gachem uciekła?

— Nie z żadnym gachem.

— A dzieci? gdzież dzieci?

Podniósł się leniwo po tem pytaniu, podszedł do okna i stał tam przez chwilę. Ramiona jego kurczowo dźwigały się do góry, jakby się przeciągał. Potem odwrócił się do mnie, spojrzał wzrokiem zabitym, jak patrzy lis zaszczuty, z odstrzelonemi nogami, gdy go dopędzają ogary, — zbliżył się i zaczął mówić cicho, zeskrobując paznogciem krople zastygłej na stole stearyny:

— Widzi pan, ja...

I umilkł, uśmiechnąwszy się głupio. Zajrzałem mu w oczy, w same białka...

— A!... — wyszeptałem, zrozumiawszy.

Staliśmy obok siebie długo, w milczeniu. Kilka razy spoglądał na mnie ze strasznym smutkiem, z niewymowną zazdrością, jaką czuć musi człowiek skazany niewinnie na śmierć, gdy idzie między tłumami, które go nienawidzą, i nie dostrzega ani na jednej twarzy wyrazu współczucia. Widziałem, jak pragnie śmierci, jednej, jedynej śmierci, jak nie ma w mózgu ani jednej myśli, a jeśli tam pracują jakie, to sprawiając wrażenie garści tłuczonego szkła.

— Chłopiec miał iść do szkół, — zaczął mówić głosem ochrypłym i zdławionym, — nie mogłem... nie poważyłem się na kradzież, na owinięcie palca nie skrzywdziłem nikogo,

uczciwym człowiek... A wreszcie za czemże się miałem rozpadać, kto na mnie wejrzał? Na moją nędzę?...

Niespodziewanie zaczął mówić szybko, coraz głośniej, drepcząc na jednem miejscu:

— Przyjechałem nad ranem, wywołałem żonę i mówię jej od razu—tak i tak... Tu stała, gdzie pan teraz,—to, mówię panu, pary, suka, z gęby nie puściła, tylko mię ręką pomacała za ramię, popatrzała, pokiwała głową i poszła do izby. Zajrzę ja przez szparę: widzę — stoi przy oknie jak wiecha, beczy po cichuteńku, po swojemu, łza łzę pobija, a żeby słowo—nic! Zaraz poznałem, że źle. Przysiadłem tu na kuferku i dosiedziałem do białego dnia.

Rano wyleciałem na świat, bo mię tu coś aż dusić zaczęło od tej cichości; szedłem drogą chyba ze dwie wiorsty. Rosa była, chłód... Położyłem się pod lasem; leżę, a w głowie to tak, jakby kowal młotem bił w kowadło. Nieraz to mię tak ściskało, jakby we mnie jakiś człowiek wrzeszczał. Przeleżałem tam ze cztery, z pięć godzin; przyszedłem, bo godziny biurowe nadchodziły,—słyszę: w stancyi cicho. Zajrzałem za drzwi i zacząłem dygotać: niema nic. Wszystko panu pozostawiała, jednego gałgana nie wzięła, zagarnęła dzieci i poszła.

— Dokąd-że?

— Wypadłem bez czapki, lecę, ludzi się pytam. — Szosą, powiadają, widzieli jak szła. Uleciałem z jakie pół mili: — niema! Dopiero zda mi się spojrzeć na bok, — idą boczną drogą, cały tabór: Kazię niesie na plecach, to najmniejsze na ręce, a resztę zagania, zagania...

Wołać nie mógłem, bo mię w gardle ścisnęło, z sił opadłem. Jak mię zobaczyła, wzięła z drogi kamień, jak bochenek chleba, i szła do mnie. Tom się jej u nóg włóczył, po trzewikach całował, wpoprzek drogi kładł, — na nic! Z nią nie poradzi: nożami ją pokraj — nie i nie! Jak te dzieci zaczęły płakać...

Nagle odepchnął mię, skoczył we drzwi do izby i runął tam na łóżko. Gdym wszedł za nim, widziałem, jak wbił głowę w poduszkę i zaczął ją targać, jak pies, zębami. Rozległ się płacz dziki, okrutny, jakiś zwierzęcy...

Odszedłem; wynalazłszy list panny Zofii, zabrałem go i nie wiem kiedy znalazłem się na siodle. Nie śmiałem i nie mogłem rozerwać koperty. A jednak—jakże niezmiernie czułem się szczęśliwym tą odrobiną faryzeusza, która jest w sercu. Tylko ani szelest wiatru, gdy koń pędził cwałem, ani list, który, przyciskałem do serca, nie mogły mi wygnać z oczu obrazu tej znędzniałej kobiety, idącej w świat bezmierny...

ZMIERZCH.

Między grube pnie kilku świerków, jakie sterczą samotnie na skraju poręby, plamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniło-zielony upłaz wzgórza, zsuwało się słońce, pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyzłacając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębów i szkliły na wodach.

W brózdach ściernisk i podorywek jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, mieniły się rude plamy, jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padal uciążliwy dla oczu, zwodniczy cień fioletowy, piaszczyste wydmy żółkły, — zielska na przykopach, krzaki na

miedzach miały jakieś nieswoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz, obdartych z lasu, płynęła struga, rozlewając się w zatoki, bagna, płanie i szyje, powstająca tam właśnie ze źródlisk zaskórnych. Dokoła wody na torfiastym kożuchu rosły gąszcze trzcin, wysmukłe sity, tatarki i kępy nizkie rokiciny. Nieruchoma, czerwona woda świeciła się teraz z pod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam biało-zielonych.

Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakroć z wyciągniętemi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze, — wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę piersiami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej, ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarce i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatemi skrzydłami dokoła badylów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlistej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szczudlastych nogach, cienkich jak włosy a zaopatrzo-

nych w kolosalne i nasycone tłuszczem stopy — i pracowało dwoje ludzi.

Błota należały do dworu. Dawniejszy młody dziedzic taplał się po nich z wyżłem za kaczkami i bekasami póty, póki wszystkich lasów nie wyciął, pól nie zostawił odłogiem i, wyleciawszy nagle z dziedzictwa, nie oparł się aż w Warszawie, gdzie teraz wodę sodową w budce sprzedaje.

Gdy nastał nowy, mądry dziedzic, biegał po polach z kijkiem i często nad błotami stawał, w nosie dłubiąc.

Gmerał w bagnie rękami, dziury kopał, mierzył, wąchał — aż wreszcie wymyślił rzecz dziwną. Kazał karbowemu najmować dzień w dzień chłopów do kopania torfu, szlam na pola wywozić taczkami, na kupy składać, a dziury kopać precz, póki się nie wybierze miejsca na sadzawkę; wówczas groble fundować, dół na drugą sadzawkę wybierać niżej, aż ich się kilkanaście uzbiera; wtedy rowy rznąć, wody napuszczać, mnichy wstawiać i ryby sadzić...

Do wywożenia torfu najął się zaraz Walek Gibała, bezrolny wyrobnik, na komornem siedzący w poblizkiej wiosce. Gibała u dawnego dziedzica służył za fornala, ale u nowego się nie utrzymał. Nowy dziedzic i nowy rządca

po pierwsze ordynaryę i pensyę zaraz zmniejszyli, a powtóre szukali w każdej rzeczy złodziejstwa. U dawnego dziedzica każdy fornal pół garnca owsa swojej parze koni ujmował i niósł wieczorkiem do szynkarza Berlina za tytuń, za bibułkę, za kapkę gorzałki. Jak tylko nowy rządca nastał, zaraz ten interes zmiarkował, a że na Walka właśnie wina padła, w pysk mu dał i wygnał ze służby.

Odtąd Walek z babą siedział na komornem we wsi, bo służby znaleźć nie mógł: rządca wydał mu takie świadectwo, że niepodobna było zgłaszać się nawet gdziekolwiek do służby. We żniwa tu i owdzie po chłopach zarabiali oboje; ale zimą i na przednówku marli głód straszliwy, nieopisany. Ogromny, kościsty, z żelaznemi mięśniami chłop wysechł, jak wiór, zczerniał, zgarbił się, zesłabł. Baba — jak baba, u kumoszki się pożywi, grzybów, malin, poziomek nazbiera do dworu, albo do żyda zaniesie i choć na bułkę chleba zarobi, a chłop przy młocce bez jedzenia nie podoła. Gdy karbowy zapowiedział kopanie na łące, obojgu aż się oczy zaświeciły. Sam rządca 30 kop. od wyrzucenia sążnia kubicznego obiecał.

Walek babę do kopania zajmował dzień dnia. Ona taczki naładowuje, on po tarcicach,

rzuconych przez bajora, wywozi szlam na pole. Robota pali im się w rękach. Mają dwoje wielkich i głębokich taczek,—nim Walek puste przyciągnie, już drugie naładowane,. — szlę na ramiona narzuca i pcha pod górę. Żelazne kółko skrzypi przeraźliwie; rzadkie, czarne, cieknące, przerośnięte korzonkami błoto pierzcha i flejtuchami pada na obnażone do kolan nogi chłopa, gdy taczki z deski na deskę przeskakują, szla wrzyna mu się w kark i ramiona, wyciskając na koszuli czarną pręgę cuchnącego potu, ręce mdleją w łokciach, nogi cierpną i drętwieją od zanurzania ich w szlamie, — ale dwa kubiki na dużym dniu wybrane — to znaczy kawał grosza w kieszeni.

Mieli nadzieję, że pod koniec jesieni trzydzieści rubli odłożą, komorne zapłacą, beczkę kapusty zakupią, ziemniaków z pięć korcy, sukmanę, buty, zapasek ze dwie, szorc dla baby, płótna na koszule, że przebiedują do wiosny, to młocką, to tkactwem u ludzi dorabiając.

Aż tu rządcy po 30 kop. od kubika wydało się znienacka za wiele. Zwąchał, że nie każdy się złakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy bez namysłu do takiej roboty się kwa-

pią; po 20 kopiejek, powiada, to dobrze, a nie, to nie...

Po chłopach w taki czas nie zarobi, dwór się swoimi ludźmi przy młockarniach i maszynach obywa—przebierać niema w czem. Walek po takiej zapowiedzi poszedł do karczmy i schlał się ze złości jak bydlę. Na drugi dzień rano babę wyprał i pojął z sobą do roboty.

Od tego czasu—na małym dniu—te same dwa kubiki wyrzucają, od rannego brzasku do szczerej nocy nie ustając w robocie.

I teraz oto zdala noc idzie. Dalekie, jasno niebieskie lasy zczerniały i rozpływają się w pomroce szarej, na wodach blask przygasa, od stojących przed zorzą świerków padają niezmierne cienie, na szczytach wzgórz, po porębach czerwienią się tylko jeszcze gdzieniegdzie to pniaki, to kamienie. Od tych punktów świecących odbijają się małe i nikłe promyki, wpadają w głębokie pustki, jakie tworzy pośród przedmiotów ciemność niezupełna, wibrują w nich, łamią się, drżą przez mgnienie oka i gasną, gasną po kolei. Drzewa i krzewy tracą wypukłości, bryłowatość, kolor naturalny i tkwią w szarej przestrzeni tylko jako płaskie kształty o dziwacznych zarysach, czarne zupełnie.

W nizinie zsiada się już mrok gęsty i pociąga chłód na wskróś przejmujący człowieka. Pomroka idzie niewidzialnemi falami, pełznie po zboczach wzgórz, wciągając w siebie jałowe barwy ściernisk, wykrotów, osypisk, głazów.

Na spotkanie fal mroku wstają z bagien inne, białawe, przejrzyste, ledwo — ledwo widzialne, czołgają się smugami, kłębkami okręcają się dokoła zarośli, dygocą i miętoszą ponad wód powierzchnią. Zimny powiew wilgoci mięsi je, tłucze po dnie doliny, rozciąga na płask, jak postaw zgrzebnego płótna.

— Mgła idzie... szepce Walkowa. Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagląda w oczy i uciska serce jakąś nieznaną zgryzotą. Walkową strach ogarnia. Włosy jeżą jej się na głowie i mrowie przechodzi po skórze. Mgły idą, jak żywe ciała, podpełzają do niej chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu ławą suną coraz natarczywiej. Kładą na niej wreszcie wilgotne swe ręce, wsiąkają w ciało aż do kości, drapią w gardzieli i łechcą w piersiach. Wtedy przypomina jej się dziecko. Od południa go nie widziała: śpi samo jedno w zamkniętej

izbie, w kolebce lipowej, zawieszonej u stragarza na brzozowych wiciach. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka... Matka słyszy ten płacz przedziwny, żałosny, jak pisk kani na pustkowiu, rozlega on się w jej uszach, nęka jakieś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o nim, bo twarda robota rozprasza wszelkie myśli, unicestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją do skupienia się, zaczepienia myślami o tę kruszynę...

— Walek, — mówi trwożliwie, gdy chłop taczki przyciągnął — polecę do chałupy, naskrobię ziemniaków...

Gibała nie odpowiada, jakby nie dosłyszał, zabiera taczki i rusza, przysiadając, jak wór żyta na wadze dziesiętnej. Gdy powrócił, kobieta błaga znowu:

— Waluś, polecę?...

— Ej...—mruknął od niechcenia.

Zna ona jego gniew, wie, jak on umie chwycić pod żebro, zebrać w garść skórę, trząsnąć raz, drugi, a potem cisnąć człowiekiem, jak kamieniem między szuwary. Wie, jak on potrafi zedrzeć jej szmatkę z głowy, omotać sobie pięść włosami i przewlec struchlałą kobietę kawał drogi, albo w zapamiętałości wy-

rwać z błota rydel i ciąć przez łeb bez namysłu — zabije, czy nie zabije.

Ale nad bojaźnią kary góruje w niej niecierpliwy niepokój, podniecający aż do bólu. Chwilami baba zamierza uciec: tylko się na bałyku zsunąć w wąwozik, skoczyć przez strugę, a potem po roli, po zagonach, na przełaj. Schylając się i napełniając taczki, leci myślami, skacze jak łasica, wyczuwa już prawie ból gdy boso biedz będzie po ścierniach, zarosłych drobną tarniną i jeżynami... Te ostre kolki kłują nie tylko jej nogi, ale przebijają serce. Dopada chaty, odmyka zasuwę drewnianym kluczem, bije jej na twarz ciepło i zaduch izby,—spina się do kolebki... Zbije ją Walek, gdy przyjdzie do chaty, skatuje, — a to i cóż: to tam już potem...

Skoro jednak Walek wynurzy się z mgły ogarnia ją lęk jego pięści. Znowu się modli pokornie, aczkolwiek wie, że jej ten zbój nie puści.

— Ady tam dziewucha może uświerkła...

Nie odpowiedział nic, zrzucił z ramienia szelkę od taczek, zbliżył się do żony i wskazał ruchem głowy palik, do którego muszą dziś dokopać. Potem ujął za rydel i zaczął raz za razem narzucać szlam na swoje taczki. Robił to zapamiętale, szybko, co tchu. Narzuciwszy

pełne taczki, popchnął je, biegnąc cwałem i rzekł na odchodnem:

— Pchaj i ty swoje, próżniaku...

Pojęła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubijańską dobroć, tę twardą i surową jakby pieszczotę, bo jeśli narzucają zie mię oboje, robotę skończyć daleko można prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy, jak małpa, narzucała błoto cztery razy szybciej—już nie mięśniami, nie chłopską, rozważną ekonomią wysiłku, ale mocą nerwów. W piersiach jej rzężało, pod powiekami migały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy gorzkie, grube, łzy bezmyślnego bólu—w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrzy, czy do palika daleko; gdy ładunek gotowy, chwyta taczki i biegnie „w dyrdy,“ naśladując chłopa.

Mgły wspięły się wysoko, zawlekły szuwary i nad szczytem olszyn murem nieruchomym stoją. Znać w nich drzewa, jak plamy nieokreślonej barwy, dziwacznie wielkich kształtów, a nędzarzy, biegających wpoprzek rozdołu, jak jakieś potwornie ogromne widma.

Głowy ich opadają na piersi, ręce wykonywują ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi...

Kółka taczek turkocą i skwierczą, fale podobne do rozcieńczonego wodą mleka kołyszą się między wzgórzami czarnemi.

W głębinie niebios rozniecila się gwiazda wieczorna, płonie drżąc i ciska wpoprzek uroków ubogie swoje światełko.



ZŁE PRZECZUCIE.

Od godziny już ziewałem na dworcu kolejowym, oczekując nadejścia pociągu. Wytrzeszczałem z nudów oczy do kilku po kolei dam, również ziewających w rozmaitych kątach sali, doczekałem się nawet skutku „robienia oka,“ gdyż jakaś młodziutka blondynka z białym noskiem, usteczkami jak listki róży, z oczami jak listki błękitnej portulaki, pokazała mi zwinięty w trąbkę język, czerwony jak listek polnego maku—i... nie wiedziałem co dalej przedsięwziąć dla zabicia czasu.

Na szczęście weszło do sali dwu młodych studentów, zabłoconych aż do bród—mierzwinek, zmęczonych drogą i roztargnionych. Jeden z nich szczególnie, jasny blondyn o przecudownym profilu, był dziwnie rozmarzony, czy zrozpaczony. Usiadł w kącie, zdjął czapkę i co chwila chował twarz w dłonie. Towarzysz kupił i wręczył mu bilet, usiadł obok i co chwila pociągał go za rękaw.

— Czegóż rozpaczasz? Jeszcze może być wszystko dobrze. Antoś, słyszysz...

— Nie... to darmo, umrze, ja wiem... może nawet już...

— Dajcie pokój! Czy ojciec miał kiedy tego rodzaju ataki?

— Miał... od trzynastu lat na serce chory; pił... czasami. Pomyśl, nas ośmioro, małe dziewczęta, matka słabowita. Do emerytury brakuje półtora roku... To dola!

— Zobaczysz, że mu przejdzie, Antek!...

Dzwonek uderzył; w sali powstał zamęt, porywanie pakunków, deptanie się wzajem po odciskach, tłumne odpychanie od drzwi wchodowych szwajcara, gwar i zamieszanie. Wsiadłem do tego samego wagonu klasy trzeciej, w którym umieścił się blondynek student. Kolega odprowadził go do wagonu, posadził, jak chorego, w kąciku ławki obok okna i usiłował go pocieszać, choć mu to nie szło i słowa więzły w gardle. Twarz blondyna drgała od czasu do czasu kurczowo i powieki zsuwały się na jego zamglone oczy.

— Antoś, bracie,—mówił tamten —zobaczysz no... jak Boga kocham; przekonasz się, do wszystkich dyabłów!...

Zadzwoniono po raz drugi i trzeci, pocieszyciel wybiegł z wagonu i, gdy pociąg ruszył,

przesyłał towarzyszowi dziwne ukłony, jakby mu groził pięściami.

W wagonie mnóstwo było ludzi prostych, żydów, dam w salopach, szerokich jak zatoka Biskajska,—gadano, zdobywano miejsca kułakami, palono papierosy.

Student stanął przy oknie i patrzał, patrzał...

Za spotniałą szybą przesuwały się pasy iskier, jak rozpalone do czerwoności druty, kłęby pary i dymu, jak wielkie kłaki waty, które wiatr darł na strzępy i ciskał o ziemię. Dymy te wlokły się po małych krzakach, rosnących tam w dole na zmoczonej deszczem ziemi. Zmierzch dnia jesiennego zalewał krajobraz półświatłem, pełnem jakiejś nieopisanej, posępnej melancholii.

Biedny, biedny chłopiec...

Patrzał wzrokiem zagasłym, jakim patrzy pustka smutku bez granic, który zachodzi aż w dziedzinę mądrości. Wiedziałem, że w pustce tej jest jeden tylko rdzeń stały:—niepokój. Wiedziałem, że na ten rdzeń nawija się cieniutka niteczka nadziei, bardzo długa, wybiegająca z jakichś nieznanych krosien, ukrytych poza granicami świadomości. Nikogo nie widział, nic nie słyszał, śledząc bezmyślnie kłęby dymu. Wiedziałem, jak mu jest źle, jak wolno

posuwa się dlań pociąg, jaki on zmęczony, jakby chętnie teraz płakał, gdyby mógł. Niteczka nadziei łechce mu serce: kto wie?—może wyzdrowieje ojciec, może się wszystko ułoży...

I nagle — zgadłem! — krew uciekła z tej twarzy, wargi zbielały i zatrzęsły się, szeroko rozwarte oczy z przerażeniem patrzały daleko, daleko. W przestrzeni, martwej dotąd i pustej — coś ożyło, jakby ręka z grożącym palcem wyciągała się ku niemu, jakby wiatr zawołał: — strzeż się!

Nitka nadziei pękła i naga, nadmiernie bolesna prawda, w którą nie wierzył do tej chwili, przeszyła mu serce, jak miecz nagi.

Gdybym się był wówczas do niego zbliżył i powiedział mu, że jestem duchem, który wszystko wie, że wiem dobre dla niego wieści, że ojciec jego nie umarł w tej chwili, — byłby mi upadł do nóg i uwierzył. Wyświadczyłbym mu łaskę niewysłowioną...

Lecz nie poszedłem do niego, nie uścisnąłem mu ręki. Wolałem przyglądać mu się z pilną i nienasyconą ciekawością brata-człowieka.

PO SEDANIE.

...Od sześciu dni cały szwadron dragonów pruskich ścigał szczątek naszego batalionu. Uciekaliśmy o głodzie, bez snu, na oślep, jak stadko owiec. Na nasze nieszczęście bez przerwy padał deszcz: — w lesie spać nie było można. Podeszwy kamaszów naszych przeniosły się do dziedziny wspomnień, a my, pod ich nieobecność, brnęliśmy boso po igłach i patykach leśnych, po kamieniach i piaskach. Nogi puchły od ran, — ten i ów zostawał w lesie odpocząć—i kto wie, jaki go los spotykał...

Nareszcie wymknęliśmy się Prusakom na daleką odległość, dopadliśmy nad wieczorem folwarczku, ukrytego między wzgórzem a lasem... Sen będzie! Co za rozkosz nadziemska... Ta straszna potrzeba, silniejsza od obawy śmierci, zwaliła nas z nóg, jak tylko gospodarz nasłał słomy w obszernej sieni domostwa. Zasypialiśmy, nie jadłszy po długim

poście, nie rozbierając się z przemokłych i gnijących łachmanów.

Ja, jakkolwiek usnąłem po bohatersku, budziłem się pierwszy, gdy mię dym zakrztusił. Przysiadłem na posłaniu i przez sen zacząłem się oryentować: — płomienie raziły mi oczy... Zerwałem się i jąłem ciągnąć za włosy towarzyszów. Podkurzono nas. Dym, jak z komina, tłoczył się do naszej sieni z drzwi izby sąsiedniej, paliły się zabudowania folwarczne, rozlegał się trzask, łoskot. Ten i ów z kolegów, których biłem po twarzach i szarpałem za czupryny, sięgał do bagnetu, ażeby mię przebić i padał bezwładny. Rozbudzeni zaczęli mi pomagać, wysadzili okno i ciągnęli ku niemu śpiących.

Wreszcie powyskakiwali wszyscy.

Odnalazłszy w słomie mój sztucer belgijski, przypasałem bagnet i zaczaiłem się przy oknie.

Głuchy trzask rozlegał się raz po raz: — wybijano ich po kolei, jak kaczki. Włosy wstawały mi na głowie...

Skoczyłem we drzwi, skąd dym wybuchał, mijałem puste izby, oświetlone smugami krwawego światła, wdzierającemi się przez serca okiennic i, dusząc się w dymie, doszedłem do jakiejś sionki.

Wybiłem okno, wyrwałem okiennicę i skoczyłem w kępę bzów, rosnącą tuż pod oknami. Za bzami ciągnęła się błotnista droga, do której dotykała ró wnina, jałowcem zrzadka porosła. Zaczaiłem się w krzakach, wietrząc Niemców, jak pies. Zdawało mi się, że z tej strony niema nikogo.

— Skoczę—myślałem, drżąc cały, choć spadały na mnie ogniste wiechcie palącej się strzechy,—popełznę między krzakami... może nie dojrzą...

Jednym susem wypadłem na środek drogi i, zgiąwszy się w pałąk, zamierzałem dopełznąć do pierwszego krzaka...

Nagle — ścierpłem! Naprzeciwko mnie szła rozwiniętym szeregiem kolumna konnicy. Na drodze szpilkę by znalazł od płonącego, strasznego pożaru.

Stanąłem na środku, jak słup, zdrętwiałem... Gdyby się wstrzymali, uciekłbym był pewno, choćby w płomienie, — lecz że szli na mnie bystrym kłusem, coś we mnie prysnęło. Na twarze wrogów, na ich konie, głowice pałaszów padał czerwony blask ognia.

Wolno podniosłem sztucer i zmierzyłem w środek szwadronu. Mierzyłem po bohatersku w środek kolumny ze trzy sekundy. Strzał padł. Oficer wyciągnął ku mnie pałasz, mignął nim, pochylił się na łeb konia i wolno

zleciał na ziemię. Ja tymczasem nasadziłem na lufę bagnet. Skoczyło do mnie z wrzaskiem ze dwudziestu żołnierzy, mignęło ze dwadzieścia szabel. Zepchnąłem z siodła pierwszego, który mię dopadł, pchnąłem bagnetem drugiego, lecz bagnet trafił w pustą przestrzeń,—gdyż usłyszałem wtedy, jakby nagle zadzwoniono naraz w jakich trzydziestu kościołach we wszystkie dzwony. Potem zacząłem lecieć do góry, na dół, do góry, na dół, coraz głębiej, coraz niżej.

Głos dzwonów ucichał, jakby wsiąkał w głąb ziemi. Nie wiem, jak to długo trwać mogło.

Otrzeźwiałem na chwilę.

Wtedym poczuł, jakby mi się czaszka rozłupywała, w czole palił mię straszny ogień.

Gdym dotknął tego miejsca ręką, dwa palce wsunęły się w jamę. Krew, szeroką strugą zalewająca mi oczy, napływająca we włosy, w usta i nos, krzepła.

Odgarnąłem ją z oczu, dźwignąłem się na kolana, odnalazłem omackiem sztucer i, kiwając się, zacząłem go nabijać, nabijać, nabijać...

Zdawało mi się, żem nabił, przyłożyłem kolbę do szczęki i mierzyłem do nieprzyjaciół, których już prawdopodobnie nie było...

Lecz wtedy znowu poleciałem w szarą mgłę, po której latały czerwone iskry, długie, niby żyły krwawe...

POKUSA.

Najmłodszy z synów JW. Pani Anny Krzywosąd-Nasławskiej poświęcił się stanowi duchownemu. Od lat pacholęcych zdradzał niezwykłe zamiłowanie do modlitwy, był cichy, pokorny, nad wyraz poważny i świętobliwy. Kształcił się w Rzymie pod okiem dalekiego kuzyna — kardynała i tam też, lat zaledwie dziewiętnaście sobie licząc, seminaryum chlubnie ukończył. Ponieważ nie mógł, dla braku lat odpowiednich, otrzymać święceń kapłańskich, przybył do kraju po raz pierwszy od lat wielu i w domu matki zamieszkał.

Umieścił się w narożnej izdebce pałacu, pustej i wilgotnej, jak cela więzienna, sypiał na ziemi, pościł bez przerwy, księgi łacińskie czytał, — podobno nawet biczował się nocami i włosienicę pod wyszarzaną sutanną kleryka nosił. Był niewysłowienie dobry, łagodny, przebaczający urazy i aż nieznośnie skromny.

Jeżeli siadał, to na samym brzeżku krzesełka, jak gdyby się lękał, by w chwili nastąpić mogącego wniebowzięcia o stołek sutanną nie zawadzić, — chodził na paluszkach, jakby pod podeszwami sandałów miał mistyczne jakieś druciki, chroniące od pyłu ziemi, — przemawiał językiem niesłychanie biblijnym, unikał ludzi, szeptał modlitwy na widok dziewcząt wiejskich...

Codziennie przed świtem opuszczał mieszkanie i szedł w pola. Tam najłatwiej mógł znajdować nazwy dla Stwórcy, tam ekstatyczne jego marzenia najszersze zataczały kręgi. Ścieżką, wydeptaną wśród niezmiernego łanu żyta, wstępował na wzgórze odległe, gdzie w cieniu sosen kryła się leśna, napoły zmurszała kapliczka.

Dnia tego szedł, jak zwykle. Okolica zanurzona była jeszcze w mroku nocy, choć na wschodzie paliła się już liliowa wstęga brzasku. U kolan zdziebeł żytnich wisiały wielkie krople, zmoczona była przez nie ścieżynka, schylały się pod jej ciężarem szypułki kłosów. Zboże, słabo oświetlone brzaskiem, jak wielka fala, rzuciło się ku górce aż do lasu, w który wkraczało zatokami. Wisiał w powietrzu zapach ziemi i dojrzewającego zboża, co roznieca w człowieku poczucie sił, zdrowia i młodości.

Ostry, wilgotny oddech lasu pociągał stamtąd, z tej czarnej głębiny wielkich drzew, po których szczytach rozchodzić się zaczął przedświt niebieski. Kleryk szedł wolno, nogi jego posuwały się bezwładnie, rękę prowadził po powierzchni żyta. Z pod nóg zrywały mu się skowronki i dzierlatki i wpadały, jak kamienie, coprędzej w gąszcz zbożowy.

Brzask się w zorzę rozlewał: rósł jak płomień wielki, oświetlał szczeliny, wąwozy i załomy w czarnych chmurach, leniwo leżących nad lasem. Stuletnie świerki, wieńczące szczyt góry, wyszły z nocy niespodziewanie wielkie i wspaniałe, jak kapłany słowiańskie. Gałęzie ich sterczały na przezroczystem tle błękitu, niby ręce wyciągnięte do słońca, które przyjdzie.

Nagle przepłynęła nad ziemią gwałtowna fala:—to podmuch wiatru, goniec świtania, zleciał z gałęzi świerkowych, zwiastując ziołom, trawom, zbożom: słońce!

Zdawało się, że ziemia drgnęła, że zaczyna bić jej serce. Potem i wiatr zwinął skrzydła i zawisł nad ziemią, w pachnącej żywicą, wikliną i zbożami przestrzeni. Nastała chwila śmiertelnej ciszy, długa i dobra, nastała ta tajemnicza minuta przedświtu, kiedy rośliny spalają wszystek węgiel, jaki tylko pochłonąć są zdolne...

Księżyk miał wzrok zwrócony na zorzę. Słowa modlitwy wytaczały się z jego serca na usta, jak się wytacza żywica na korę sosny, gdy przyjdzie wiosna. Doszedł do kapliczki, otwarł drzwi, zbite kołkami z szarych deszczułek i upadł na twarz z rozłożonemi rękami przed wizerunkiem Chrystusa, narysowanym niezgrabnie, ręką prostaka.

Dusza jego uciekła, zdało się, z ziemi pod stopy Boże. Za chwilę spadną ze źrenic jego łuski ślepoty, ujrzy oblicze Przedwiecznego...

Nagle rozlega się rubaszny, brutalny prawie śpiew chłopski:

„Wtedyś mi się, wtedy, Hanka, spodobała,
Jakeś się na polu, jak gąska, bielała..."

Śpiewce tej odpowiedziała inna, kobieca, z daleka dochodząca:

„Nie ja się bielała,—koszulina lniana,
A tyś, Jasiu, myślał, że ja malowana!..."

Młodzieniaszek podniósł się z ziemi i stanął w progu kaplicy. Zobaczył wysokiego parobczaka w koszuli, bosego, w kapeluszu słomianym, karczującego na zrębie lasu jałowce. Drab ten wydzierał z ziemi kilofem korzenie, obmotywał sobie ręce gałązkami i wyciągał krzaki wraz z bryłami ziemi. Ścieżką szła

dziewczyna, niosąca na plecach brzemię chwastu. Róg spódnicy zatknęła za pas, szerokie jej ramiona zbiegały się ku sobie pod ciężarem, głowę tylko, okrytą „szmatką“ czerwoną, podnosiła ku górze, gdzie pracował parobczak. Gdy stanęła na zakręcie ścieżki, kopacz zastąpił jej drogę, odwiązał końce płachty z jej piersi, brzemię złożył na ziemi... Odpychała go rękami, śmiejąc się.

Ksiądz zasłonił sobie dłońmi oczy, lecz po chwili ręce mu opadły na głos nowej śpiewki obojga, która odbijała się w lesie. Była to dziwna muzyka... Las, jak napięta struna, drgał i zanosił się od uderzeń tych dwu głosów.

„W ogródecku — wisienecka,
A w sadecku dwie,
Kochałem cię, Hanuś, zmała
Ludziom, nie sobie.
Dawałem ci na trzewicki,
A tyś nie chciała,
Béłaś wtedyk młodziuleńka
Niezrozumiała...“

Szli na dół, między zbożami, które sięgały do ich głów, pochylonych ku sobie. Głowy te jaskrawo odrzynały się od szarego żyta, oświetlone przez miedziany, olbrzymi puklerz słońca, które wyszło nad krawędź parowu. Szli długo, miedzami, póki ich zboże nie zakryło zupełnie.

Łzy płyną z pod zamkniętych powiek kleryka, ręce jego załamują się gwałtownie... Nieznane słowa, które nazywają po imieniu tęsknotę i błagania miłosne, cisną mu się na usta.

Mówi je do widma o łzawych oczach, o długich splotach dziewiczych włosów, które wypływa z jakiejś jaskini i spada mu na oczy. Wstaje w nim jakaś siła nieznana, nieodegnana natrętna, potężna, potwornie słodka, i wciąga go w daleki przestwór. Dzika wolność duszy rozpętała powrozy, i wyrywa się, jak koń młody, do rozhukanego biegu...

Po długiej chwili, w ciągu której był jak gdyby zespolony z ciszą pól i łąk, zaczął się budzić z letargu. Szmer jakiś wstrząsnął nim nagle. Obejrzał się dokoła i wzniósł oczy w górę, na błękity: pod srebrzystym obłokiem unosił się skowronek dzwoniąc zwykłą swą piosnkę. Myśli biednego ascety biegły za jej odgłosem, wzrok rozjaśnił się powoli, potęga nałogu, potęga wiary obejmowała nad nim utraconą władzę.

— Boże, przebacz mi, przebacz!—szeptały wybladłe usta.

SIŁACZKA.

W najlepszym humorze powrócił do domu d-r Paweł Obarecki z winta, za pośrednictwem którego składał uroczyście życzenia ks. plebanowi, wraz z aptekarzem, pocztiarzem i sędzią w ciągu osiemnastu godzin z rzędu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wedrzeć nie mógł,— usiadł przy stoliku i wpatrywał się przedewszystkiem z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna „metafizyka...“

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Klwowa, Kurozwęk lub, jak d-r Obarecki, do Obrzydłówka,

podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacyi i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych — stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinożerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem, poprzedzającem wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca, rozproszone na trawie przez psy. Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bęblowca—„najzupełniej mi jest wszystko jedno“—zaczyna się właściwie proces umierania. Doktor Paweł w epoce jego życia, o jakiej mówię, zjedzony już był przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energią—zarówno potencyonalną, jak kinetyczną. Doświadczał nieprzezwyciężonego wstrętu do czytania, pisania oraz rachowania, mógł całemi godzinami spacerować po gabinecie, lub leżeć na szezlongu choćby z niezapalonym papierosem w zębach w tęsknem, dokuczliwem i bolesnem niemal oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonem wsłuchiwaniu się w szmery i szelesty, zwiastujące przerwanie ciszy, która dławi

i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczała mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydłówek od przedmieścia do przedmieścia, było coś bolesnego, coś, co poduszczało do wołania o pomoc. Mózg, opleciony niby miękkiem przędziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite, a niejednokrotnie—stanowczo do niczego niepodobne.

Gwizdanie i dysertacye z gospodynią raz przyzwoitsze (o niesłychanej n. p. wyższości pieczonego prosięcia, nadzianego kaszą tatarczaną, rozumie się, bez majeranku, nad takiemże prosięciem, nadzianem innemi substancyami), kiedyindziej zaś ohydnie nieprzystojne—stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się, bywało, na połowę niebios chmura z potwornemi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jej kłąb zawiśnie bezwładnie, nie mogąc rozwiać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci, niesiona przez wiatr ukośnie, mgła kropelek, które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelest odrębny a przejmujący, jakby obok, gdzieś za węgłem domu łkało, dobywając resztki jęku, dziecko. Daleko na miedzach stoją, pozbawione liści, samotne gruszki polne,

miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągnął się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieździł się w duszy doktora smutek zjadliwy, a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadciągnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowelle Alexis'a.

„Metafizyka," jakiej d-r Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku—to kilka godzin świadomego samobadania bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się, graniczącego z wściekłością szlachetnych porywów, przywaonych gliną bezczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów; zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej lub więcej dotkliwego cierpienia. Z „metafizyki" można się było wyspać, jak z bólu głowy, by wstać nazajutrz z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwyczajnego jarzma nudów, oraz zuży-

wania wszystkiej energii mózgu na wymyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemia „metafizyki“ wskazywała jednak naszemu doktorowi, że w jego egzystencyi roślinnej, najedzonej niejako, nasyconej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością.

D-r Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukończeniu studyów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewielu wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli i kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas powszechnie o konieczności osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach. Posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków, wkraczających w dziedzinę misteryi. Aptekarz obrzydłowski, „eksploatujący sytuacyę“ (do najbliższej, apteką przez cywilizacyę obdarzonej, miejscowości było mil pięć) — nakładał haracz na jednostki, pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom,—balwierze zaś wybudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa; w *kacabajach*, niedźwiadkami podbitych, cha-

dzali, zachowując na obliczach takiej wyraz powagi, jak gdyby w każdej chwili żywota prowadzili ks. plebana na procesyi Bożego Ciała.

Gdy delikatne i oględne perswazye, skierowane do farmaceuty, a wypowiadane patetycznie z rozmaitych „punktów widzenia,“ traktowane były, jako idylle młodzieńcze i skutku żadnego nie odniosły,—d-r Obarecki, uzbierawszy nieco grosza, kupił apteczkę podręczną i zabierał ją z sobą, jadąc do chorych na wieś. Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, jeżeli nie za darmo, uczył hygieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteczkach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i tym podobnych punktach widzenia — wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogiem mieszkaniu. Ponieważ zaś Boruch Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydłówku, odprawiał w owym czasie święto Kuczek,—trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać nocą z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd peryodycznie, aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktor

obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencyi okolicznej, jako niesłychanego nieuka, odciągano przemocą chorych, zmierzających do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki i t. d. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy. Zwycięstwo prawdy jednak nie nastąpiło. Nie wiadomo dlaczego... Już po upływie roku doktor poczuł, że jego energia staje się zwolna „dziedzictwem robaków.“ Zetknięcie blizkie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz: jego prośby, namowy, istne prelekcye z zakresu hygieny upadały, jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł—napróżno! Szczerze mówiąc—trudno nawet wymagać, aby człowiek, nie mający butów na zimę, wygrzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszłoroczne kartofle w celu czynienia sobie z nich podpłomyków, mielący na przednówku korę olszową na mąkę, aby tej domieszać do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, nabranego o świcie „sposobem kradzionym,“—mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najzrozumialej wyłożonych praw zdrowotności. Nieznacznie doktorowi zaczęło być „wszystko jedno...“ Jedzą zgniłe kartofle—cóż

począć? — niechaj jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe—to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna taniość „medycyny.“

Pewnego pięknego poranku doktor skonstatował, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją—zgasł. Zgasł sam przez się: wypalił się. Wówczas apteczkę podręczną na klucz do szafy zamknął i sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceucie i balwierzom, ustać, zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy!

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zadusił proste i wysokie myśli i uczynki, może dlatego, że się w jadło zbytecznie wdawać zaczął — dość, że zadusił. Coś tam jeszcze robił, leczył myśląc, — nie miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej „działalności“ za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodyci „z dziada pradziada,“ którzy

doktorów wogóle traktowali w sposób nieco niewspółczesny. Jednemu z nich złożył doktor Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty w kamizelce i jadł spokojnie szynkę, krając ją scyzorykiem. Doktor poczuł w sobie napływ ducha demokratyzmu, powiedział półhrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem — markotnie jest nieco; sędzia zaś był człowiekiem, mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć, — pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć się do przyrody, odzyskać spokój, harmonię wewnętrzną ducha, poczucie siły i odwagi, wynalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Żadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo, że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb w lesie i zagrzązł pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasmo lasu. Bliżej na wydmuchach szarego piasku rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się, nie wiedzieć do kogo należące, zago-

ny. Pastwiska, porosłe „kozicą“ i żółtawemi trawami, umierającemi przedwcześnie, jakby do rozwoju gałeczek zieleni w ich pędach zabrakło światła — stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświetla to pustkowie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i posępność...

Brzegiem drogi, okrytej brudnym piaskiem, porytej wybojami i wygrodzonej ruinami płotu, wlókł się codziennie biedny doktor z parasolem... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem na pastwisku na kilkanaście ścieżek i ginęła śród kretowisk. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie wydmy piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyżłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarniała doktora, gdy patrzył na ten krajobraz i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicyatywy ks. plebana zgodę między aptekarzem a doktorem, gdy skonstatowano dodatnie zjawisko „ochłonięcia“ tego ostatniego. Antagoniści zaczęli odtąd wspólnie „orać“ w wincie, choć doktor z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie przeszło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i ema-

blować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która okazała, że zdolnym jest do platonicznego rozmiłowania się w pani aptekarzowej, damie tępej umysłowo, jak siekiera do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną i opowiadającej z przedziwnym zapałem, a bez przerwy o grzechach głównych swojej pokojówki. Słuchał d-r Paweł całemi godzinami wymowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech mdło uprzejmy, taki właśnie uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca, emablującego grono pięknych dam w chwili, gdy mu najstraszliwiej dokuczają hemoroidy.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokratyzacyi w Obrzydłówku pojęć, choćby w imię znośniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swo jego czasu; jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi, będącymi w jakiej takiej kulturze.

Wówczas to nie tylko już energia uległa zniszczeniu,—znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwie dających się zmierzyć rozmarzonemi oczyma, został widnokrąg tak dalece mały, że

można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie „prawdy jasnego promienia i nowych, nieodkrytych dróg“ zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie—z ostrożnością człowieka, mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półuśmiechem, potem ze zdecydowanem lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiąt pieczonych i nie kwapił się bynajmniej do ogniska życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadzały się czyny i myśli doktora Obareckiego, stała się ta:—dawajcie pieniądze i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienin ks. proboszcza, zajęty bębnieniem palcami po stole, „metafizyka“ opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szesnastej godziny wintowej doktor czuł się niedobrze. Wywołał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego ni z owego studyować historyę powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona

Rogalskiego), i wyrobiwszy sobie bardzo radykalny pogląd na działalność Aleksandra VI-go, w bezwyznaniowość jakoby popadł.

D-r Obarecki wiedział aż nadto dobrze, dlaczego farmaceuta dysputami destrukcyjnemi rozbestwia ks. proboszcza; przeczuwał, że są to preludya do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykowiek, będzie, zdaleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło „stagnacyi,“ a zniżywszy loty do spraw obrzydłowskich, wykaże ileby oni dwaj, trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli: jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploatowaniem sytuacyi... Kto wie—może zaproponuje szczerze i otwarcie, „nóżki kładąc na stół,“ założenie czysto wekslowej spółki, której celem będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktor, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycyi aptekarzowych nakręcaniem mu z lekka kości policzkowej, ponieważ nie wiedzieć w imię czego kość tę nakręcać... Przypuszczał nawet, że spółka ta stanie, — któż wie... Gorycz zalała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd zaszedł, dlaczego nie wyrywa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksyonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?...

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajnie szczegółowe, pilne, badawcze, bezlitosne i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi płatkami, przesłaniając smutny krajobraz zimowy mgłą i zmrokiem.

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerwały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu niema. Doktor jednak wyszedł do kuchni, aby rozerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kożuchu zmiótł „wściekłą czapą“ pył z pod jego nóg w głębokim pokłonie, odgarnął pięścią włosy z czoła, wyprostował się i zamierzał rozpocząć oracyę.

— Czego?—zapytał doktor.

— A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał...

— Po co?

— A po wielmożnego doktora.

— Kto chory?

— Nauczycielka ta u nas we wsi zachorzała, sparło ją cosi. Przyszedł sołtys... jedźcie, pada, Ignacy, do Obrzydłówka po wielmożnego doktora, może, pada...

— Pojadę. Konie dobre?

— A konie ta, jak konie: śwarne gady.

Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby nawet niebezpieczeństwa. Wdział z nagłem ożywieniem grube buty, kożuszek, futro, którym możnaby było otulić wiatrak, pasem się opasał i wyszedł przed dom. „Gady“ chłopskie nie wielkie były, ale okrągłe, wypasione, — wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, — chłop przysiadł bokiem na przedniem siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciął. Pomknęli.

— Daleko to?—zagadnął doktor.

— Będzie to może ze trzy mile, może niema...

— Nie zbłądzisz?

Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym.

— Któż... ja?

Wiatr dął w polu przejmujący; niekute, ukośne, ledwa ociosane siekierą sanice wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zaniosło.

Chłop „wściekłą czapę“ na bok przechylił i zacinał konie. Doktor czuł się dobrze. Minąwszy lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w ramy lasu, ledwie widocznego na krańcu widnokręgu. Zmrok zapadał, powlekając

ten nagi i surowy obraz pustkowia niebieskawym kolorytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu, wyrzucane kopytami koni, przelatywały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił, w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający ogromem, jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pól niezamieszkanych.

Wiatr się wzmógł, dął jednostajnie z hukiem, przechodzącym od czasu do czasu w głuche *largo;* śnieg zacinał z boku.

— Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle—zauważył doktor, kryjąc nos w futro.

— A no, małuśkie! — wrzasnął chłop na konie zamiast odpowiedzi.

Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wichrze. Konie biegły w cwał.

Zamieć rozszalała się nagle. Bałwanami miotać się począł wicher, uderzał w sanie, skowyczał między sanicami, tłumił oddech. Słychać było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktor już nie mógł dostrzedz. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi przez wiatr, leciały, jak stado koni, i słychać było niby tentent ich tytanicznych skoków; chwilami wywierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodya

uderzać wszystką potęgą tonów w chmury, łamać je i upadać nagle i z łoskotem. Wtedy rozpryskało się w puch posłanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zatączają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś, najwyżej, w zenicie uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie.

Doktor poczuł, że nie jadą już po drodze; sanie posuwały się zwolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

— Gospodarzu! — zawołał z trwogą, — a gdzie my jesteśmy?

— Jadę polem do lasu — odpowiedział chłop,—w lesie ciszej będzie... pod samą wieś lasem zajedziemy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł, i dawał się słyszeć tylko huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnem tle nocy majaczały osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie można było, dróżyna bowiem leśna, zawalona zaspami, przeciskała się śród pniaków i gałęzi. Nareszcie, po upływie jakiejś godziny, podczas której doktor szczerze namar-

twił się i naobawiał, dały się słyszeć powtarzające się głuche odgłosy:—psy szczekały.

— Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światełka w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkcików, dym zapachniał.

— Nuże, małe!—zawołał wesoło na konie woźnica, rozgrzewając się za pomocą obijania sobie boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamarzniętych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

— Wieczerzę ludzie jedzą... — bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas „wieczerzy," której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Zatrzymały się konie przed jakiemś domostwem; chłop wprowadził d-ra Pawła do sieni i znikł. Namacawszy klamkę, doktor wszedł do małej i nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zgarbiona, jak rączka parasola, kobiecina zerwała się, ujrzawszy go, z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jęła mrugać powiekami, a wytrzeszczać czerwone oczy ze źle tajonem przerażeniem.

— Gdzie chora?—spytał.—Samowar macie?

Stara w przerażeniu swem do słowa przyjść nie mogła.

— Samowar macie, herbaty możecie mi zrobić?

— Jest ten ta samowar... jeno cukru...

— Masz tobie! cukru niema?

— A niema... chybaby Walkowa mieli, bo to panienka...

— Gdzież ta wasza panienka?

— A dy w stancyi nieboga leży.

— Dawno chora?

— Pokłada się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój.

Uchyliła drzwi do izby sąsiedniej.

— Zaraz! ogrzać się muszę, — zawołał gniewnie doktor, zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąco, że doktor co prędzej wsunął się do pokoju „panienki.“ Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izbę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca na stole obok wezgłowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie można było rozeznać, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę rozświetlił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacyentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem powleczona była jej twarz, szyja,

ręce, — na tle tem znać było jakąś wysypkę. Jasno-popielate, niezmiernie bujne włosy leżały poplątanemi pasmami na poduszce, wiły się dokoła twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały kołdrę.

D-r Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie:

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo, panno Stanisławo!...

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęłą je natychmiast. Przeciągała się, przesuwała głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta z wysiłkiem, jak karp, połykając powietrze.

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej,—stosy książek leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce...

— Ach ty, szalona, ty, głupia! — szeptał, załamując ręce.

Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącemi rękami temperaturę.

— Tyfus...—wyszeptał, blednąc.

Z wściekłością ściskał sobie gardło, w którem dławiły go, niby zwitki pakuł, łzy niezdolne

wypłynąć. Widział, że nic jej nie pomoże, nic nie może pomódz,—roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłówka... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklane, bezmyślne, podobne do zastygłego pod powiekami płynu i patrzyła, nic nie widząc, przez długie, koliste rzęsy. Wołał na nią najczulszemi nazwami, unosił jej głowę, słabo trzymającą się na szyi — nadarmo.

Usiadł bezwładnie na stołku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście, jak wróg śmiertelny, zadało mu ślepy cios i wlecze teraz bezsilnego do jakiejś mrocznej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

— Co począć?—szeptał, drżąc.

Przez szpary okna wdzierał się chłód burzy zimowej i przechodził przez izbę, jak widmo złowieszcze. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że, prócz niego i chorej, jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziała co tchu olbrzymie buty, okryła głowę „zapaską“ i, zabawnie podskakując, znikła. Wkrótce potem zjawił się sołtys.

— Słuchajcie, nie znajdziecie mi człowieka, któryby pojechał do Obrzydłówka?

— Teraz, panie doktorze, nie pojedzie... zawieja. Na śmierć pojedzie?... Psa ciężko wygnać.

— Ja zapłacę, wynagrodzę.

— Nie wiem ja... przepytam się.

Wyszedł. D-r Paweł ściskał skronie, które zdawał się rozsadzać napływ krwi. Przysiadł na skrzynce i o czemś dawnem, dalekiem myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kożuszynie przedartej, nie dosięgającej mu kolan, w zgrzebnych spodniach, kiepskich butach i czerwonym szaliku na szyi.

— Ten?—zapytał doktor.

— Powiada, że pojedzie... śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzież to w taki czas...

— Słuchaj, jeśli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz odemnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz... słyszysz?

Chłopaczyna popatrzył na doktora, — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Utarł nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wystosował list do

aptekarza, prosząc, aby natychmiast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chininy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie,— mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim, — co koń skoczy, co tchu... Słyszysz, mój bracie!...

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

— Ta nauczycielka dawno tu u was we wsi siedzi?... — zagadnął d-r Paweł babinę, przytuloną do komina.

— Trzy zimy!... jakoś bodaj.

— Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

— A któż ta miał... ja jeno. Przygarnęło mię chudziątko... służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty niewiele... aby ta aby... Teraz masz: com sobie obiecowała, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznemi...

Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami, jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały łzy do ust bezzębych.

— Dobra była?...

„Babka“ zaczęła chlipać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła doktora od siebie odegnać. Wszedł do pokoju i zaczął na palcach chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził... Zatrzymywał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego bielały mu wargi i wyszczerzały się zęby, mówił do chorej:

— Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idyoci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś za piękna, zbyt ukochana...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się... porywające jak niegdyś i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomniał, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się tej twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przeszywający ból wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego, — dowiaduje się o tem, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało dnia tego, wydawało mu się, jako dalszy ciąg udręczeń przymusowo-borsuczego istnienia. Jednocześnie rozchylał się jakiś tajemniczy horyzont,

jakiś ocean, ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek ściekał zimny dreszcz. Miotał się, jak śliz na błotnistem dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

To też całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznośną rzeczywistością, zatonął, jak w obłoku mgły czerwcowego przedświtu.

Za jakąbądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolikami. Tam usiadł w ciemności i niby skupiając ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto, co sobie przypomniał:

Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do „prosektoryum," tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, iż dziury w podeszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny, jak kaftan waryata, wytarty tak dalece, że żyd letnią porą ośmiu zań złotych dać nie chciał. Bieda nastraja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czemś nieskończenie większem, niż

nuda przykra, lecz daleko mniejszem, niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befsztyk, — lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brunatnem błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadranse na dziewiątą wchodzić w bramę ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przejdzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasnopopielatemu jej warkoczowi... Ona nie podniesie oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wązkich skrzydełek jakiegoś ptaka.

Spotykał ją wówczas w tem samem miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie-Przedmieście, wsiadała do tramwaju i jechała na Pragę Nie miała więcej nad siedemnaście lat, a wyglądała, jak stare pannisko, w baszłyku, zarzuconym niedbale na futrzaną czapkę, w kaloszach za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek, przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się tedy w pogoń, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę.

Nieznajoma zmierzyła go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosołu i nic nie wskórawszy.

Nie uczuł jednak do niej żalu,—tem wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pomimo woli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć sobie, uprzytomnić jej włosy, oczy, usta o kolorze torebek owocu dzikiej róży—i wysilał pamieć nadaremnie.

Zaledwie mu znikła z oczu, znikały z pamięci jej rysy, — zostawało natomiast natrętne widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach, które szło przed nim gdzieś górą. Obłok ten gonił myślami z tęskną i pokorną bojaźnią, z odrobiną nieuchwytnego żalu, ze smutkiem i nieodegnaną sympatyą. Szedł co rana, aby żywą dziewczynkę ze swem widmem porównywać. I wydawała mu się ta żywa piękniejszą, napawały go jakimś strachem jej kryniczne i mądre oczy...

Podówczas jeden z jego kolegów, t. zw. „Ruch w przestrzeni,“ wielki „społecznik,“ zaczynający wiecznie pisać wstępne artykuły, których dokończyć nie pozwalał mu brak potrzebnych po temu książek, nagle i niespodziewanie „wziął“ i ożenił się z ubogą, jak mysz kościelna, emancypantką.

Żona wniosła „Ruchowi“ w posagu stary dywan, dwa rondelki, gipsowy posąg Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazyalnych. Młodzi małżonkowie zamieszkali na czwartem piętrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udzielali oboje korepetycyi z takim zapałem, że rozbiegłszy się rano, spotykali się wieczorem dopiero. Dom ich jednak stał się punktem, do którego zmierzał wieczorem każdy „społecznik“ w zabłoconych sandałach, aby się wysiedzieć na fotelu, napalić cudzych papierosów, nagadać do ochrypnięcia i wydać ostatnie kilka groszy na składkę, za którą uprzejma gospodyni kupowała bułki i serdelki, układała artystycznie na talerzyku i częstowała gościnnie. Można się tam było zawsze z kimś spotkać, zaznajomić z nieznanymi do owej pory wielkimi ludźmi, z koleżankami gospodyni, a niejednokrotnie można było nawet pożyczyć 40 groszy. Jakże pobladł Obarecki z radości, gdy wchodząc pewnego wieczora do t. zw. salonu, ujrzał ukochaną swoją panienkę w gronie koleżanek! Rozmawiał z nią i aż do nieprzyzwoitości tracił przytomność... Wracając tego wieczora do domu, pragnął być sam— nie marzyć, ani myśleć, tylko być z nią całą duszą, całą ją mieć w oczach, w uszach mieć dźwięk jej głosu, tak myśleć, jak ona, zamknąć

powieki i niechaj idą pod niemi te obrazy, które wydzierają się z serca. Pamiętał jej oczy przedziwne, posępne a miłosierne, łagodne i tajemniczo myślące, w których przerażała jakaś głębina. Doznawał uczucia radości i spokoju, jakby po skwarnej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.

Otaczano ją szacunkiem, przywiązywano szczególną wagę do jej słów. „Ruch,“ przedstawiając Obareckiego nieznajomej, wydeklamował poważnie:

— Obarecki, refleksyonista, marzyciel, wielki leniuch, zresztą przyszła sława; panna Stanisława Bożowska, nasza „darwinistka...“

„Wielki leniuch“ dowiedział się o „darwinistce“ niewiele: ukończyła gimnazyum, dawała lekcye, miała zamiar jechać do Zurychu czy Paryża na medycynę, nie miała grosza przy duszy...

Spotykali się odtąd w „salonie“ często. Panna Stanisława przynosiła pod salopką funt cukru, jakiś zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nic nie przynosił, ponieważ nic nie miał, pożerał za to bułki i pożerał oczami „darwinistkę.“ Raz nawet, odprowadzając ukochaną do domu, oświadczył się o jej rękę.

Roześmiała się serdecznie i pożegnała go przyjacielskiem uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikła; wyjechała do gub. podolskiej, jako nauczycielka, do jakiegoś wielkopańskiego „domu.“

Spotyka ją teraz oto w tym zapadłym kącie, w tej wsi, ukrytej w lasach, zamieszkanej przez chłopów samych, gdzie niema dworu, gdzie niema żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy; teraz umiera... zapomniana...

Wszystkie dawne zachwyty, marzenia, niespełnione sny i pragnienia zrywają się nagle i biją w niego, jak porywy wichru. Serce ściska mu ból chorobliwy i jad namiętności wsącza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łóżka chorej, oparł łokciami na jego poręczy i nasycał się widokiem nagich ramion, które cudownemi liniami kojarzyły się z zarysem piersi i szyi. Panienka spała. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów ust sączyła się ślina, gorąco od niej biło, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. D-r Paweł usiadł obok niej na krawędzi łóżka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głaskał się nimi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającem mu się z piersi szlochaniem.

— Stasiu, Stachno... kochanko...—szeptał cicho, aby jej nie obudzić,—nie ucieczesz mi

już... prawda? nigdy... moją będziesz na zawsze... słyszysz... na wieki...

Usiadł potem obok wezgłowia chorej, na stołku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszystko teraz będzie inaczej. Co za życie się roztwiera. Czuje w sobie siłę atlety do pełnienia uczynków, które z serca płyną. Boleść i nadzieja mieszają się, jakby w płomień, który liże mózg, trawi go, nie da mu spocząć...

Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu posłańca więcej niż sześć. Była czwarta po północy. Doktor zaczął nasłuchiwać, zrywał się za każdym szelestem. Co chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsłuchiwał się całym niemal organizmem. Wiatr huczał, szyber w piecu kołatał — zresztą cisza znowu. I biegną minuty, trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwość rozpręża nerwy i wprawia go w stan dygotania całem ciałem.

Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otwarła zwolna oczy, które w mroku rzęs wydawały się prawie czarnemi, patrzyła w niego z uporem i wyszeptała jakimś skrzeczącym głosem:

— Kto to?

Zapadła jednak zaraz w stan poprzedniego bezczucia. Pocieszał się, jak skarbem, tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność! Posłaniec nie nadjeżdżał i nie nadjechał.

Przed świtem d-r Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, łudząc się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przeczucie, jak koniuszek igły, wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topól przydrożnych głucho huczał wiatr, choć burza ucichła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dźwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy „zadawali“ bydłu, z kominów dym się wznosił. Tu i owdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchał obłok pary.

Doktor odnalazł chatę sołtysa i kazał natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary i jakiś parobczak zajechał przed szkołę. Doktor pożegnał chorą oczami, rozszerzonemi od znużenia i rozpaczy, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydłówka.

O godzinie dwunastej w południe powracał, wiozący swą apteczkę, wino, całe zapasy żywności. Stawał co chwila na saniach, jakby pragnął wyskoczyć i wyścignąć konie.

w cwał biegnące. Zajechał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadał... Zdławiony, krótki wrzask wydarł mu się z ust, wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrzał roztwarte okna domostwa i gromadkę dzieci, tłoczącą się w sieni. Szedł blady, jak płótno, do okna, zajrzał i został tam, łokciami oparty o futrynę.

W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.

Doktor poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbierając się, na krzesełku i powtarzał jeden wyraz, w który zmieściła się wszystka jego boleść:

— Czyż tak? czyż tak?

Było mu zimno, jakby zmarzł, zmartwiał, jakby w nim krew zakrzepła. Nie cierpiał, nie wiedział, co mu jest, tylko po głowie toczyły mu się niby koła nienasmarowane z przeraźliwem skrzypieniem.

Łóżko Stasi było rozmiecione: kołdra leżała na ziemi, prześcieradło zwieszało się na podłogę, poduszka przepocona leżała na środku łóżka. Druciane haczyki okien stukały

monotonnie o ramy szyb; listki jakiejś rośliny, moknące w doniczce, zwieszały się i zwijały od mrozu.

Przez uchylone drzwi widział chłopów, klękających dokoła ubranego już trupa, dzieci, modlące się „na książce,“ stolarza, zdejmującego miarę na trumnę...

Wszedł tam i ochrypłym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nieheblowanych, wiórów pod głowę nasłać.

— Nic więcej... słyszysz!—mówił do stolarza z zatajoną wściekłością — cztery deski, nic więcej...

Przypomniał sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzież jest ta jej rodzina?...

Zaczął z tępą, idyotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rękopisy. Natrafił wsród tych papierów na początek listu.

„Kochana Helenko! Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przeniosę się przed oblicze Minosa i Radamantesa, Eaakosa i Tryptolemosa, oraz innych wielu z półbogów, którzy i t. d. W razie tego „przesiedlenia się stąd na miejsce inne“ zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostałą po mnie spuściznę książkową na ręce twoje wysłał. Opracowałam nareszcie „Fizykę dla ludu,“

nad którą tyle nałamałyśmy sobie głów dziewiczych; opracowałam na brudno—niestety! Jeżeli ci czasu starczy, — zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne, — uszykuj to do druku i zmuś Antosia niech przepisze; on to dla mnie zrobi. Ach, co za smutek... Prawda!... księgarzowi naszemu winnam 11 rs. kop. 65... wypłać mu... Spencerem moim, gdyż pustki u mnie w szkatule. Sobie na pamiątkę weź...“

Ostatnie wyrazy nieczytelnemi już były pisane kreskami. Nie było adresu, — nie można też było listu wysłać. W szufladzie stolika znalazł doktor rękopis owej „Fizyki,“ o którym w liście czytał, zwitki notatek i szpargałów, w szafce — trochę bielizny, salopkę, kotkami podbitą, jakąś starą, czarną sukienkę...

Krzątając się po pokoiku, dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie obok pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawiść zadrgała w duszy doktora.

— Dlaczegoś na czas nie wrócił? —zawołał, przyskakując do chłopca.

— Zabłądziłem na polu, koń mi ustał... piechotą przyszedłem rano... panienka już wtedy...

— Kłamiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktor w oczy i dziwnego doznał wrażenia; oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska, głucha, zdziczała rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy...

— Ja tu, panie, odniosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyła, — mówił, wyciągając z zanadrza kilka wyszarzanych i zabrudzonych tomików.

— Daj mi ty pokój... idź precz!—zawołał doktor, odwracając się od niego i uciekając do pokoiku.

Tam stanął wśród porozrzucanych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem pytał sam siebie:

— Czego ja tu chcę?... Nic tu po mnie, nie mam prawa!

Obejmowała go cześć głęboka, zrozumienie, wwiadywanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam zostawał choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łańcucha gór, na którym siedzi szaleństwo. W sekrecie przed samym sobą wiedział, że go zdejmuje obawa o siebie. W tem wszystkiem, co go miażdżyło w tej chwili, była ogromna niesymetrya

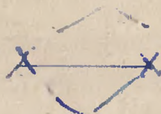
z nim samym, coś, co wyważało z głębi jego duszy ostateczny rdzeń uczuć ludzkich—egoizm i egoizm ten dusząc, kazało naprawdę dać się otaczać tęczy, która uniosła z ziemi tę głupią dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodziwszy się na wyjazd natychmiastowy, zaczął rozpaczać pięknymi frazesami, co było już ulgą znaczną.

Kazał zajechać...

Pochylił się nad trupem Stasi i szeptał na jej uczczenie najpiękniejsze wyrazy, jakie wymarzyć mogły na chwałę wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzał; przez sekundę myślał, czy nie lepiejby było umrzeć natychmiast, potem rozsunął gromadę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz i poniosły go konie, duszącego się spazmatycznym płaczem.

Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ nicjaki na usposobienie d-ra Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach „Boską komedyę“ Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawił. Stopniowo jednak uspokoił się. Obe-

cnie ma się znakomicie: utył, pieniędzy worek uczciwy nazbijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacyi wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy, z wyjątkiem krzykliwych, prawda, ale też nielicznych konserwatystów, zaczęli palić papierosy w gilzach niesklejanych, zaszczytnie znanych pod godłem „nieszkodliwych piersiom.“ Nareszcie!...



OKO ZA OKO.

Kiedy zawiadowca stacyi Trebizondów Wielki, wyekspedyowawszy pociąg towarowy, wracał na t. zw. salę klasy drugiej, aby połączyć się z towarzystwem, jakie przed trzema kwadransami opuścił, i otwarł drzwi wchodowe, z peronu wprost do owej klasy wiodące, oczom jego przedstawił się widok dosyć niezwykły. Zgromadzeni dokoła stołu przedstawiciele pewnego odłamu inteligencyi miasta powiatowego Trebizondów tworzyli niby jedno ciało, wywijające mnóstwem rąk i nóg, chwiejące się na krzesełkach w najrozmaitsze strony i wrzeszczące dziwnymi głosami. Dwaj urzędnicy powiatowi, wtłoczeni na małą kanapę i zasunięci stołem, trzymali się nawzajem za guziki od tużurków i co chwila ośliniali w czułym pocałunku. Geometra (drugiej klasy), z pięścią i oczyma wzniesionemi w kierun-

ku sufitu, oświadczał w niebogłosy, że nie pozwoli, aby mu ktokolwiek, kiedykolwiek, jakimkolwiek sposobem lub uczynkiem ubliżał,— chociaż nikt mu nie ubliżył, ani przed obecnem posiedzeniem, ani podczas jego trwania. Młody doktor miejscowy, czarny i chudy, jak sztalugi, żydek w niebieskich binoklach, zwany złośliwie przez bogobojne stare panny „kościotrupem z bakami“ — pluł bez skrupułu na środek stołu, w kufle piwa i na kamizelki sąsiadów, mrucząc od czasu do czasu, że będzie pluł i nikt nie może go zmusić do odmówienia sobie tej przyjemności. Ryżawy telegrafista wymiotował melancholijnie na kolano inżeniera powiatowego, który przyglądał się temu procesowi z wyrazem niekłamanej życzliwości. Podtatusiały „pan profesor,“ pełniący obowiązki filozofa i ateusza powiatowego, pukając palcem w plecy chorego telegrafisty, perorował coś na temat „konwersyi pożyczki“ głosem, przerywanym przez czkawkę, w sposób tak szczególny, że monolog jego sprawiał literalnie wrażenie gdakania kury, chorej na *pypcia*. Wykwintny w manierach i doborze koloru skarpetek tłómacz sądu pokoju zrywał się co chwila od stołu, klękał i, składając uroczyście dwa palce w resztkach sosu na półmisku, przysięgał komuś, że go nie opuści aż do śmierci...

Stosunkowo najtrzeźwiejszy z całego tego grona pan Jaksa-Świerkowski, zrujnowany obywatel, obecnie posiadający dom i kilkanaście morgów gruntu tuż pod miastem, szlachcic kolosalnych rozmiarów, w butach z cholewami po same pachwiny—nietyle śmiał się, ile rżał, patrząc na scenę, jaka się działa w ciemnym kącie sali, obok pieca. Młody student uniwersytetu — Adam Wawelski—siedział tam na ziemi przed skurczonym kelnerem stacyjnym i wydzierał mu rękę, którą ten, płacząc rzewnie, chował do kieszeni. Rzecz tak się miała: Wawelski zażądał od kelnera zapałki, wzamian za której szybkie udzielenie ofiarował 40 kopiejek. Wzruszony kelner pocałował hojnego studenta w rękę. Demokratycznie usposobiony słuchacz prawa wrzasnął, że trupem natychmiast padnie, jeżeli służący nie pozwoli mu pocałować się również w rękę... Po długiem wahaniu się kelner zezwolił, lecz sam znowu pocałował Wawelskiego w rękę. Od tej chwili zaczęło się między tymi dwoma wydzieranie sobie gwałtem rąk do całowania, trwające już od kilkunastu minut.

Zawiadowca stacyi przyłączył się czynnie do towarzystwa i właśnie sama pani bufetowa krzątać się zaczęła dokoła jego osoby, odkorkowując butelki, gdy nagle student Wawelski

porzucił płaczącego kelnera i stanął pośród biesiadników z włosem rozwianym i oczami tak dalece zbielałemi, że przypominały dwie bryłki masła.

— Panowie! — zawołał, wyciągając rękę z giestem krasomówczym, o tyle niefortunnie, że, wskazując palcem, trafił w rzymski nos „kościotrupa z bakami,“—ten oto wyzyskiwany obywatel—(tu wskazał na skruszonego kelnera)—na własne uszy słyszał, jak ksiądz Piwko z ambony mówił, że wszyscy ludzie równi są na tym padole płaczu. Proponuję, abyśmy księdza Piwkę podnieśli na naszych barkach... w górę księdza Piwkę!

— A gdzież macie tego księdza Piwkę?— zagrzmiał pan Świerkowski.

— A w Przebrzmiałowicach, proszę łaski pana—szepnął kelner.

— No, to przecie cztery mile stąd...

— Pójdźmy, panowie, po niego — wołał Wawelski,—przynieśmy go na barkach! Nie jestem wcale zwolennikiem wodzenia klas pracujących na pasku klechów, ale pójdźmy, panowie!... na barkach i... w górę księdza Piwkę!... Idziecie łajdaki, czy nie? — krzyczał co sił.

Wszyscy zaczęli z miejsc swych powstawać, aby iść po owego księdza Piwkę. Wów-

czas pan Świerkowski chwycił w pół Wawelskiego, nałożył mu pierwszy, jaki był pod ręką, kapelusz na głowę, wyprowadził go z sali i kazał posługaczowi przywołać dorożkę. Za chwilę wsiadali obadwaj z niemałym trudem na lichą bryczkę, zaprzężoną w jednego konia.

— Do mnie!—rozkazał ex-obywatel powożącemu żydkowi.

Ciepły oddech gruntu, spieczonego upałem całodziennym, owionął rozpalone głowy jadących i odebrał im resztki przytomności. Za każdem uderzeniem kół bryczki o kamienie i wyboje drogi głowy ich uderzały się znienacka i rozbiegały w różne strony. Wówczas obadwaj zdejmowali cudze kapelusze i wpatrywali się w siebie nawzajem uparcie.

— Uprzejmie przepraszam—bełkotał Wawelski.

— O, nie... to ja raczej przepraszam...

— No, dobrze... ale dokąd ja właściwie i z kim właściwie mam przyjemność jechać?

— Wiozę pana do mnie. Chcę pana przedstawić siostrze mojej żony. Śliczna dziewczyna! Jak żyję na świecie nie widziałem nic podobnego...

— A jeżeli tak... Wzruszony jestem cokolwiek. Zresztą... co mnie przyjdzie tak dalece z pańskiej żony?

— Z siostry mojej żony! Cudna dziewczyna. Co za biodra, panie, u tej kobiety...

— Ależ ja jestem zupełnie obnażony z pieniędzy! Gdzież u licha ta kieszeń?...

— Posagu ona, biedactwo, wprawdzie nie ma, ale cóż to za serce złote, co za edukacya! Ślicznie panu gra, maluje na porcelanie. Dokąd-że mi zresztą będzie siedziała na karku... to jest...

— Na porcelanie?! — przerwał ze zdziwieniem Wawelski.—Nie, wie pan, tego to już nie rozumiem... Przytem to pan dobrodziej, o ile sobie przypominam, wyjąłeś mi z ust mego własnego papierosa...

— Mogę panu służyć moim — mruczał Świerkowski, szperając po kieszeniach.

Wózek wtoczył się w uliczkę zamiejską, wygrodzoną opłotkami chróścianymi i pełną nie wysychającego nigdy błota. Z łąk wracały gromadki ludności rolniczej miasteczka z kosami i grabiami, tu i owdzie wlokły się powoli, wpoprzek skoszonej murawy, ku drodze „drabinki“ z sianem. Przechodzący zatrzymywali się na widok zdziczałych min i pomiętych kapeluszów naszych biesiadników i przeprowadzali ich wybuchami śmiechu aż do t. z. szlacheckiej willi. Willa pana Świerkowskiego była domostwem starem, dosyć niezgrabnem

i zasuwającem się w ziemię. Z prawej strony przebudowano, widocznie niedawno, rodzaj baszty drewnianej z dachem śpiczastym, podobnym do wieżyczek kościelnych w Szwajcaryi i sprawiającym w towarzystwie poobdzieranego dachu całego domostwa efekt wielce humorystyczny. W tyle domu ciągnął się świeżo założony ogród, otoczony powyginanym i zataczającym się parkanem.

Kiedy zmęczona szkapa zatrzymała się przed drzwiami willi, nasi panowie zachęcali się uprzejmie do wysiadania w ciągu tak znacznego przeciągu czasu, że wreszcie mały woźnica zmuszony był powyciągać ich jako tako z głębi słomianego siedzenia, które zupełnie rozkopali i porozmiatali. Ugarnirowani wiechciami słomy weszli do sieni. Gospodarz wprowadził Wawelskiego do saloniku i próbował umieścić go na fotelu, czemu jednak student oparł się z zapałem; minęli więc salon, pokój sypialny i stołowy i znaleźli się na balkonie, skąd po kilku stopniach schodziło się do ogrodu. W kącie werendy, na długiej ławce siedziały dwie młode i ładne kobiety, a u nóg ich bawił się kamykami trzyletni może chłopczyk, tłusty i zabrudzony, jak połeć wędzonej szynki.

— Pan Wawelski, student uniwersytetu... — wygłosił patetycznie gospodarz i, złoży-

wszy damom niebywały ukłon, cofnął się do pokoju.

Obiedwie te panie szybkimi, nieznacznymi ruchami poprawiły bluzki i włosy, gdy tymczasem Wawelski, usiłując wykonać nogą ruch pełen elegancyi, oderwał z cementowej posadzki, pękającej i podziurawionej, znaczny kawał tynku i przyglądał mu się z oburzeniem. Drobny ten wypadek zdetonował go tak silnie, że nagłym ruchem oddalił się na przeciwległy koniec ganku i usiadł tam na nizkiej balustradzie.

— Niechże pan będzie łaskaw...—zaczęła mówić starsza, powstając, lecz spostrzegłszy nagły odwrót gościa, przerwała i pytająco spojrzała na towarzyszkę. Zapanowało milczenie. Szczęściem zjawił się pan Świerkowski i pragnął zagaić rozmowę.

— Uważasz, Zosiu, — mówił — chciałem przedstawić wam pana... jakże tam.

— Co to wszystko znaczy, Wiktorze? — pytały szeptem obiedwie, gryząc wargi.

Wawelski z dystynkcyą poprawiał kołnierzyk i wpatrywał się w panią Zofię z oddalenia tak ponuro i groźnie, że ta ledwo mogła powstrzymać śmiech głośny.

— Będziemy musieli obadwaj odpocząć cokolwiek, mój serdeczny przyjacielu,—zwró-

cił się do studenta pan Świerkowski — nieprawdaż?

— Co do mnie... nie sądzę... Bądź-cobądź... — mówił, wstając i prostując się Wawelski.

Mdlejącymi ruchami zbliżył się do stolika i usiadł na ławce, zajętej przez panią Zofię i jej siostrę. Za chwilę jednak, zawiadomiwszy te panie, że społeczeństwo nie jest bynajmniej organizmem, gibnął się na bok w sposób tak zatrważający, że go natychmiast odprowadzono do gabinetu pana domu, gdzie też wkrótce zasnął na kanapie snem kamiennym. Za jego przykładem poszedł niezwłocznie pan Wiktor.

Młodzieniec nasz obudził się nazajutrz dosyć późno. Zaledwie otworzył oczy i przypomniał sobie jako tako przygody dnia poprzedzającego, usiłował zasnąć jeszcze, zaciskał powieki, aby przynajmniej nie natychmiast zaglądnąć w oczy gorzkiej rzeczywistości. Lecz już zasnąć nie mógł. Słońce świeciło prosto w okno otwarte, zastawione siatką tiulową, i rzucało na podłogę kwadratowy odblask, posuwający się w miarę jak ciepły podmuch wiatru wpychał do pokoju lub wypychał na zewnątrz białą zasłonę. Duże muchy wciskały się do pokoju przez szczeliny i, roz-

bijając się o ściany i belki wybielonej wapnem powały, warczały groźnie, z okna dolatywał cichy szelest liści i brzęk os; zresztą w całym domu i ogrodzie cisza była śmiertelna.

— Ucieknę chyba — myślał zrozpaczony student, — innej rady niema. Wyjmę z okna siatkę, skoczę do ogrodu... Po południu przyjdę, przeproszę i t. d.

Zerwał się i zaczął szukać ubrania. Niestety—niema ubrania, wzięto je do czyszczenia.

— Ładna historya! Wyobrażam sobie, jak te kobiety spojrzą na mnie, gdy się wobec nich zjawię... Gdzie ten stary arcy-nygus miał rozum, żeby mnie wieźć tutaj w takim stanie! Przytem co za kapitalny katzenjammer...

Drzwi się nagle otwarły i weszła pokojówka wzrostu kirasyera. Położyła ubranie na krzesełku i uciekła co tchu, parskając śmiechem.

— Zaczyna się... — mruknął Wawelski, wstając.

Umył się i ubrał szybko, marząc rozkosznie, że może nikogo w domu i ogrodzie nie spotka, wymknie się niepostrzeżenie i uniknie przynajmniej na teraz wstydu. Wkrótce był gotów i, zauważywszy, że w sąsiednim pokoju niema nikogo, wsunął się tam na palcach,

wyjrzał przez okno, wychodzące na ogród, i zaklął z głębi serca. W blizkości balkonu widać było między drzewami zielone słupy niezgrabnej chuśtawki i ową siostrę pani domu, kołyszącą się niedbale z książką w ręku. Piękna panna miała na sobie jakąś jasną suknię, nogi jej, obute w żółte, letnie pantofle, muskały rozłożyste trawy, uniesiona cokolwiek spódnica odsłaniała niesłychanie ładne pończochy na niebywale zgrabnych łydkach. Ciemne włosy, zdobiące jej piękną głowę, uczesane w sposób najmodniejszy, to połyskiwały i lśniły na słońcu, to się zanurzały w znikomy, przejrzysty, ledwo dostrzegalny cień, jaki odrzucały drzewiny owocowe.

Z głębi ogrodu szła uliczką pani Świerkowska i zbliżyła się do chuśtawki. Była podobna do siostry i może o dwa lub trzy lata tylko od niej starsza.

— Co ja właściwie tym babom powiem, gdy się wobec nich zjawię?—myślał z rozpaczą Adam.

— O, Boże!

Układał jeszcze w ciągu jakich dziesięciu minut pięknie brzmiące tyrady, a wreszcie otwarł z trzaskiem drzwi i przymrużywszy oczy, wszedł na uliczkę ogrodową.

— Kto widział, panie Wawelski, tak się upijać?—zawołała pani Zofia, nim się zdołał do chuśtawki zbliżyć.—Z naszymi panami trzeba się znać z wielkiej odległości, inaczej będą pana co kilka dni wyciągali na te ohydne pijatyki. Nie wiem, czy nas pan sobie przypomina: jestem żoną pańskiego „serdecznego przyjaciela,“ a oto moja siostra Wanda. Czy głowa pana boli? Wczoraj jeszcze dałam znać mamie pana, aby się nie obawiała...

— Doprawdy, nie wiem, jakiemi słowami przeprosić panie... — jęknął Wawelski, myśląc w głębi duszy, że to jednak dobra *baba.*

— Wiemy dobrze, że nie doświadcza pan uczuć przyjemnych, to też nie będziemy wcale mówili o tej przygodzie. Skąd się pan wczoraj wziąłeś między tymi obrzydliwymi biboszami?

— Przypadkowo zaszedłem na dworzec, a że znałem doktora Daktylberga jeszcze z Warszawy, jakoś więc tak...

— Teraz napije się pan herbaty z cytryną, a nieco później rosołu. Głowa przestanie boleć. Chodźmy, Wanducho; proszę pana...

— A gdzież pan Świerkowski?—zagadnął Adam.

— O, on dawno już odebrał należne mu natarcie uszu, teraz jest znowu na dworcu... ekspedyuje sery do Warszawy.

— Dawno pan już bawi w Trebizondowie? — zapytała panna Wanda, wstępując na ganek.

— Od dwu tygodni. Matka moja utrzymuje, jakoby tutaj było przepyszne powietrze, jakobym ja był chory na płuca, najęła więc w willi Odrobinka mieszkanie i zmusza mię bezpośrednio do takiego oto, jak wczoraj, przepędzania czasu.

— Ach... więc to mama pańska zmusiła pana?...

— No... nic! ale absolutna samotność. Las i las... Myślałem, że zdziczeję zupełnie i zacznę chodzić na czworakach.

Przy stole panna Wanda siedziała naprzeciwko studenta i przyglądała mu się od czasu do czasu bacznie dużemi czarnemi oczami, lazurowemi, jak niebo w południe. Pani Zofia zajęta była nalewaniem herbaty. Była szczuplejsza od siostry, ubrana mniej modnie i jakby nieustannie o czemś smutnem zamyślona. Kolor jej oczu był prawie ten sam, co u siostry, bardziej tylko jasny i jakby zamglony. Wawelski wiedział dobrze, że wyraz melancholii, tajemniczego zamyślenia, nieujęty wyraz oczu pięknych kobiet ukrywa najczęściej wybitną płytkość umysłu i oschłość, jeśli nie zatwardziałość serca, a jednak nie mógł się

oprzeć urokowi, jaki wywierały oczy tej mężatki. Było to wejrzenie łagodne, miękkie, dobre i ufające; wyrażało jakby przystosowywanie się subtelnych myśli i delikatnych uczuć do przymusowo narzucającej się rzeczywistości, nieskończenie od tych myśli dalekiej. Popierało takie wrażenie gładkie i białe, jak welinowy papier, czoło, otoczone jasnymi, zaczesanymi w górę włosami—i usta. Co za usta! Jeden jedyny Greuze umiał utrwalać tę właśnie, tkwiącą w pewnych twarzach kobiecych harmonijną melodyę rysów, jakiej nie mógł się do syta napatrzeć Wawelski w twarzy pani Świerkowskiej.

— Rany Pana Jezusa! cóż za śliczna baba...—myślał, połykając gorącą herbatę.—I to ona jest żoną tego aligatora...

— Pan kończy już zapewne uniwersytet?—zapytała panna Wanda.

— Właściwie mówiąc... jeszcze nie kończę. Powziąłem zamiar przestudyowania pewnych umiejętności na tym samym kursie.

— Acha... jest więc pan pewno prawnikiem?

— Tak, pani.

— Znałam bardzo wielu studentów prawa, będąc jeszcze na pensyi.

— Kończyła pani pensyę w Warszawie? Dawno ją pani opuściła?

— Przed trzema laty.

— Obecnie chwilowo wypoczywa biedactwo u nas — wtrąciła pani Zofia, — po trudach i nudach zawodu. Była nauczycielką w pewnym domu obywatelskim. Niegdyś, będąc dziewczętami, nie przypuszczałyśmy, że jedna z nas będzie się zajmowała wyrabianiem serów, pieleniem rosady i ogórków, a druga zapracowywała na utrzymanie tułaniem się po domach obcych.

Panna Wanda spojrzała na mówiącą z pewnym wyrazem surowości i zmusiła ją do milczenia. Wawelski nie brał bardzo do serca zmiany losu, jaka zaskoczyła te panie; to też, uśmiechając się nieodpowiednio, myślał tylko o tem, jakby wyjść z honorem z całej tej afery.

Po herbacie p. Świerkowska zaproponowała swemu gościowi mały spacer. Z ganku widać było kawał łąki już skoszonej, — gładką, równą, jasno-zieloną niwę, od której nie można było oderwać oczu. Pośrodku łąki stała grupa szaro-zielonych olszyn. Maleńki ten, a dziwnie uroczy krajobraz otaczał, jakby ramionami, las sosnowy. Cały ogród skrzętnie

i pracowicie uprawiony był pod przeróżne ogrodowizny; wzdłuż i wpoprzek przecinały go uliczki, wysadzone krzakami agrestu, porzeczek, malin i drzewami owocowemi. Od tła jasnej jeszcze zieloności młodych listków, powleczonych jakby lśniącym pokostem — płomienistą smugą odrzynało się staje wysokiego i kwitnącego ponsowo maku, dalej kilka zagonów kartofli, przyprószonych kwiatem, jak śniegiem. Kwitły różowo i pachniały młode jabłonki, wiśnie, — rozlegał się wszędzie melodyjny gwar pszczół, trzmieli, os, nieprzerwany krzyk kosów i pogwizdywanie wilg. Pod parkanem rosły dokoła ogrodu dwa zagony grochu tyczkowego, rozrosłego bujnie i tworzącego istny las, pełen uliczek, grot zieleni, korytarzy i tunelów. Tylna część płotu ginęła całkowicie w zaroślach dzikiego chmielu. W rogu tego wału z roślin kryła się wązka i nizka furtka. Pani Zofia otworzyła ją wyjętym z kieszeni kluczem i, stanąwszy już po tamtej stronie płotu, doradziła młodym, aby pozostali w ogrodzie, — tam bowiem, dokąd ona idzie, około inspektów, rosa jest jeszcze.

— Zdaje się, że to polowanko na mnie — pomyślał Wawelski.

Zaczęła się tedy rozmowa mdło-dowcipna: o maku, fasoli, Schopenhauerze, pięknej łące,

emancypacyi kobiet, o słowikach, o ciekawości, jako zgubnej wadzie, sięgała już nawet takich wyżyn, jak deklamowania piosenki Heinego:

„Wenn in deine Augen seh',
So schwindet all mein Leid und Weh;
Doch wenn ich küsse deinen Mund" i t. d.,

gdy na uliczce zjawił się pan Świerkowski.

Szedł, śmiejąc się i z odległości czterdziestu kroków wyciągając do Wawelskiego prawicę, jak skrzydło wiatraku.

— Tośmy, panie, komedye wczoraj pokazywali... ha!—wołał, kłując policzki studenta niegoloną od tygodnia brodą.—Jakże tam katzenjammerek... dokucza psu brat? A ja, panie łaskawy, musiałem od rana awanturować się z tymi serami. Kapelusz pański znalazłem aż u profesora... Eh... barszczu-by teraz, barszczu kwaśnego! A gdzie to Zosia?

— Przy inspektach—rzekła panna Wanda.

— Aha. Tak to, uważa pan, nasza szlachta do roboty się bierze. Teraz dopiero zrozumiałem, gdym na zagrodowca zeszedł, że gdzie pan, drogi panie, nogą stąpisz, tam leży, jeżeli nie cały rubel srebrem, to na pewno 75 kopiejek! Dasz pan wiarę, że ja z dziesięciu morgów i z tej oto łączki utrzymuję dom i żyję...

— I bawię się przynajmniej raz w tygodniu na dworcu...—dorzuciła panna Wanda.

— Z dziesięciu morgów ziemi—wołał, nie zwracając uwagi na sarkazm, aż mu żyły na czole nabrzmiały.—Trzymam osiem krów, wyrabia się sery, masło, szczerze mówiąc, letników warszawskich obciąga się należycie na mleku. Ogórki takie widziałeś pan też kiedy za żywota swego? To wszystko *furt* do Warszawy idzie; maliny, porzeczki, agrest, włoszczyzna... wszystko! A owoce? to śmiech! Zasypię tę waszą Warszawę mojemi śliwkami za jakie dwa lata. Teraz, panie, z książek się uczę o uprawie cykoryi. To może być artykuł; co też pan sądzi?

— Ja, uważa pan...

— Myślisz pan może, że żydom oddam moją cykoryę?... akurat! Wie pan, co ja panu powiem, — mówił dalej, biorąc Wawelskiego pod rękę i zniżając głos do szeptu demonicznego,—wiesz pan, co ja zamierzam? Zamierzam, ni mniej, ni więcej, tylko... jajami handlować! Odrobinę kapitału niech mam... no jakiś kilkaset rubli... i mogę do konkurencyi z żydami stawać. Taki, panie, u nas pozytywizm się zagnieżdża!

— Pozytywizm... — dziwił się Wawelski, obserwując uśmiech panny Wandy, z jakim oskubywała listki polnej skabiozy.

Długo, szeroko i patetycznie rozpowiadał pan Świerkowski o daleko sięgających planach założenia w Trebizondowie sklepu akcyjnego, gdzie on pełniłby rolę subjekta, o nieuniknionej ruinie handlu żydowskiego, dzięki samej tylko zniżce na żelazie, o uprawie pszenicy sposobem p. Pepłowskiego, o melioracyach, nawozach sztucznych, nawet o azocie i Liebigu — i piorunował na niedołęstwo szlachty.

— Ja sam, niestety, takim capem byłem... Nie piłem, nie jadłem, w kartym nie grał... i rozlazło się; gdzie, jak i kiedy... nic nie wiem. Żydy, panie, o, tu jest rdzeń!... Co prawda—szeptał Wawelskiemu do ucha,—czasami tam z temi aktorkami... pojmuje pan? Przyjedzie do miasta gubernialnego stado takich ładnych bestyi, że ani podobieństwo wytrzymać. Tak; to była rubryka także swego rodzaju... Ale dziś mi się, panie, oczy otworzyły: sami rękawy powinniśmy zakasać albo, panie, kaput! Na mnie już dowcipnisie anegdoty układają. Opowiada, na przykład, jeden pędziwiatr, że jedzie niby bryczką, aż tu patrzy... na drodze leży kupa jaj potłuczonych, a między skorupami biała karteczka. Co takiego? podnosi on tę kartkę... patrzy... bilet wizytowy, na którym stoi moje nazwisko: Wiktor Ja-

ksa-Świerkowski. To ma być dowcip, że niby mi się jaja w drodze potłukły i żem tę jajecznicę, w braku innego przyrządu, biletem wizytowym zgrzebywał. Głuptasy! ja jeszcze pieniądz zrobię, gdy oni... No... ale chodźmy na ten barszcz, bo rzeczywiście w ustach, uczciwszy uszy, jak w niewyszlamowanym stawie.

Wkrótce po spożyciu owego barszczu, podanego rączkami panny Wandy, Wawelski ruszył najbliższą drogą do domu, żegnany czule i zapraszany nadal uroczyście.

*

* *

Pan Józef Wawelski, nieboszczyk ojciec Adama, posiadał swego czasu w jednem z miast prowincyonalnych świetny „interes“ mydlarski, składający się z fabryki na wielką skalę i dużego sklepu. Wawelscy pochodzą z żydów, chociaż dziad Adama był już żarliwym katolikiem, a i pradziad podobno jawnie świninę jadał, chociaż pozornie trwał w wierze ojców. Pan Józef był człowiekiem prostym, nigdy żadnym umiejętnościom się nie oddawał, nie miał żadnego „sposobu myślenia,“ bardzo rzadko wypuszczał spodnie na cholewy i miał wówczas minę zakłopotaną; interes prowadził

sprytnie, pracował zapamiętale i według powszechnego mniemania dorobił się majątku uczciwie, a przetrącał parobkom piszczele i miażdżył nosy chłopcom sklepowym w sposób tak mistrzowski i rodzimy, jakby w żyłach jego płynęła odwieczna krew sarmacka. O umeblowaniu salonu, powozie i przyswojeniu sobie przekonań plutokratycznych pomyślał dopiero pod koniec życia i to nie z własnej inicyatywy, lecz ulegając natarczywym żądaniom żony,—Róży z Rubinów. Przez cały czas małżeńskiego pożycia pani Róża była prawą ręką męża w gromadzeniu majątku i nie zdradzała żadnych niewłaściwych nawyknień; dopiero gdy jedynak Adaś przestał wykradać pierniki z szuflad sklepowych, otrzymawszy promocyę do klasy czwartej, nabrała skądś zupełnie niezrozumiałych dla starego mydlarza pojęć o „tonie“ i przebąkiwać nawet zaczęła o jakimś high-lifie...

— Powinieneś pojąć—mawiała do męża w pasyi, — że są obecnie czasy demokratyczne... jesteśmy katolikami i polakami... byle chcieć, chłopiec do najlepszych towarzystw dostać się może, Bóg wie z kim ożenić!

— Róziu — odpowiadał zazwyczaj p. Józef,—ja ciebie bardzo kocham i bardzo cię przepraszam, ale ty jesteś głupia. Niech on skończy

sześć klas, no, gimnazyum całe niech skończy i obejmie fabrykę. Ja jestem już stary, będę siedział w sklepie i tych złodziejów pilnował...

Nic jednak nie pomogły perswazye. Adaś, po ukończeniu gimnazyum, wyekspedyowany został do Warszawy na wydział prawny. W rok niespełna po jego wyjeździe pan Józef zaniemógł nagle i skończył życie, nim syn, wezwany telegraficznie, zdążył przyjechać. Wdowa niezwłocznie interes zwinęła, odstąpiwszy go na lichych warunkach; przeniosła się do Warszawy i, żyjąc z procentów od kapitału, usiłowała wprowadzić syna w świat. Latem wyjeżdżała zawsze jeśli nie do wód galicyjskich, to przynajmniej do Trebizondowa.

Adaś, który w gimnazyum z klasy do klasy *piecem* przechodził, w uniwersytecie okazywać zaczął talenty niebywałe. Nie dość że masy książek czytał, ale wygłaszał niejednokrotnie w obecności matki, fanatycznej katoliczki, i niemniej po katolicku myślących jej znajomych, takie zdania, takie zasady, że włosy powstawały na głowie. Okrzyk Börne'go: „Zginajcie się w haki i zarzućcie się na ogniwa świata, a o tem wiemy, że go w dobrym pociągniecie kierunku!“ — był ulubionym jego okrzykiem. Utrzymywał o sobie, a może nawet w to wierzył, że jest jednym z owych haków, zarzuconych na

ogniwa świata. Po przodkach Adaś nie otrzymał w dziedzictwie żadnych nadzwyczajnych popędów altruistycznych, wychowanie nie wszczepiło mu ich również; nadto nie doświadczył jeszcze żadnego prawie cierpienia, nie wiedział co to jest właściwie ów pan nad pany — głód, co znaczy choroba, której niema za co leczyć, nędza, której niema końca, nie wiedział nawet, co to jest brak biletu do cyrku. Nie zdarzyło mu się ani razu zajrzeć z blizka w wygniłe oczy niedoli i zrozumieć gorzką potrzebę niesienia krzywd i grzechów świata we własnem sumieniu, to też życie właściwie było dlań wesołą komedyą, skupieniem werend cukierni, przyzwoitych salonów, wesołych kobiet, modnych ubrań i t. d. Znienacka wdarły się do tego świata promienie dalekowidzącego humanizmu i wytworzyły w umyśle Wawelskiego szczególne, raczej artystyczne, niż naukowe zamiłowanie do nazw i obrazów niedoli, z jakich znowu splatał się wieniec „przekonań“, dający jego posiadaczowi niewyczerpany temat do rozmów, sprzeczek, dysput i dowodzeń. Naturalnie zjawił się zaraz wstręt do „kompromisów“... Z przerażającą oczywistością Adaś wyłuszczał w salonach bogatym a oburzonym do najwyższego stopnia ex-żydom, co, kiedy i w jaki sposób stanie się z tą lub ową klasą społeczną;

wiedział na pamięć, do jakiego paragrafu wciągnąć dane zjawiska i przepowiadał rzeczy przyszłe. Wyznać należy, że był w przyswojonych sobie zapatrywaniach bardzo konsekwentnym. Owo kochanie niedoli, zaglądanie zblizka w wygniłe jej oczy i t. d. — uważał wprost za szkodliwe dla umiejętnego badania i przeprowadzania w życiu umiejętnych wskazań. Znał i chciał znać fakty pozytywne, przyczyny i skutki,— wszelkich zaś „mar mglistych“ oraz wszystkiego, co z niemi ma związek, nie uznawał, ponieważ ich nie rozumiał, a więc nie uważał za potrzebne powstrzymywać się od opluwania ich, o ile to mu się wydawało konieczne. Był natomiast o tyle bezstronnym, że wyjeżdżając na wieś, zamierzał niejednokrotnie przyjrzeć się t. z. ludowi, lecz że między willą Odrobinka a najbliższą siedzibą *ludu* leżał ogromny kawał zarosłego pastwiska, porzucił więc tę myśl w samym jej zarodku tem łatwiej, że popieranie interesów chłopskiego podwórka nie mieściło się na horyzoncie jego altruizmu. Siedząc w Trebizondowie, zachodził z nudów na dworzec kolejowy, nie wiedział bowiem, że sala drugiej klasy tego dworca stanowi dla mężów trebizondeńskich pewnego rodzaju *agora*. Owego pamiętnego popołudnia wypadło właśnie tygodniowe zebranie i Adaś wciągnięty na

nie został na prawach członka nadzwyczajnego, wskutek czego spił się nadzwyczajnie.

W kilka dni po pijatyce pani Wawelska, pragnąc podziękować państwu Świerkowskim za opiekę, rozciągniętą nad jej synem, przyoblekła się w jedwabne szaty oraz biżuteryę i pojechała z wizytą do willi szlacheckiej. Adam towarzyszył matce. Zaledwie pani Róża zaczęła nudzić panią Zofię długimi okresami, panna Wanda wysunęła się z saloniku do ogrodu. Wawelski przyglądał się przez czas pewien starym, powygniatanym fotelom i niezwykle zakopconym sztychom, wyobrażającym jakieś krwawe boje, przerzucał numery „Kłosów“ z przed lat ośmiu, a wreszcie, zachęcony filuternie łagodnym uśmiechem pani domu, wyniósł się również. Panna Wanda przechadzała się po zacienionej uliczce w głębi ogrodu; gdy się zbliżył, przechyliła niedbale głowę i rzekła:

— Myślałam, że się pan już nie domyśli...

— Czego?

— Tego, że tyle czasu, bo pewno z kwadrans, nie jest pan przyjemnym warszawiakiem.

— Dla siostry pani?

— Dla siostry mej siostry.

— Ach, Boże! ja ani tam ani tu nie umiem być przyjemnym.

— I czemuż to, biedny panie Adamie?

— Bo straciłem wszelkie probierze krytyczne...

— Pragnęłabym szczerze współczuć panu, ale nie rozumiem, co to znaczy.

— Idzie tutaj o kolor błękitu. Raz wydaje mi się, że najpiękniejszym jest jasny błękit, kiedy zaczyna się zmierzch, to znowu czaruje mię lazur południa, czaruje, jak preludyum Chopina.

— I długo już trwa ten ostatni stan bolesny?

— Trwa chwilkę, ale...

— Wiem: ta chwilka to wieczność. Czytałam już o tem w ponurych nowellach. Niech się pan upaja chłodem wieczornego błękitu,— mówiła, siadając na darniowej ławce, otaczającej do koła gruby pień jabłonki.

— Chłodem? Cóż znowu? Poezyą, proszę pani, dramatem wreszcie. Ale ja przecież jestem podobno synem południa; złośliwi nazywają co prawda taką przykrą południowość po prostu żydowstwem; więc, jako niby syn południa, kocham tylko te szafiry ciemne, cudowne, porywające...

— Aż kocham? panie Wawelski, synu południa...

— Aż kocham...

— No i cóż się dalej stało w tej nowelli?

— Piękny bohater truchleje z trwogi, że przepiękna bohaterka nie pozwoli mu usiąść obok siebie.

— Nieszczęśliwy! czyż nie znajduje dokoła siebie na tym padole płaczu jakiegoś krzesełka?

— Krzesełka... nie, ale znajduje w sobie tyle odwagi, że siada obok ubóstwianej.

— Rozumie się na brzeżku kanapy.

— Ponieważ okrągłe kanapy nie mają żadnego brzegu...

— Więc biedak stoi, a pragnąc być uprzejmym i zajmującym, zrywa różę, tylko nie tę sztamową, bo te pan Świerkowski sprzedaje po 15 groszy sztuka w sztukę, ale tamtą z tego dużego krzaka, ponsową...

Adaś zerwał wskazaną różę i, niosąc ją ostrożnie, mówił:

— Bohater dotyka róży ustami...

Panna Wanda oparła głowę o pień drzewa i przyglądała się Wawelskiemu z pod rzęs. Ledwie dostrzegalny rumieniec zabarwił jej policzki.

— Co pan powiedział? — zapytała cicho.

— Mówiłem—szeptał Adaś, siadając obok niej bardzo blizko,—że...

— Ależ, panie Adamie, jak pan śmie...— mówiła z oburzeniem udanem, odsuwając się od niego na odległość cala.

— Czyż ja śmiem cokolwiek?... Chciałem tylko, aby pani dotknęła paluszkiem tej róży.

Pochylił się bliżej ku jej skroniom. Zapach włosów i ciała nawskróś go przeniknął. Słyszał, jak mu bije gwałtownie serce, widział, jak jej oczy ciemnieją, niby od napływającej do tęczówek fali błękitu, jak białka pokrywają się siateczką delikatnych naczyń, jak usta rozchylają się i ponsowieją i przepyszne ramiona ledwie dostrzegalnie drgają.

— Niech pan usiądzie tam, dalej... Proszę wziąć sobie tę różę i przypiąć do żakietu.

— Nie dotknie jej pani ani jednym paluszkiem? Nie prawą ręką, broń Boże! lewą... Przecież lewą można, o, tym paluszkiem...

Położył na jej wypieszczonej i miękkiej, jak bukiet fijołków, ręce swoją i gładził ją, ledwo dotykając. Gdy chciał tę rękę podnieść do ust, panna Wanda usuwała ją, uśmiechając się przekornie. Teraz wstrząsnął nim ten sam dreszcz i jakby mu odebrał samowiedzę. Pochylił się nagle i ucałował usta panny Wandy.

— Ach!—krzyknęła gwałtownie i zerwała się z ławki, lecz ręka jej pozostała w jego dłoni. Stała z przymkniętemi powiekami przed Adasiem, oblana rumieńcem po brwi.

Z tego gwałtownego jej ruchu, z tej nawet chwilowej bezwładności Wawelski wywnioskował, że na ustach panny Wandy złożył pocałunek—on pierwszy. Sprawiło mu to nieopisaną, przez mgnienie oka trwającą rozkosz. Schylił się, aby nieznacznie pocałować rękę, którą pieścił; wtedy panna Wanda wyrwała ją i odeszła.

Z odległości kilku kroków rzekła, nie odwracając się:

— Proszę nie iść za mną, bardzo pana proszę...

— Panno Wando, niech mi pani przebaczy—mówił Adam w pewnego rodzaju zgłupieniu. Nie wstał jednak z ławki. Zdala, od ganku słychać było rozmowę zbliżających się pań starszych.

Panna Wanda wracała ku ławce. W oczach jej cudnie zawstydzonych malowało się ukrywane pod maską min, przeraźliwie surowych, uczucie szczerej i radosnej rozkoszy. Zbliżywszy się, mówiła ze zmarszczonem czołem i nie patrząc na winowajcę:

— Co pan zrobił? Jak pan się ośmielił? Co za bezczelność!... Ja teraz chyba ospy dostanę ze wstydu!...

— Ja panią przepraszam, ja serdecznie żałuję, ale pani ma takie prześliczne oczy...

— Znowu bezczelność!... nie, wie pan, że to coś przerażającego!

Stała tak blizko, że Adam nie mógł się powstrzymać, aby jej nie objąć. Nim pani Wawelska i pani Zofia weszły na uliczkę, zdołał przyciągnąć pannę Wandę do siebie łagodnie i w ciągu niewysłowionej sekundy trzymać ją w objęciach. Panna Wanda była pewna, że w tej właśnie chwili bogaty młodzieniec oświadczy się o jej rękę i dlatego nie opierała się. Wtem usłyszała rozmowę i odsunęła się chyżo. Pani Wawelska szła uroczyście, wykładając coś bardzo poważnego. Gdy podeszły blizko, pani Zofia przyglądała się siedzącej na ławce parze z uśmiechem zadowolenia. Stara dama zajęła miejsce na ławce i potoczyła się rozmowa, wahając się między powieściami Kraszewskiego a konfiturami z niedojrzałego agrestu.

Słońce za las zachodziło. Na łąkę wpełzała mgła jasna i rozpościerała się cisza letniego zmierzchu.

— Przecudny wieczór—zauważył Adam.— Co za cisza! „Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie, kędy wąż ślizką piersią dotyka się zioła...“

— Słyszy pan, że wąż się dotyka?...—zapytała pani Zofia z uśmiechem.—Ach! te zioła... Rosada, buraki, selery...

— Nie lubi pani wsi?... — zapytał Wawelski.

— Wieś lubię i nie potrafiłabym literalnie wyżyć w mieście, nie mogę tam wytrzymać przez trzy dni, ale najbardziej lubię wieś wtedy, gdy już wszelkie „zioła“ leżą w beczkach, słoikach, w piwnicy. Jesień, to dopiero prawdziwa radość moja! Idę wtedy do lasu i siedzę sobie tam z robotą. Widział pan kiedy las w jesieni, podczas szarugi i wichru? Zdaje się, że świerkom zimno, gałęzie tulą się do pnia, niby ręce zmarznięte. Czasami znowu wydaje się, że drzewa wpadają w straszny gniew, że powydzierają z ziemi korzenie i pójdą dokądś, w świat... Szczególniej lubimy obiedwie z Wandą szum jesienny. Raz chodziłyśmy tak po lesie ze dwie godziny, nic do siebie nie mówiąc. Mżył deszcz, poubierałyśmy się więc w grube obuwie Wiktora, pamiętasz *szwesterko?* Najlepiej myśleć sobie wtedy podczas

głuchego szumu i huku, idącego górą po szczytach.

— Myśleć czy marzyć?—zapytał filuternie Wawelski.

— Marzyć? może Wanda marzyła, bo ja dałam już marzeniom dymisyę od dawna i patrzę na świat bardzo szaro. Rok temu, gdy Wandzia bawiła u nas w jesieni, chodziłyśmy czytywać Mickiewicza. Ja go bardzo lubię, bo to taki sobie dobry, poczciwy, prosty, a taki mądry człowiek. Czasami się egzaltował, ale bardzo rzadko. Szczególniej lubię, jak on opisuje miejscowości w „Panu Tadeuszu“. To takie jest dziwne... Albo gdy smutnie pisze, to każdziuteńki wyraz jest mądry: czasami jedno słowo ma ogromną masę znaczeń. Prawda, panie?

— O, tak... Mickiewicz... rzeczywiście... Tylko że to zacofaniec, według mnie, straszny, który nic nie widzi poza swoim powiatem. Radby skisnąć w swoich pojęciach upartych i nieraz ogromnie ciemnych. Szczególniej ten jego cały towianizm coś tak komicznego.

— Towianizm?—zapytała ze zdziwieniem pani Zofia—co to znaczy?

— Ja lubię bardzo Heinego—rzekła panna Wanda, spoglądając ukradkiem na Adama.

— Ba! Heine—uśmiechnął się,—to król.

Pani Róża przysłuchiwała się tej rozmowie z sympatycznym uśmiechem, wykazującym, że stara dama zupełnie nie pojmuje o co idzie, a ponieważ wieczór zapadał, zaczęła zabierać się do powrotu. Dorożka dawno odjechała, wypadało wracać piechotą, a że czas był prześliczny, więc pani Świerkowska i panna Wanda oświadczyły się z chęcią odprowadzenia nie tyle zapewne pani Róży, ile jej syna. Student znał już drogę przez las, podjął się tedy prowadzić karawanę. Od szlacheckiej willi do Odrobinki była zapewne z wiorsta drogi, willa bowiem leżała na przeciwnej stronie miasteczka. Ciemno już było zupełnie, gdy całe towarzystwo dosięgło wreszcie stacyi kolejowej i kilkunastu domostw, porozrzucanych wśród lasu. Pani Zofia nie chciała wstąpić do Odrobinki, gdyż spodziewała się powrotu męża z Warszawy i nie mogła zaniedbywać swych zajęć gospodarczych. Adaś odprowadził te panie tą samą drogą.

Wszedł księżyc i nastała jedna z tych nocy letnich, a może ta noc w lecie jedyna, gdy na ziemię zstępuje czar przedziwny. Tkwił w blado-niebieskiej przestrzeni rozmieciony pył świetlisty, podobny do niezmiernie rzadkiej mgły, ledwie widzialnej. Przez konary świerków wdzierały się do głębi lasu białe

promienie księżycowego światła i rzucały na jego dno oraz na pnie i leśną podszewkę bezkształtne plamy. Zimne światło odszukiwało krople rosy, leżące, jak w miskach, w zagłębieniach listków i szyszek; czepiało się brzegów uschniętych zeszłorocznych igieł, co przygniatają jak belki i płyty kiełki, wypychające się z gruntu, wciskało się między włókna mchów i w nory pniów zbutwiałych.

Po całym lesie błąkały się jasne blaski, jak widma. Stanąwszy na brzegu lasu, pani Świerkowska zwróciła się do Wawelskiego, żegnając go; willa szlachecka była tuż za łąką.

— Mamy jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków — mówiła, — miniemy mostek i wrócimy jeszcze przez furtkę. Nikt nie zauważy naszego spaceru.

Otuliła się szalem pod szyję i zwróciła twarzą do Adama. Na twarz tę padło światło, zamigotało jak lśniące pyłki we włosach, zlekka wzburzonych nad czołem, i nadało tej główie jakiś wyraz szczególny. Student doznał takiego wrażenia, jakby panią Zofię w tej chwili dopiero po raz pierwszy zobaczył. Rozkoszny spazm ściskał go w okolicach diafragmy i słodko obezwładniał. Radość wewnętrzną a bezmyślną sprawiało mu fizyczne przypatrywanie

się tej twarzy, nacechowanej w tej chwili czemś niewysłowienie znajomem i blizkiem.

— No, dobranoc panu—rzekła pani Zofia.

Panna Wanda serdecznie i z trwożną namiętnością uścisnęła rękę Wawelskiego.

— Dobranoc — rzekł jakimś nieswoim i mimowoli smutnym głosem, ukłonił się i patrzył na oddalające się sylwetki tych pań. Długi, dziwaczny cień, padający od ich postaci, posuwał się po ubielonej rosą łące, wydłużał się, zwężał...

Wtedy młody człowiek poczuł w głębi serca jakby próżnię. Czuł bezwiednie, że mu czegoś brak, brak niesłychanie.

— Tu, przed chwilą stała ta pani—myślał,—o dwa kroki ode mnie... taka nadzwyczajnie piękna...

Z wysiłkiem uprzytomnił sobie oczy pani Zofii, barwę jej twarzy w świetle, dźwięk ostatniego wyrazu i, schwytawszy te kształty szczególnem pojmowaniem, poszedł do domu szybko, co tchu, szerokimi krokami, jakby przed kimś uciekał ze zrabowanym skarbem.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie i poszedł do lasu. Sprawiło mu przyjemność brodzenie po dywanie z zeschłych liści grabowych, w dalekich zakątkach lasu, błąkanie się fizyczne, kiedy wszystkie myśli błąkały się tak sa-

mo. Było to pewne rozbicie i rozproszenie się zdolności, nagły zanik pamięci, zatracenie rozsądku i sprytu. Nie pamiętał tego poranka nic, literalnie nic, oprócz koloru niebieskiego stanika pani Zofii, a właściwie pamiętał tylko o jakiejś plamie niebieskiej, i to nieprzerwanie obecne a bezmyślne wspomnienie, będące jak gdyby wytworem nieświadomego myślenia, sprawiało mu przejmującą, jątrzącą skrycie, głęboką rozkosz. Ilekroć usiłował uprzytomnić sobie cały dzień ubiegły, rozmowę z panią Zofią, rysy jej twarzy,—gubił się w niejasnej pustce.

Około południa wyszedł na brzeg lasu, położył się na mchu wpobliżu drogi, prowadzącej przez łąkę do willi szlacheckiej, i patrzył. Słońce paliło; wysoko, w bezchmurnem niebie krążyły kanie, wołające przeciągle swoje *pić-pić*; na łące, w lesie, na drogach panowała nieruchoma cisza. Ze wzgórza, gdzie się ukrył, widać było dach willi, połyskujący w słońcu, czuby drzewek ogrodowych, szary parkan, żółty piasek na drodze, błyszczący złotawym blaskiem. Wszystkie te punkty zwracały i przykuwały do siebie jego uwagę, ale w sposób dziwaczny: były to formy jego uczucia bezwiednego, kształty przemijających to udręczeń, to uniesień dziecinnie wesołych. Chwilami

nie zdawał sobie zupełnie sprawy z kierunku tego chaosu wrażeń i pojmował to tylko jedno dręczącą i niecierpliwą półwiedzą, że ta droga żółtawa, przerośnięta skrawkami murawy, leży tak nieskończenie daleko, że tamtędy nie pójdzie w tej chwili, że nie można, niepodobna...

Nierychło przypomniał sobie, że trzeba pójść na obiad i powlókł się do domu ze zwieszoną głową. Po południu powrócił co tchu na zajęty rano punkt obserwacyjny. Wzgórze to, do połowy wykarczowane przez pana Świerkowskiego i zasiane owsem, który kołysał się teraz wełną ciemno-zielonych piórek pod tchnieniem ciepłego wiatru,—wieńczyła kępa nizkich chojaków. Leżały tam stosy wykopanych przy karczunku kamieni, kupy suchego jałowcu, powydzieranego z korzeniami, i wykroty pniów starych. Wawelski wpełzał między krzaki, zdejmował kapelusz, kładł się na mchu i czekał. Nie miał żadnej nadziei zobaczenia dziś pani Zofii, a jednak czekał na coś, podniecany przez niejasne, senne przeczucia.

Ukośne promienie słońca padały na drogę, dźwigającą się z dołu między dwiema podartemi przykopami, zarysowywały wyraźnie każdy krzaczek tarniny, każdy kołek i żerdź zmurszałego płotu i zdawało się, że zbliżały

te ciemne punkty, jedynie odbijające od tła jasno-zielonej przestrzeni.

W głębi zabudowań szczekał z nudów jakiś pies. Chwilami szczekanie rozlegało się głośniej, czy może wiatr wyraźniej niósł jego echo,—wtedy Adam podnosił głowę. Nic nie widać, niema nikogo...

Dla oszukania własnej niecierpliwości obserwował ciche życie dna lasu, licząc, że zajęcie to skróci czas między chwilą obecną i tą chwilą bezgranicznego upojenia, jaka może nadejdzie, a może nie nadejść wcale. Upływały minuty, kwadranse, godziny...

Oto mały pająk na krótkich kabłąkowatych nogach mknie szybko po badylu konwalii, przeskakuje z listka na listek, jak zwinny góral, dobiega do szczytu i siedzi tam w zamyśleniu, przebierając nogami. Skacze znienacka na sąsiedni kwiatek, wdziera się na jego wierzchołek i cały, z nogami i szarem cielskiem, pakuje się w kieliszek kwiatu. Siedzi tam nieruchomo, jak zbójnik tatrzański. Po tym samym badylu spina się z mozołem do góry brunatna boża krówka; jak uboga kobiecina z brzemieniem na plecach, lezie i zsuwa się maleńki syzyf, opiera się silnie nogami i usiłuje dotrzeć do tego właśnie dzwonka kwiatu, gdzie siedzi chybki rozbójnik.

— Jeżeli dojdziesz, maleńka, — myśli Adaś,—to pani Zofia... tu przyjdzie... pani Zofia... Sofia.

Wiatr przynosi wyraźne, radosne szczekanie psa — i nim boża krówka zdołała wstąpić na odnóżkę małego badyla, z bramy folwarku wysuwają się dwie jasne figury. Błyszczy w słońcu ponsowa parasolka, a opodal — niebieska suknia.

— To idzie pani Zofia,—szepce Wawelski, przypadając twarzą do mchu w jakiemś ogłupieniu, czy szale radości.

Serce mu bije, krew pulsuje w skroniach, w gardle zasycha. Wkrótce słychać już odgłos rozmowy, niejasne dźwięki obijają się o ścianę lasu, przerywa ciszę krótki, urwany wybuch śmiechu, potem wszystko znowu zacicha. Za chwilę te panie rozmawiają już w lesie, — wyminęły schronienie Adama, nie zauważywszy go; panna Wanda śpiewa półgłosem preludyum: „Czemu w sercu smutno?...“

Wówczas student jął na gwałt oczyszczać ubranie z igieł świerkowych i mchu, wstał i, wysunąwszy się na drogę, podążył w kierunku echa rozmowy.

W głębi lasu przecinały się na wzgórzu, tworzącem maleńką polanę, dwie zapuszczone drogi. W środku stał spróchniały pniak sta-

rego świerka, obdarty z kory i porzeźbiony śladami dróg drzewojadów. Przy pniaku siedziały obiedwie damy w pozach nie tyle malowniczych, ile niedbałych. Kiedy Wawelski zbliżył się i mógł widzieć twarz pani Zofii, uspokoił się nieco, aczkolwiek nie mógł zebrać rozproszonych myśli i wrażeń.

Panna Wanda była niesłychanie zadowolona z jego przybycia, kokietowała go oczami, ruchami, pantoflami, półsłówkami, uśmiechami, a nawet usiłowała drażnić, oddalając się co pewien czas o kilka kroków. Wówczas Adam mógł rozmawiać z panią Zofią i patrzeć w jej oczy. Uderzał mu wtedy do głowy jakby czad, dzięki czemu nie mógł mówić głośno, i najzwyklejsze zapytania i odpowiedzi wypowiadał zdławionym szeptem.

Pani Zofia siedziała na murawie, oganiając komary gałązką świerczyny. Teraz wsiąkły w jego pamięć na zawsze rozmaite szczegóły: kształt jej ramion, piersi, kształt podwiniętych nóg, odciskający się na sukni, charakterystyczne pochylanie na bok głowy, gdy wymawiała rzadko przez nią używane wyrazy, leniwe wznoszenia się powiek, dźwięk śmiechu, śmiechu półgłośnego, jakby był zaledwie echem czyjejś wesołości. Adam doznawał wreszcie tego radosnego upojenia, jakie niedawno prze-

czuwał, a jakie teraz zdawało się uciekać, wyrywać się, unikać go... Każde zbliżenie się panny Wandy sprawiało mu niewypowiedziane cierpienie, każde jej słowo wydawało się nierozsądnem, każde spojrzenie wyzywającem natrętnem i nudnem.

Gdy się słońce nachylać zaczęło ku zachodowi, mieszkanki willi poprosiły Adama na herbatę. Poszedł z wielką chęcią. Pan Świerkowski był już na ganku, gdy się do willi zbliżyli. Pragnąc ufetować swego gościa, w którym przeczuwał jakiegoś demokratę, używał co kilka słów: „bo to, uważa pan, ta nasza szlachta...“—„ja tam z całą tą szlachtą o... tyle nie mam styczności...“ i t. d.

— Ale i ten chłop,—wołał—to jest także! Tak się to mówi: chłop, chłop... Daj mi pan z łaski swojej takiego chłopa, któryby wziął ode mnie ogród w dzierżawę. Parch, uczciwszy uszy, przychodzi, wylicza 75 rubli, siedzi całe lato w budzie, nie wiem, czy on sam je co, czy nic, bestya, nie je, — dość, że ja moje 75 rubli mam w kieszeni i on napewno zarobi. Jabym z duszy serca rad zgnieść żydów ze szczętem, ale komuż ten ogród wypuszczę? — wołał z desperacyą.—Chłop będzie mi miesiąc medytował, potem się namyśli i da, wie pan ile?... 40 rubli!... Będzie się sam objadał gruszkami, będzie

spał w nocy, owoc mu rozkradną, sam straci i ja na jego handlu. On musi się objeść, papierosika wypalić, wódeczki w niedzielę... No, da mi pan chłopa, którzyby mi zastąpił żyda, którzyby sam zarobił i mnie dał tyle, ile daje żyd? No, panie Wawelski...

— Skądże ja mogę wziąć jakiegoś chłopa? Może gdyby w *Kuryerze* ogłosić...—tłómaczył się Adam, a jednocześnie przez mózg jego przemknęła myśl przykra, że w tym ogrodzie latem będzie jakiś żyd siedział.

— Tak ci moja!—śmiał się Świerkowski—w *Kuryerze* ogłaszać... Jeszcze i na *Kuryera* z pięć złotych wydać; a zresztą, czy pan myśli, że chłopy czytają pisma?

— A cóż ci chłopi koniecznie mają brać pański ogród?... Miał pan zamiar wysyłać owoce do Warszawy, sam uskuteczniać tę manipulacyę...

— Tak się to mówi... sam... manipulacya. A ile to ja wydam na koleje, na jazdy, na hotel w Warszawie? Panie!—wrzasnął nagle,—jeśli my się sami żydami nie staniemy, ży-dami,—panie, to ja sobie rękę daję uciąć, że nie zwyciężymy tych pijawek!

Wawelskiemu robiło się trochę nieswojo wobec perspektywy stawania się znowu ży-

dem, szczególniej, gdy patrzał na przymusowo poważną minę pani Zofii.

Świerkowski, wybierając się o zmroku do obory i stajni, zaproponował Adamowi zwiedzenie gospodarstwa. Poszli tedy obadwaj. Oglądali parę młodych i ładnych koni; szlachcic kazał je natychmiast wyprowadzić, przeprowadzać, prezentował ich nogi, kłęby, kopyta, łopatki, szyje, odsady ogonów i t. d., a zachwalał, jakby miał przed sobą nabywcę. Przeszli następnie do obórki, aby obejrzeć krowy. Znowu zaczęło się wyliczanie przymiotów, życiorysów, narowów i wad każdej krowy zosobna. Studenta nudziło już to wszystko śmiertelnie, to też, pragnąc zakończyć szereg przymiotów jakiejś Kwiatuli, rzekł:

— Tak, to śliczna krowa; co za odsada ogona!

Świerkowski wytrzeszczył oczy i zaczął tłumić śmiech w taki sposób, jakby połykał jeden po drugim surowe buraki.

— Czego się ten plantator śmieje?—zapytywał siebie w duchu Adam, gdy wyszli wreszcie z pomiędzy stosów nawozu i skierowali się ku domowi mieszkalnemu.

Na tle bukietów rozkwitłego bzu, którego cały gaj rozrósł się dokoła ganku, widać było głowę pani Zofii. Niedawny śmiech Świer-

kowskiego, jego obecność w danej chwili i widok tej głowy, coraz piękniejszej, sprawiły, że Adaś po raz pierwszy pojął, co się z nim stało; zrozumiał tę klęskę, ten cios, to nieszczęście, że pani Zofia jest żoną takiego oto pogromcy żydów. Głucha i ślepa energia instynktu miłosnego spotkała się po raz pierwszy z tamą, z nieugiętym i brutalnym hamulcem, to też w mgnieniu oka stała się przyczyną paroksyzmów cierpienia, kąsających znienacka, jak przypalenie rozpalonym drutem, a przepadających za chwilę przy napływie wrażeń miłosnych, przychodzących z zewnątrz aby tę słodką i rozkoszną energię do nowych wybuchów zasilać. Nadmierną i dominującą nad zdrowym rozsądkiem litość dla dopiero co powstałego uczucia zmieniał gorzki żal do pani Zofii, żal nie utulony i skłaniający do łez prawie. Poczucie dokonywającego się bezprawia, poczucie prawie fizyczne, bo ściskało za serce, tętniło w pulsach i uderzało do głowy falą krwi, odszukało wreszcie w duszy Adama jakiś punkt i zatliło w nim coś złego. Ten mąż z jego wąsami, butami, grubymi paluchami i wargami mlaszczącemi zaczął mu ciężyć na ciemieniu, jak kamień młyński. Przy herbacie, podczas gdy szlachcic usiłował rozweselać wszystkich cytowaniem kolejnem anegdot, ja-

kie praszczurom jego obmierzły już od częstego powtarzania, Adam wpatrywał się w talerz z nieopisanie cynicznym uśmiechem. Nie mógł, literalnie nie był w stanie podnieść oczu ani na Świerkowskiego, ani na panią Zofię. Żyły mu na czole nabrzmiały, jak strąki grochu, nozdrza drgały, ręce potniały, łzy piekły w oczach.

Zaraz po herbacie żegnać się zaczął. Obiedwie siostry przyglądały mu się z nadzwyczajną ciekawością i zdziwieniem. Świerkowski przeprowadził go z latarką przez ogród i, nagadawszy jeszcze wiele rzeczy, wypuścił przez furtkę w parkanie. Młody człowiek szedł po kretowiskach i ścieżkach, wydeptanych przez bydło, niosąc w sobie smutek taki, jakby go spotkało jakieś wielkie i niespodziewane nieszczęście. Wszystko teraz było mu obce,—cały świat, książki, ideje nie miały z wewnętrzną treścią jego duszy żadnego literalnie związku. Czuł się obcym na ziemi, rozbitym w sobie, opuszczonym i samotnym...

*

* *

Pani Świerkowska i jej siostra znajdowały codziennie na pniaku w lesie bukiecik narcyzów, ilekroć szły na spacer. A chodziły od ostatniego spotkania się tam z Adamem każde-

go odwieczerza bardzo regularnie. Panna Wanda biegła zazwyczaj naprzód i, dostrzegłszy na rdzawej powierzchni pnia wypukłą, białą plamę, śmiała się głośnym, głęboko zadowolonym śmiechem zwycięstwa. Obiedwie były pewne, że Wawelski oświadczy się lada dzień, że matce jego pochlebiać będzie taki związek, że tedy... Pani Zofia cieszyła się również z tego tryumfu, aczkolwiek nie mogła się zgodzić, zdecydować wewnętrznie na moralne i rodzinne zbratanie się z pięknym mechesem. Nie krępowały jej żadne uprzedzenia szlacheckie, znała bowiem aż nadto dobrze wartość pieniędzy i pragnęła z całego serca uchronić za jakąbądź cenę od ich braku swą siostrę, ale nie mogła przezwyciężyć skrytego i niewytłómaczonego uczucia iście kobiecego niesmaku. Stały jej w oczach dzieci, istoty niewinne, jakie zjawiają się na świat, dzieci Wandy, które kochała już naprzód... A nuż powyrastają im garbate nosy i odstające uszy. Adam jest pięknym chłopcem, nie ma ani w rysach twarzy, ani w całej postaci, ani w mowie, ani nawet w charakterze cienia żydowstwa, ale te dzieci, te dzieci... Panna Wanda nie doświadczała żadnych tego rodzaju niepokojów — tem więcej, że pokochała Adasia nagłem, namiętnem i niecierpliwem uczuciem, jakie wobec warun-

ków nieodpowiednich znika szybko, wobec sprzyjających nie trwa również dłużej nad niewyraźny kres miodowego miesiąca.

Nad wszelkimi zresztą humanizmami górowała ta zasada: Adaś jest bogaty, za rok będzie skończonym prawnikiem, a ona mieszkać będzie w Warszawie. Kiedy zestawiła nędzne położenie guwernantki, istoty najbardziej na ziemi nieszczęsnej, z położeniem mecenasowej, bogatej mecenasowej w Warszawie, czuła, że nad życie kocha Adasia.

Tymczasem Wawelski nie dla niej przynosił codziennie sześć pachnących narcyzów, nie dla niej wstawał rano, zrywał i niósł te kwiaty, jeszcze kroplami rosy okryte, mając w oczach mgłę, a w sercu smutek, dla którego jedynem ukojeniem były właśnie białe, wywinięte listki narcyzów. Były to symboliczne kwiaty: każdy z nich oznaczał jedną z liter wyrazu... „kocham.“ Adaś przychodził do pniaka rano, kładł kwiaty i szedł następnie dokądś, daleko w las, aby w zapadłych jego kątach leżeć na ziemi i patrzeć przez gałęzie w niebo. Po południu spotykał piękne siostry na polance i patrzył z cynicznie mściwym uśmiechem na pieszczenie jego kwiatów przez pannę Wandę; czasami nic prawie nie mówił, a czasami zachwycał swe słuchaczki naukowo-artystycznymi monologa-

mi, wypowiadanymi z nienaturalną swadą i zamaszystością, jakby pragnął pokazać, co umie, czem jest. Był wszędzie, dokądkolwiek udawała się z siostrą pani Świerkowska. W sklepach, w kościele, na rozmaitych nudnych wizytach zjawiał się, jak cień. Nienawidził prawie teraz przywłaszczycielki jego symbolicznego „kocham“ i odnajdował w niej mnóstwo przywar, segregował je i codziennie dopisywał w pamięci jakiś nowy szczegół do aktu oskarżenia. Drwił w duchu z wewnętrzną uciechą z jej modnych stroików, z manii biednej nauczycielki, wydającej wszystkie zarobione pieniądze na suknie i kapelusze.

Codzień inny kubraczek: krótki, długi, wcięty, puszczony wolno, bufiasty, porozprutywany, jasny, żółty, ciemny, czarny, — codzień inna suknia... Co ona ma tych spódnic, żakietów, pantofli, kapeluszy! Ciekawa rzecz, czy też ma czyste koszule, czy jej wystarczy pieniędzy na płótno? Czyż nie jest—myślał—dowodem jej marności moralnej to małpowanie ludzi bogatych, małpowanie, uskuteczniane z największym trudem, kosztem gorzkiej pracy, i w jakim celu? — w celu zdobycia na gwałt męża. Niema na świecie nic literalnie do spełnienia, tylko zdobyć na gwałt męża. Naturalnie wzgardziłaby człowiekiem rozumnym, ale

ubogim, bo na horyzoncie widzi tylko cztery fachy, zapewniające posiadanie salonu: inżynier, adwokat, doktor, — ach, inżynier! — i od biedy agronom, — notabene nie żaden Świerkowski, ale dzisiejszy ziemianin, młody i nadobnie dumny radca Dyrekcyi szczegółowej... Usiłuje pochwycić tego bogatego młodziana za pomocą prześlicznych, coraz piękniejszych spódnic i staników. Co za ogon cywilizacyi! Co z tej panny za ofiara powszechnej zarazy, zatruwającej życie tego społeczeństwa! Jest arystokratką, chociaż nie umiałaby nawet tego sformułować; każdy jej czyn, krok, myśl jest krokiem, myślą i uczynkiem wielkiej damy. — Ona nie mieszka, lecz *bawi*,—życie jej dzieli się na *sezony*, charakterystyczne według tego, czy dobrze lub źle się bawiono w danym sezonie; jej wiedza, zamiłowanie do muzyki, uczenie się na pamięć rozmaitych mniej lub więcej mdłych wierszy, jej czytanie książek—to wszystko środki reklamowania się, boć ona tego wszystkiego nie lubi, na wszelką pracę patrzy, jak na najgorsze zło, warunki życia Świerkowskich uważa za jakąś wstrętną, anormalną, chwilową wegetacyę, a swoją urodę za pewną wartość, jaką radaby mnie ufetować dlatego, że wie coś o moich pieniądzach. Ruina majątkowa, pensya, życie, książki, niedostatek niczego

jej nie nauczyły, nic jej nie powiedziały... Pożądanie zbytku — oto treść duszy tej dziewicy; a że ten zbytek może jej się wymknąć, więc zdąża do niego przez wszelkie kłamstwa. Nie upadnie nigdy z jakiejś miłości, bo wie, że to spowodowałoby spadek ceny towaru; będzie szukała tego inżyniera do śmierci, a przynajmniej do staropanieństwa; za pieniądze, jakie wyda na kaprysy mody, możnaby sklep kolonialny założyć. Ach, ty sroko, papugo, papugo, jakże jesteś śmieszna...

Złość i odraza wzrastały w jego sercu w miarę gmatwania się tego stosunku, w miarę coraz większego rozczulania się wzroku panny Wandy. Sądził poprzednio, że tajemnica jego kwiatów odkryta wreszcie zostanie; uknuł nawet zdradziecki plan posługiwania się modną panną, jak parawanem, oszukiwania jej, zwodzenia półsłówkami w tym celu, aby wobec Świerkowskiego i t. z. świata mieć pretekst do częstego widywania pięknej mężatki. Atoli narcyzy zdobiły i zdobiły bez końca najbardziej uroczą okolicę gorsetu panny Wandy. Niepodobna było nawet przerwać zanoszenia bukietu, bo cóżby to znaczyło, do czego mogłoby doprowadzić?

Nosił go więc ze śmieszną zapamiętałością, rzucał na pniak z jękiem jakiegoś niemądrego bólu...

Panna Wanda zrozumiała nareszcie tajemnicę Adasia panieńskim instynktem. Wyśledziła w pewnej chwili jego oczy, gdy skrycie, zpod rzęs całowały, pieściły, obejmowały i tuliły głowę jej siostry. Z tego jednego wejrzenia jej biegłość w kunszcie zawracania głowy wyciągnęła wnioski o stopniu uczuć Adasia. Wnioski te dokuczały jej, jak najpodlejsza zdrada, wywlekły z głębi jej serca nieznane dotąd uczucia mściwej goryczy i złego żalu. Musiała zrozumieć, że zniszczony został nie tylko fakt zbałamucenia bogatego młodzieńca, jaki uważała za dokonany, ale że rozdeptane są marzenia o końcu nauczycielstwa; dotkniętą została do żywego duma jej, jako pięknej, znieważoną jakoby uczciwość przez pocałunek w ogrodzie, oszukanemi te nadzieje, jakie już przywarły do bukiecika narcyzów, zrosły się z samem pojęciem, z wyobrażeniem o kształcie i zapachu tego kwiatu.

Gorzko jej było wyrzec się wszystkiego, myśleć, że za dni kilka znajdzie się gdzieś daleko, w obcym domu, w małym „pokoju dla guwernantki,“ —gdzie znowu będzie rodzajem sprzętu, potrzebnego chwilowo, piątem kołem u wozu,—gdzie przyjeżdżające z wizytą damy oglądać ją będą od stóp do głów wzrokiem, jakim się ogląda nową guwernantkę, i cenić o tyle o ile ma dobry akcent francuski—i gdzie dokuczać

jej będzie tak samo, jak tu, oszukana łatwowierność i pocałunek, pocałunek ofiarowany za darmo...

Podobało mu się — myślała — pocałować mię, więc pocałował, przyciskał mię do siebie, jak pokojówkę,—co za hańba! I niema na to rady... Kocha teraz Świerkowską (panna Wanda nazywa odtąd dotychczasową Zosię—Świerkowską), kocha uczciwą mężatkę, matkę, porządną kobietę... Zawiąże się romans, romansik z mężatką...

To jedno ją pocieszało, że Adaś będzie nieszczęśliwy, — cokolwiekby się stało, zawsze będzie nieszczęśliwy. Postanowiła wyjechać niezwłocznie, aby na ohydny romans nie patrzeć i nie brać w nim udziału,—a że na miejsce, jakie opuściła niedawno, mogła powrócić w każdej chwili, zatelegrafowała tedy w sekrecie przed panią Zofią i po upływie dni kilku otrzymała odpowiedź z zawiadomieniem, kiedy na ostatniej stacyi kolei będą na nią konie oczekiwać.

Ukartowując ten niespodziewany wyjazd, panna Wanda miała na celu zbadanie ostateczne Adasia. Łudziła się jeszcze nikłym promykiem nadziei, jaki dusił w gardle i łzy z oczu wyciskał. A nuż—marzyła—żal mu się zrobi, a nuż zlituje się ten... żyd...

Następnego dnia po otrzymaniu przez pannę Wandę wezwania do przyjazdu Wawelski był w lesie. Siedział, jak zwykle, oparty plecami o krzak jałowcu, i monotonnie, wyraźnie, za pomocą dobrze uszykowanych zdań, wyłuszczał jakąś kwestyę społeczną. Panna Wanda nie rozumiała tego, co mówił, była bowiem zajęta układaniem kategorycznej formuły swego wyjazdu, formuły takiej, jakaby zaskoczyła znienacka i jego i panią Zofię. Obdzierała niecierpliwie palcami listki narcyzów, mięła je i gryzła. Gdy mówca przerwał na chwilę potoczysty wykład, wstała i, hamując wzburzenie wewnętrzne, rzekła do siostry:

— Zosiu, nie siedźmy dziś długo tutaj, bo ja muszę jeszcze pozbierać rzeczy...

— Jakie rzeczy? Po co?

— Wiesz przecie, że dostałam telegram; jutro rano jadę.

— Wandeczko! cóż ty?... Dlaczegóż masz jechać?—mówiła, podnosząc się szybko z ziemi i mając już pełne oczy łez, pani Zofia.

— Pojadę stanowczo! Trzeba zacząć pracować, zarabiać na życie; namyśliłam się... Stanowczo!...

Wawelski poczuł zimny dreszcz w plecach. Siedział ze spuszczonemi powiekami, ważąc przebiegle to oświadczenie. Czy to dobrze, czy

źle; czy dobrze, czy źle?—myślał.—Mogę bardzo wiele zyskać, ale mogę wszystko utracić. Jutro już tutaj „Zofia“ nie przyjdzie; nie będę jej widywał, nie będę jej widywał...

Pani Zofia zapomniała prawie zupełnie o jego obecności i, obejmując siostrę za szyję, prosiła na wszystko, aby nie odjeżdżała. Nic jednak nie pomogły perswazye, a nawet mruganie powiekami. Zjadliwy uśmieszek Wawelskiego utwierdzał guwernantkę w zaciętym i dla niej samej dokuczliwym uporze. Obiedwie miały teraz łzy w oczach, były wzburzone: szybko pożegnawszy towarzysza spacerów, odeszły do domu.

Nazajutrz raniutko, gdy panna Wanda wsiadała do wagonu i szukała zaognionemi oczami „parszywego żydziaka“—w tym celu, aby mu nie odpowiedzieć na ukłon pożegnalny, aby mu nie podać ręki, aby go zmiażdżyć niemym a pogardliwym wyrazem ruchów i twarzy, — pogardzony niósł do pniaka bukiet, jak zawsze. Szedł szybko, chwilami biegł, co mu sił starczyło. Ten bieg i zmęczenie aż do braku tchu był jak gdyby dobrym przewodnikiem, odprowadzającym z jego nerwów nadmiar trwogi, pragnienia, niepokoju i wzburzenia, które go nękało i łudziło przez całą noc bezsenną.

Zostawił kwiaty na pniaku i wrócił do domu. Czytał tam jakąś książkę, nie rozumiejąc ani jednego zdania; wycierał mechanicznie chustką wilgotne ręce i czekał wieczora. O zmroku poszedł chyłkiem, okrążając las dokoła, dotarł do polanki, starając się nie sprawiać żadnego szelestu, i dostrzegłszy, że bukiecik, zwinięty i poczerniały, leży na miejscu, wrócił do domu. Nazajutrz znowu zaniósł kwiaty i doczekał się tego samego skutku. Na trzeci dzień był już jakiś chory z uporu i dreszczów oczekiwania oraz podniecenia moralnego. Szedł po południu do pniaka, ulegając mdłemu wiedzeniu,—bo nie kombinacyi i nie przeczuciu, że spotka panią Zofię. I rzeczywiście spotkał się z nią w lesie na ścieżce. Na godzinę przedtem spadł przelotny, rzęsisty deszcz letni, zmoczył ziemię aż do głębi, napełnił koleje dróg szorującymi wartko potokami, a las dusznym czadem pachnącej wilgoci.

Pani Zofia szła sama, wysoko obiema rękami unosząc suknię i tupiąc co chwila po korzeniach sosen, aby otrząsnąć błoto z przemoczonych trzewików.

Zobaczywszy Adasia, zmieszała się i wykonała niezdecydowany ruch, jakby chciała uniknąć spotkania,—lecz że był blizko, przywi-

tała się z nim sztywno i, nie patrząc na niego, odpowiadała niedbale tylko na pytania.

— Czy pan nie wiedział o odjeździe mojej siostry?—zapytała wreszcie, patrząc mu w oczy z obojętnym uśmiechem. — Zostawił pan dla niej kwiaty...

— Tak, zostawiłem je tam, jak zwykle, dla pani...—odpowiedział szorstko, nienaturalnie basowym głosem.

— Dla mnie? — krzyknęła prawie i wpatrywała się w niego szeroko otwartemi oczami.

— Może je pani przecie podeptać, rzucić, porwać na strzępy; ale zostawiłem je dla pani.

Szli kilkanaście kroków, milcząc, jakby się mieli rozejść za chwilę.

— Nie rozumiem pana zupełnie, — rzekła z niejaką dumą pani Zofia, chociaż zrozumiała go znakomicie. — Mogę tylko nie brać tych kwiatów, nie być tutaj nigdy, dopóki pan nie wyjedzie...

— Będzie pani tutaj choć raz kiedyś, aby zobaczyć trupa waryata, który sobie tutaj właśnie łeb roztrzaska... tutaj właśnie...

Zatrzymał się i patrzał na nią suchemi, pałającemi źrenicami.

— Panie Wawelski! Co też pan wygaduje?... Bez sensu...

— Wiem, że bez sensu, to też żegnam... panią...

Dolna szczęka jego zielonkowato-bladej twarzy wysuwała się naprzód i drgała konwulsyjnie; oczy cofały się pod powieki i ćmiły bielmem wściekłości.

— Panie! Niech pan zaczeka... Niech pan powie, o co panu idzie; nie rozumiem, czego pan chce ode mnie.

Pamiętała nieustannie, że może ktoś zobaczyć ją samą w lesie z pięknym chłopcem; to też, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, z pośpiechem oddalała się od ścieżki i, przedzierając się przez zwarte zarośla młodej świerczyny, szła w głąb lasu, do t. z. Wilczych Dołów. Wilcze Doły były wyrwą między dwoma pagórkami, zacienioną ze wszech stron lasem. Na zboczach i osypiskach tego głębokiego wąwozu rosły pochyło, prawie pniami na dół, rozłożyste, okryte mnóstwem liści młode dębczaki, leszczyna, lipy i graby, nakrywając go gałęziami, jak płaskim dachem. Dno wyścielały bujne, przepyszne, nasycone wilgocią, kędzierzawe trawy, wielkie badyle dziewanny, gencyana o fioletowych dzwonkach, kępy lancetowatych szczawiów i łopianów. Pani Zofia zeszła szybko po pochyłej szyi parowu

w głąb' i stanęła tam, trzęsąc się ze strachu. Adam szedł tuż za nią.

— O co panu idzie!... niech pan powie... Czego mnie pan tak przeraża?

— O nic mi nie idzie... Żałuję, że panią przerażam, ale to mię, uważa pani, nadto już zmordowało...

— Co? Co pana zmordowało?

— Szalona miłość, straszna miłość, głupia miłość, podła miłość! Muszę patrzeć stąd na dom pani, z daleka; muszę myśleć, że pani tam jest z tym mężem, wiecznie dla mnie obca, cudza, na zawsze stracona, pożegnana! Niech pani zrozumie przecie te wściekłe myśli, że każdy chłop, każdy żyd wędrowny, każdy parszywy pies może pójść tam, patrzeć na panią; tylko mnie wara, chociaż za tę rozkosz oddałbym... I tak codzień, zawsze, na wieki! Nigdy... nie wolno... nie!...

Mówił to jednym tchem, chrapliwie. Zdjął machinalnie kapelusz i miął go w ręku, tarł i szarpał. Przepocone włosy oblepiły mu czoło; oczy nie miały żadnego wyrazu, jak u obłąkanego; wargi zbladły, jakby były powalane kredą.

— Więc cóż ja mam zrobić, panie, panie Wawelski?—przerwała mu z naiwnym żalem

pani Świerkowska, bezwiednie naśladując wyraz jego twarzy i ton głosu.

— Ach, nic, nic! Skończyć to raz, skończyć...

— Niech pan się uspokoi, mój złoty panie, proszę...—mówiła, jak do dziecka.

Te jego włosy, kosmykami przylegające do czoła, wywierały na nią szczególne wrażenie: wydawało jej się, że on już jest poraniony, że na tem jego czole są okropne, krwawe rany. W jakiemś odurzeniu wyjęła z pośpiechem chustkę i obcierała mu czoło. Było jej tak strasznie żal tego chłopca, ściskało ją w piersiach przerażenie, gmatwające wszystkie myśli rozsądne:—oto wyjmie z kieszeni pistolet i zastrzeli się, wyjmie pistolet i zastrzeli się—szeptał w niej jakiś głos obcy.

— Panie! niechże się pan uspokoi...—powtarzała krzykliwie, biorąc go i ściskając za rękę. — Co tu ja pocznę, Matko Boża, co ja pocznę?...

— Nic, niech pani powróci do domu, niech pani na pociechę popieści męża. Cóż to panią obchodzi? A ja nie mogę, nie mam siły do zniesienia!

— No, czego pan chce? no, niech pan powie,—zaczęła mówić pieszczotliwie, nic już teraz nie wiedząc, gdzie jest, czego od niej chcą,

i dygocąc z przerażenia, że on natychmiast się zabije.

Wawelski tak zaciekł się w rozrabianiu poczucia własnego nieszczęścia, poczucia, dławiącego naprawdę, i dalszych jego rozgałęzień, któremi półbezwiednie się podniecał, że sam nie wiedział, czego chce. Przez zaćmiewający mu umysł tuman cierpienia przemknęła jednak myśl jasna, że ugodził w serce pani Zofii, że jej dokuczył i tem cierpieniem ją zahaczył, że się nareszcie włamał przemocą do jej duszy; to też, trzeźwiejąc z rzeczywistego bólu, zatrzymywał na twarzy wyraz zdecydowanej na wszystko rozpaczy.

Widok trwogi i cierpienia w jej oczach rozniecał w nim miłość samą, słodką i radosną. Zaczął całować ręce pani Zofii, wyjękując jakieś wyrazy bez sensu, jakieś nazwy pieszczotliwe, których nie śmiał i nie umiał wypowiedzieć głośno.

— Nie zrobi pan sobie nic złego? Nie zrobi pan?...—pytała, nie wzbraniając mu tych pocałunków, głosem wciąż przerażonym.

— Nic nie wiem, nic wiem...

— Niech pan mi da słowo honoru i niech pan jutro rano przyjdzie do nas...

— Nie, tam nie przyjdę! Ja tak kocham, tak kocham...

— Ja muszę pana jutro rano widzieć. Niech pan przyjdzie... Męża nie będzie.

Znaczenie tego ostatniego zdania zrozumiała dopiero po chwili.

— Nie, nie przyjdę tam. Tutaj...—szepnął Wawelski.

— No, dobrze...

Dostrzegła, że się uspokoił, i ochłonęła sama. Szybko podała mu rękę i odeszła blada, zmieszana, zgłupiała.

* *
*

Burzliwy, zacinający z boku deszcz trzepał wśród półświstów wiatru w szyby sypialnego pokoju Świerkowskich. Dopiero świt się zaczął. Duża granatowa chmura, okrywająca pół horyzontu, wznosiła się leniwo ze wschodu i osłaniała zupełnie czyste niebo, skąd, jak przez szczelinę, tryskało purpurowe światło wschodu. Pani Zofia obudziła się, oparła brodę na poręczy łóżka i patrzała sennemi oczyma przez nieosłonięte okno na ten przepyszny, czerwony blask, przełamujący się w niciach wody deszczowej.

— Deszcz...—ziewnęła i przytuliła twarz znowu do poduszki. Było jej w tym półśnie niesłychanie dobrze i wesoło. Chlupanie de-

szczu w czystej kałuży pod oknem sprawiało melodyjny, usypiający szelest; wiatr stopniowo ucichał i rozszerzała się zorza, zapowiadając pogodę.

— Wawelski... — szeptała pani Zofia poduszce, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co oznacza ten wyraz, i wmyślając się przez półsen w to coś rozkosznie wesołego, co się z wyrazem tym kojarzy.

Śpiący w przeciwległym kącie pokoju pan Wiktor pogwizdywał, cmokał, pykał, sapał i wypuszczał chwilami przez nos niepełne basowe tony, na podobieństwo zdezelowanych organów. Tuż obok spał cicho w maleńkiem łóżeczku nieprzyzwoicie obnażony mały Zygmuś. Kołdrę odepchnął nogami, poduszkę zrzucił na ziemię i zwiesił małą opaloną głowę poza poręcz łóżka. Pani Zofia przyglądała się tej jego pozie ze współczuciem, ale leniła się podnieść; wreszcie wstała i podsunęła mu poduszkę pod głowę.

Było jej nie wiedzieć czego wesoło: miała chęć usiąść na łóżku męża i naśladować jego chrapanie. Stuliła wargi, gwizdnęła zupełnie tak, jak on, a poczuwszy chłód, pociągający od okna, wskoczyła na swe łóżko, zawinęła się z głową w kołdrę i gwizdała a chrapała tam, wciąż go naśladując.

— Trzeba iść do krów, o jej...—myślała,— taki deszcz.

Wyciągała się jeszcze i wygrzewała w łóżku z kwadrans, a potem zerwała się raptem i na pół ubrana, okręciwszy głowę chustką, wyszła na palcach do kuchni. Ogromna dziewka, zaspana i rozkudłana, poprawiając „ciasnochę,“ zbierała skopki, powązki, konewki i budziła szturchańcami drugą, śpiącą jeszcze na barłogu szerokiego werka. Pierwszy złoty, wesoły i połyskujący promień słońca wyrwał się z za chmury i trząsł się w czerwonawo-zielonych szybkach okna. Gromady much, obsiadające ramy i futryny okna, jak czarne plastry i smugi, zaczynały rozłazić się, brzęczeć i tłuc o szyby; gdakały kwoki; młodziutkie żółte kaczęta snuły się po zabłoconych czarnych dylach podłogi, łowiąc w lot muchy; osmolony zgrzybiały kot wylazł z zapiecka i wyginał grzbiet, oblizując się z wyrazem zdecydowanej na wszystko obojętności w zaropiałych oczach.

Pani Zofia śmiała się i z kota, i z kaczek, i z zaspanej Marynki. Twardy i wzmacniający sen zupełnie zmienił wczorajszą jej niecierpliwą trwogę na miłe i radosne uczucie zdziwienia.

Wczoraj jeszcze miała zamiar powiedzieć o wszystkiem mężowi, aby się uchronić od

możliwie niemiłych następstw fantazyi młodego chłopca; obecnie, gdy szła do obory i siedziała na jej progu, nie myślała o zwierzeniach i zdecydowała się pójść do lasu.

— Jak on będzie wyglądał dziś, co będzie mówił, czy jeszcze trwa w tem?...

Z ciekawości wynurzyły się zaraz myśli o tem, jak się ubrać. Sukień i stroików miała bardzo nie wiele i ten brak zrodził w tej chwili niechęć i żal do męża.

— Żyję, jak zakonnica, a ubieram się, jak kucharka,—myślała z goryczą.—Mam lat 24 i pogrzebana jestem w oborze i ogrodzie...

Nie uczyniłaby jeszcze nic dla zmienienia stanu rzeczy, nie brała nawet na seryo niechęci własnej do pana Wiktora; ale ta niechęć istniała w jej myślach i roiła się między szeregiem innych, luźnych, tyczących się to Wawelskiego i przygody wczorajszej, to śniadania, lub ilości dzisiejszego udoju.

Gdyby niespodziewanie straciła męża, czułaby się zapewne wielce nieszczęśliwą; ale gdy był obecny, zawsze jednaki, dosyć brutalny, wiele a głośno obiecujący bez zamiaru dotrzymania obietnic,—nudził ją i męczył. Nigdy go nie kochała bardzo, nawet w epoce narzeczeństwa,—to też teraz myślała o nim z niechęcią i niesmakiem. Przypominały się jej wy-

rażnic obrazy z niedawnej przeszłości: licytacye, najazdy komorników, defilady żydów, ta okropna, urągająca wszelkiemu opisowi nędza istnienia,—gdy pyszałkowatego panka licytują, lżą, wyrzucają z gniazda,—gdy ludzie, którzy dotychczas kłaniali się i milczeli, skaczą do oczu, mszczą się i krzywdzą. Wszystkie te historye odbiły się w jej duszy wiecznem, nie zmazanem znamieniem smutnej, uciskającej bojaźni. Pracowała ciągle w nadziei, że odwróci na przyszłość fatalne następstwa próżniactwa i nierządu, ale pracy tej nie lubiła, prawie tak silnie, jak lękała się trwonienia pieniędzy i zbytku. Wszystko na świecie, oprócz dziecka i panny Wandy, było dla niej martwe, złowrogie, bez wartości.

Obecnie pierwszy raz w życiu coś się w niej szamotało. Usiłowała opamiętać się, zmierzyć te nagłe odległości, które wytworzyły się w jej pojęciach i uczuciach, zwyczajną miarą codziennego rozsądku i, znajdowała co chwila, że się gmatwa i błąka w chaosie nie znanych pożądań. Chaos ten nie sprawiał jej przykrości,—owszem odurzał ją i weselił bezmyślnie, jak stare wino.

— O mało się nie zabił dla mnie, dla mnie... dla tej wyrobnicy, zapomnianej przez wszystkich...—myślała z upojeniem.

Obok niechęci do męża tuż stała wielka wdzięczność dla Wawelskiego, wdzięczność na nic nie baczna, prawie szalona...

Leniwo wlókł się jej czas, męczyły ją codzienne zatrudnienia. Około południa, gdy Świerkowski wstał, najadł się przy kawie i, nagadawszy do syta, wyszedł do miasta, ubrała się staranniej, niż zwykle, i ruszyła przez ogród do lasu. Gdy minęła furtkę, chwycił ją, ściskał i ssał wewnątrz strach.

Jakakolwiek przeszkoda byłaby ją zawróciła do domu, najcichszy okrzyk powstrzymał...

Ale pola i łąki milczały, las na zieloną równinę pastwiska rzucał cień szeroki—i ten jego cień a chłód prawie decydował o postanowieniu poruszającej się w spiekocie pani Zofii. Szła z wypiekami na policzkach, bacząc tylko na to, aby jej kto nie widział.

Wawelski siedział dnia tego w lesie od rana. Dostrzegł zbliżającą się i wyczekiwał naskraju lasu. Gdy tylko stanęła pośród drzew, już był przy niej i, nie mówiąc ani słowa, patrzał urzekającem spojrzeniem. Nim zdążyła wymówić słowo, objął ją i zaczął całować w usta, w oczy, w szyję...

— Co pan, co pan?...—mówiła cicho, drżąc z przerażenia.

Przyszła z zamiarem pomówienia z młodzieńcem, pokokietowania go nieco, — a tymczasem od razu ją zdruzgotano moralnie, wyjęto z niej wszelką siłę. Zamiast oporu, zbudziło się poczucie słodyczy pocałunków i prawdziwej gwałtowności uczucia. Bóg wie, kiedy obmierzły jej pieszczoty mężowskie, oznaczające zazwyczaj znaczną skalę jego podchmielenia się, wygasły pragnienia namiętne,—to też całusy Adama ogarnęły ją, jak płomień.

Daleko rozlegający się w lesie pisk kraski obudził w niej przytomność umysłu. Wyrwała się z objęć i rzuciła do ucieczki. Wawelski powstrzymywał ją przemocą.

— Kiedy się zobaczymy, kiedy? — nastawał głębokim basem.

— Nigdy...

— Przyjdę dziś wieczorem do furtki ogrodowej... Dobrze?

— Ach, dobrze, dobrze, tylko puścić...

— Na pewno?

— Wszystko mi jedno... na pewno...

Wyrwała ręce i poszła wprost przez łąki.

* * *

O godzinie dziewiątej wieczorem Wawelski uzbroił się w rewolwer oraz głębokie kalo-

sze i z przestrachem, łechcącym mu łydki, jak paroksyzm malaryi, poszedł na schadzkę. W lesie było tak ciemno, że co chwila tłukł się o pnie drzew lub wlatywał twarzą w gęstwinę kolących gałęzi. Mżył drobny deszcz, cichy deszczyk, podobny do rosy. W lesie nie czuć go było prawie, dopiero między zbożami dawał o sobie znać szelestem przedziwnym, dzwoniącym i niewymownie żałosnym. Po niwkach żyta rozlegała się nieustannie szeroka a głucha melodya uderzeń małych kropel o puste dudki zbożowe, przypominając dźwięk struny skrzypiec, kołyszącej się szybkim, ostatnim ruchem po odjęciu smyczka. Adaś przezornie wymijał prostą ścieżkę i szedł po miedzach. Kilkakroć zastępowały mu drogę kępy mietlicy, podobne w pomroce do tajemniczego lasu, — grzązł w sapach na skraju łąki i gniótł niemiłosiernie kartofle, owsy, żyto. Pot go oblewał, ogarniał przestrach atawistyczny tej siły, że go zawracał do domu,—to znowu mocowało się w nim z tchórzostwem jakby pożądanie niebezpieczeństwa. Zarysowały się wreszcie na ciemnem niebie olszyny. Adaś trafił omackiem na mostek i, dzwoniąc zębami, puścił się ku furtce po kępach trzęsawiska. Gdy się zbliżył do parkanu ogrodowego, wstąpiło weń zestrzelenie w jedno ognisko mocy nerwowej, podobne

do ślepej odwagi. Szedł oślizgłym brzegiem jakiegoś głębokiego rowu. Gałązki żywopłotu, niewidzialne w ciemności, drapały go po twarzy; trzaskały pod nogami suche patyki, sprawiając podczas usiłowań zachowania śmiertelnej ciszy wrażenie wystrzałów armatnich; oplątywały nogi jakieś żylaste badyle, mocne, jak postronki. Dowlókł się wreszcie do upragnionej furtki, oblany zimnym potem, oparł o słupek i czekał. Deszcz szemrał po liściach drzewek owocowych, w willi migotały światła, na szczycie starej topoli, stojącej w rogu ogrodu, trzepało się niespokojnie kilka twardych starych liści, wywołując złudzenie zbliżających się kroków. Wawelski wsłuchiwał się całem jestestwem. Zwodziło go co chwila bicie serca.

— Ktoś idzie...—szeptał, przytulając się do krzaków.—Nie... nikt nie idzie, nikt nie idzie...

Znowu ta cisza okrutna, natrętna, przeraźliwa!

Liczył do stu, do dwustu,—zdecydował się nawet na odwrót sromotny; gdy znienacka dobiegł do jego uszu szelest oryginalny, wyrywający się z pomiędzy innych. Wsłuchiwał się przez sekundę niewysłowienie przykrą, aż pojął.

— To szelest sukni damskiej... — wyszeptał, jak gdyby komuś na ucho.

Po chwili naprzeciwko furtki zamajaczył cień jakiejś głowy.

— Kto to? — zapytała śmiesznie drżącym głosem pani Zofia.

Wawelski poznał jej wylęknioną mowę i zaczął prosić szeptem, aby otworzyła.

Wkrótce był w ogrodzie. Szli oboje zacienioną uliczką, nasłuchując i wstrzymując oddechy, ku darniowej ławce pod jabłonką. Pani Zofia okrywała się chustką, narzuconą na głowę, i co parę kroków chwytała Wawelskiego za rękę, jakby szukała w nim obrony przed niebezpieczeństwem. Deszcz powoli ucichał, siejąc już tylko drobniutkim pyłem wodnym; z za kęp olszyny wynurzał się między chmury czerwony księżyc i rozpościerał nad łąkami rudą swoją zorzę. Gdy to spostrzegł Wawelski, ogarnęła go bezmyślna, iście bydlęca wściekłość na to światło, przeszkadzające mu jakby na przekór. Posadził panią Zofię na ławce i tulił do siebie.

— Chciałabym panu powiedzieć... ja tylko przyszłam panu powiedzieć... — majaczyła, odrywając jego palce od swych piersi; wypowiadała jednym tchem jakieś tyrady o niegodziwości, o obowiązkach matki, żony; usiłowała

wstać, gdy pieszczoty stawały się namacalnie jaskrawemi; ale nie była w stanie opierać się natarczywym naleganiom. Czas uciekał...

Księżyc wypłynął nad drzewa, oświetlił wązkie uliczki, mokre drzewa, trawy, ubielił rażącem światłem ścianę domu i dach śpiczastej wieżyczki...

Gdy Wawelski wymykał się z pomiędzy zarośli i lech fasoli, śmiech tryumfu i radości lał mu się z samej głębi serca. Poczucie zwycięstwa zwiększała aureola niebezpieczeństw pokonanych. Odpoczywał w lesie na wilgotnym mchu, patrząc z upojeniem, nie mieszczącem się w piersiach, na głębinę niebios, zasianą już gwiazdami, co zdawały się dotykać koron sosnowych. Szorstka i złowroga piękność lasu, głęboka, nieugięta ciemność miejsc osłonionych i nasyconych wilgocią, powiększona przez dopełniające biało-zielonkowate światło księżyca—rozmarzały go i pieściły. Teraz oto nietylko jest upojony szczęściem, ale, co stokroć ważniejsze, nie jest żydem: złożył dowody odwagi męskiej, rycerskiej śmiałości, na jaką nie ważyłby się pierwszy lepszy nawet z tych... sarmatów.

* *
*

Jeszcze za świetnych czasów wyprawiania rajskich wesel na walnych jarmarkach w Łę-

cznej, Skaryszewie i Jędrzejowie—Świerkowski przyuczył się do „facyendowania.“ „Mieniał się“ na konie, tarantasy, chomąta, baty, dubeltówki,—nawet na krawaty i czapki. Ruina majątkowa zmieniła i wywróciła do góry nogami wszystko w jego pojęciach, wyjąwszy żyłki do facyendowania. Co więcej, chętka handlarska urosła w nim stopniowo do potęgi motoru życiowego. Za gorzkich i bolesnych chwil osiadania na bruku, kiedy odwrócił się do niego plecami jednogatunkowy z nim świat braci szlachty, a otaczać go zaczął falą tratujący nogami, brutalny aż do wydzierania z rąk ostatniej kopiejki—świat nowy, a raczej nowe, pozbawione służalstwa, ukazujący oblicze, — Świerkowski myślał po nocach i zdecydował się sam wobec siebie, że, chcąc chleb jeść na świecie, trzeba pracować. Za resztki, ocalone z rozbicia, nabył kilka morgów gruntu i ruderę pod Trebizondowem; zbudował natychmiast śpiczastą basztę i głosił na wszystkie strony, że zaczyna pracować. Obiecywał sobie i całemu światu rezultaty nadzwyczajne,—w gruncie rzeczy jednak pracowała pani Zofia, a on rozmyślał nad nagłem i olśniewającem zrobieniem pieniędzy. Gdy stykać się zaczął z ludźmi nowego świata, obijały się o jego uszy dalekie, mętne, sparodyowane odgłosy mądrych

nawoływań: utrzymujcie w czystości i wykwintności wasze waterklozety, naprawiajcie dziury w mostach, handlujcie, handlujcie wszystkiem, co jest pod utwierdzeniem, albowiem naucza socyologia, że potrzebne są rodzajowi ludzkiemu grube pieniądze!

Świerkowski pojął, o co rzecz idzie, a nawet napełnił go duch obywatelski; pojął dlatego zwłaszcza, że nigdy nie mógł się dosyć nadziwić sprytowi żydowskiemu, i na wszelkie sposoby pracował wyobraźnią, aby ten spryt skutecznie naśladować. Piorunował na żydów jawnie, w duszy jednak uwielbiał ich i nie pojmował absolutnie stanu rzeczy pod nieobecność „tych parchów.“ Kilkakrotnie udało mu się zarobić pewne, dość zresztą skromne sumki przy licytacyach lasów. Stawał w charakterze licytanta i bróździł ciągłem podbijaniem ceny kupcom rzeczywistym, wskutek czego ci wciskali mu w łapę kilkanaście rubli i wydalali tym sposobem z koła. Te małe zarobki dodały mu otuchy, materyału do peror publicznych (chociaż o zarobkach licytacyjnych nie wszystkich znajomych zawiadamiał) — i ducha obywatelskiego. Całe dnie spędzał na obmyśleniu takiej facyendy, takiego interesu, jakiby mu naraz powrócił wszystkie rozkosze przeszłości, wszystkie cugi,

liberye, lokajów z podbijanemi oczami i portretową salę z podobiznami przodków, od ojca generała i t. d. począwszy, a kończąc na samym wojewodzie Goworku. Skoro dowiedział się z boku, że młody Wawelski ma znaczne kapitały, zaraz oświeciła mu umysł niby jasność niebieska. Mechesa przywabi, olśni szlachectwem i ożeni z panną Wandą, a później będzie od niego wyciągał pieniądze na kapitał zakładowy najrozmaitszych przedsiębiorstw.—Gdy to się nie udało, wykombinował jeszcze świetniejszy handel: obałamuci młodzieńca i sprzeda mu willę wraz z gruntem po 300 rubli za morgę. Tym sposobem osiągnie pewien kapitalik, spłaci długi, ciążące na folwarczku, i wytarguje na nowonabywcy całoroczne bezpłatne mieszkanie—wzamian za administrowanie gruntem i gospodarstwem przez zimę, wzamian za remont domu i budynków, z czego przecież także coś—he-he-he — kapnie. Kapitalik obróci na założenie w Trebizondowie sklepu „chrześcijańskiego;“ zaraz po założeniu zogranizuje bandę akcyonaryuszów z inteligencyi miejscowej i przefacyenduje jej sklep; na pewien czas przyjmie w nim obowiązki subickta, a niezależnie od tych zajęć będzie się starał o otrzymanie posady agenta od ubezpieczeń w towarzystwie *Jakor;* znowu nieszczęsnego Wawel-

skiego namówi do założenia domu komisowo-handlowego w mieście gubernialnem; będzie kupował i parcelował folwarki,—zbije niezmierny kapitał, aby wciąż później handlować folwarkami, wsiami, dobrami, kluczami...

Owe kolosalne operacye późniejsze Świerkowski widział, jak na dłoni; nie pojmował tylko tego, jakim sposobem namówić młodego kapitalistę do kupna willi, czem go podniecić i zahaczyć.

Swoją drogą już od pewnego czasu trąbił zgromadzającym się na dworcu optymatom, że młody prawnik nabywa jego willę. Wsadzał podczas wypowiadania tej wieści z wielką niedbałością ręce w kieszenie od rajtuzów i patrzał w przestwór w taki sposób, że najsceptyczniejsi z biesiadników myśleli: bierze, bestya, najmniej po 200 rubli za morgę, jeśli aż tak patrzy...

Z zamiaru sprzedawania willi zwierzył się przedewszystkiem żonie, licząc na jej pomoc w „kaptowaniu“ i faktycznie obarczając ją obowiązkiem przeprowadzenia handlu. Sam działał, zdaleka zachodząc: posyłał Wawelskiemu dzień w dzień konia wierzchowego, obwoził go bryczką po okolicy, załatwiał sprawunki mamy dobrodziejki, zapraszał obydwoje i podejmował z gościnnością staropolską, pro-

wadzał młodego człowieka po sapach, zmuszał do podziwiania lichych owsów i porażonych kartofli, dobrze mu znanych z wycieczek nocnych, do oglądania tych miejsc na skoszonej łące, gdzie jakoby, pod słowem honoru, zasiano lisi ogon, koniczyny i tymotejki.

Pani Zofia przejęła się również myślą sprzedania willi. Pomimo, że została uległą kochanką Wawelskiego, nie zaniedbywała jednak, odruchowo niejako, obowiązków dobrej, dbającej, zapobiegliwej żony. Projekt uśmiechał jej się przedewszystkiem z tego względu, że dawał możność jawnego widywania się z ukochanym,—a powtóre, że, jak się pocieszała, skuteczne załatwienie interesu złagodzi na pewno jej wyrzuty sumienia i wynagrodzi krzywdę moralną, wyrządzoną łatwowiernemu wąsalowi. Pod wpływem nauk Wawelskiego religijny odcień wyrzutów i skrupułów pani Zofii złagodzony został aż do zupełnej nieczułości przez kilka dobitnych zdań Holbacha i Chamforta; czasami jednak przenikało ją na wskróś poczucie hańby innej natury: fakt złamania prostego, nie pisanego słowa honoru, oszukanie ufności tego gaduły, z którym nagle, pomimo jej woli, samowiedzy i zamiaru, coś ją rozdzieliło i rozłączyło moralnie. Była to litość złodzieja, który czuje, że zabrał okradzio-

nemu jedyną i ostatnią jego własność i pociechę. Miała przytem w usposobieniu instynktowy wstręt do oszukaństwa i tym przymiotem górowała moralnie nad Świerkowskim, trzymała go w ryzie porządku; obecnie pojmowała to, że nie tylko oszukała jego wiarę w swoją uczciwość, ale sama, podczas gdy on jej ufał i wierzył, w każdej chwili krzywoprzysięgała ruchami, dwuznacznemi spojrzeniami i słowami.

Te niewidzialne moce, jakie opętały jej duszę i popychały do schadzek, kłamstw i pieszczot, czasami na mgnienie oka ją opuszczały. Wówczas kąsała jej serce ślepa, bezmyślna, podobna do obłędu zgryzota. Ale chwile tych niespodziewanych jasnowidzeń zdarzały się rzadko i nikły zaraz pod naciskiem rozkosznej tęsknoty ciała i nadmiaru wiecznie nowych wrażeń miłosnych. Kochała Wawelskiego, jak wierne zwierzę, ze ślepem i głuchem na wszystko uwielbieniem, nieprzerwaną tęsknotą, która nie opuszczała jej nawet wtedy, gdy on był obecny. Mocą tajemniczej zdolności zgadywała jego dążenia i przywary; usiłowała zaspokoić wszystkie porywy jego imaginacyi, rozumieć go i zawsze mu służyć. Dla Wawelskiego oszukiwanie szlachcica, zamydlanie mu oczu, wyprowadzanie w pole — stanowiło naj-

większy przysmak miłości, rozkosz szczytną, subtelną i doskonałą. Wiele godzin strawił na to, aby w pani Zofii wyrobić zamiłowanie i rozkosz w zdradzaniu; twierdził, że to będzie prawdziwym dowodem jej miłości; rozdmuchiwał w jej duszy nienawiść, uczył dwulicowości i fałszu. Zgadzała się na wszystko i starała wypełniać rozkazy, jak mogła, najdokładniej.

Podczas jednej z wizyt popołudniowych Wawelskiego pan Wiktor postanowił osobiście wykonać zamach stanu. Wszyscy troje znajdowali się na werendzie. Szlachcic chodził od końca jej do końca z rękami w tył założonemi i już to poświstywał jakąś melodyjkę pod wąsem, już narzekał na czasy, stagnacyę, upadek cen ziemi i tym podobne nieprzyjemności. Pani Wiktorowa wsunęła się w kąt werendy, oparła głowę o poplątane łodygi dzikiego wina, i gdy Świerkowski zwracał się w swym spacerze ku niej, poważnie i z uwagą patrzała mu w oczy, — gdy się odwracał, wolno, nadzwyczaj wolno podnosiła powieki, aby z wyrazem niewysłowionej rozkoszy przyglądać się siedzącemu w pobliżu Adasiowi. Oczy jej miały wówczas kolor podobny do barwy mgły porannej, ocienionej nikłym błękitem wschodu; wejrzenie ich drażniło opuszczone

powieki kochanka, jak coś ciężkiego i słodkiego, a skoro tylko spoglądał na nią, to te zamglone, rozmarzone, zakochane oczy zasłaniały się długiemi rzęsami, jakby dla okrycia niewstydu i nagości ich wyrazu.

— Proszę pana—mówił, niby od niechcenia, Świerkowski, — co też pan zamierza ze sobą robić po skończeniu kursów? Adwokaturę traktować?...

— Tak... prawdopodobnie... — wycedził Adaś.

— Zawsześ będzie pan zaszczycał Trebizondów swemj letniemi odwiedzinami... co?... spodziewam się...

Pani Zofia spojrzała na młodego człowieka; usta jej zacisnęły się i pobladły.

— O, niewątpliwie! Przyjedziemy w roku przyszłym zaraz na początku maja.

— Phi, proszę pana, na początku maja... zapewne... Tylko że to mieszkania nie uporządkowane jeszcze, zabrudzone, nie opalone, wilgotne. Gdyby tak...

— Ha, cóż począć?

— Począćby można, i jak jeszcze... Mój Boże, kto jak kto, ale państwo moglibyście się urządzić w taki sposób, że po prostu...

Coś go jakby zadławiło; przybladł trochę, zakaszlał.

— Co po prostu?—zapytał ciekawie Wawelski.

— Po prostu kupić tutaj willę, i cała parada! Choćby ot moją willę kupić wraz z gruntem... Przy obecnej nizkiej cenie ziemi... to złote jabłko... po 300 rubli za morgę sprzedałbym—wyrecytował szlachcic od razu; potem odwrócił się nieznacznie, wyjrzał, przechyliwszy się przez balustradę, na ogród i szeptał cichutko do siebie niby dalszy ciąg tej operacyi:— Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami...

Adaś spojrzał ostro w stronę Świerkowskiego, ale zobaczył tylko jego szerokie plecy; spuścił tedy oczy, medytował przez chwilę, a potem badawczo, uważnie przyglądać się zaczął pani Świerkowskiej z takim wyrazem, jakiego ta nigdy jeszcze nie widziała w jego twarzy.

— Mąż pani chce mi sprzedać swe grunta po 300 rubli za morgę... to wypada po 9,000 rubli za włókę... Czy pani również... życzy sobie, abym tę willę nabył?—zapytał, patrząc jej wciąż prosto w oczy.

— Ja?... cóż ja? I owszem... Tylko mi się zdaje, że to za drogo; może pan nie może... — tłómaczyła się, błagając go oczami.

— Owszem... ja mogę, mogę, osobliwie, jeśli... państwo oboje tego sobie życzycie. Pan zapłaciłeś za ten grunt po 75 rubli? pra-

wda?—zwrócił się do Świerkowskiego wyniośle, tonem bogatego człowieka.

— Po 75 rubli? Ależ panie! — zaperzył się pan Wiktor,—a kultura, panie, kultura, do jakiej doprowadziłem; toć to inspektowa ziemia! a rowy, a irygacye łąk...

— Gdzież to są te irygacye? — przerwał mu Adaś.

— Zapytaj się Wicka Głaza, Antka Zycha, Piotra Gajkosia, jeśli mi pan na słowo nie wierzysz .. Śluzy mi, prawda, powódź zabrała...

— A, powódź zabrała śluzy...—mówił poważnie Wawelski.

— Zresztą ja pana, broń panie Boże, nie chcę namawiać. To jest świetny punkt dla człowieka, co chce zrobić majątek. Ja nie mogę robić wielkich nakładów, ale pan... Willę wybudować nową, park założyć, same warzywa, panie... Ja sam za małe pieniądze mógłbym panu tutaj cudne gniazdko urządzić.

— Nawet gniazdko? — zaśmiał się Adaś i z utajonym bólem spojrzał przelotnie na panią Zofię.

Ona czuła, że ją o coś złego posądza; w tonie i sposobie jego mowy było coś, co ją obrażało i gniewało. Nie mogąc w naiwności

swej zrozumieć, o co mu właściwie idzie, wtrącała ciągle swe uwagi nieśmiałe:

— Wiktorku, może za drogo... po 200 rubli... może pan Adam nie może.

— O, nie... czyż to drogo? — zaśmiał się jadowicie.— Pomyślę, proszę pani, pomyślę, czy to rzeczywiście będzie dobry interes...

Skierował rozmowę na inny przedmiot, posiedział jeszcze chwilkę i, pożegnawszy ozięble wzruszonych małżonków, wyszedł.

Zaraz za bramą zaśmiał się gorzko.

— Ładny anioł, ładne małżeństwo... A ja głupi, ja głupi!... Niewinne, cudownie zawstydzone oczy... Teraz rozumiem i zaprosiny, i zostawianie nas samych, i szybką zgodę na schadzki... Panie Świerkowski, chcesz być sprytniejszym nawet od żyda... za drogo jednak cenisz tę swoją... ziemię. Gniazdko mi uściele... cha-cha... Społeczeństwo facetek i facetów!...

* *
*

Szybko upłynęła pierwsza połowa września, minął ostatni dzień pobytu Wawelskiego na wsi i chwila wyjazdu nadeszła niepostrzeżenie. Dniało zaledwie, kiedy Adaś przyszedł pożegnać Świerkowskich. Wysłał służącą, aby

zawiadomiła panią Zofię, że przybył; powrócił na balkon i żegnał oczyma okolicę, wynurzającą się z mgły porannej. Liście pięknego klona, stojącego w pobliżu balkonu, pozsychały się już i pomarszczyły, przybierając kształt pięści, pozaciskanych kurczowo; dzikie wino obwisło brunatnymi strzępami; płonęły purpurą, jak ogniska, kępy sumaków i rabaty nasturcyi; na pola i na łąki padła barwa oddalająca, błękitnawo-szara. Wśród ról, świeżo popodkładanych, po których czołgały się od rannego zmierzchu brony i pługi, podobne z oddalenia wraz z ludźmi i końmi do dużych szarych pająków, błądzących bez celu, ciskała się w oczy wyłączna, zimna, czysto-zielona farba lasu.

W ciągu ostatnich tygodni Wawelski doświadczał przesytu uciech i pragnął już niejednokrotnie wyrwać się z zaczarowanego koła, pragnął tem goręcej, im natarczywszymi stawały się zabiegi Świerkowskiego w celu sprzedania willi. Teraz, w chwili wyjazdu, mdlił go ckliwy żal. Pola, ścieżki, drzewa ogrodu i ten stary dom przypominały mu się, jak znajome istoty, jakby wzgardzeni sprzymierzeńcy,—zdawały się mieć duszę i nązwę kobiety o smutnych błękitnych oczach. Niemiłe uczucie olśniewalo co chwila, jak błyskawica, jego

praktyczny samohołd, jego subtelne, cienkie, do rdzenia rzeczy docierające myśli,—ale też trwało tak właśnie długo, jak w cieniach nocy trwa światło błyskawicy.

We drzwiach, prowadzących na balkon, ukazała się pani Zofia. Była bledziutka, jak papier; miała głowę odchyloną w tył i uśmiech szyderczy na ustach.

— Czy nie może pan zostać jeszcze... dzień, pół dnia?... żadną miarą?...

— Żadną miarą. Sama pani wie...

— Tak, tak. Wierzy pan przynajmniej, że byłeś pierwszym i ostatnim?

— Czem?

— Alboż ja wiem?... Zmorą...

— Kochankiem!...

Nie miał nigdy zamiaru rozwiedzenia i poślubienia pani Zofii, a jednak do pasyi doprowadziła go rola tylko kochanka, chwilowego kochanka. Bezmyślny uśmiech, nie ustępujący z warg tej kobiety, dokuczał mu, jak wyrzut i skarga.

— Nie—myślał,—dosyć już tej zabawy w Syngaleza; wkrótce wyglądałbym w tych okolicach, jak kolega Daktylberg.

Właśnie w tej chwili, gdy tak myślał, pani Zofia spojrzała mu w oczy z bojaźliwą ciekawością. Niegdyś, za lat dziecińStwa, widział

takie wejrzenie, niewysłowienie ciekawe, gdy stróż domu jego rodziców topił w strudze sparszywiałe ze starości psisko podwórzowe, a on asystował przy tej operacyi. Widać patrzyła bystro, bo niespodziewanie odwróciła się i weszła do domu. Gdzieś, za trzeciemi drzwiami, słychać było bohaterskie chrząkanie i plucie na odległość czterech sążni pana Świerkowskiego. Wawelski poczuł, że znowu jest w chaosie przeciwieństw, wspomnień, pożądań i wstrętów,—w tej pustyni miłości nieprawej, gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie. W sieni zatrzeszczała podłoga i przecisnął się przez drzwi wielki szlachcic.

Podając mu rękę, Wawelski objął wzrokiem pogardy i wstrętu ten tęgi kadłub, składający się z trzech części, a raczej z trzech beczułek, osłoniętych trzema kawałami popielatego kortu.

— To musi być dopiero Syngalez — myślał,—i jak to w nim te beczułki spojone są mutrami *na fest!* Gdyby tak środkową naderżnąć kozikiem i pod nacięcie szaflik podstawić, tożby nakapało sadła!... Co za doskonały i piękny brzuch! Wyobrażam sobie, no! wyobrażam sobie...

Okrutna, ślepa i bezrozumna mściwość znowu, jak za pierwszych dni tego romansu, kąsać go zaczęła.

Była sekunda taka, że, popchnięty ciosami bólu, omal nie rzucił się do ogrodu, aby z oddalenia wrzasnąć na całe gardło: Uwiodłem ci żonę, idyoto! była moją kochanką! Tłucz łeb o ściany, szalej, rozpaczaj, nie zaznaj chwili spokoju i bądź przeklęty w tem nieszczęściu!

Ale pięście szlachcica, jego palce, podobne do trybów palczastego koła we młynie, działały na niego uspokajająco. Stał w eleganckiej pozię, zginając w rękach giętką laseczkę.

— Co za szkoda, że oto i pana nam zabraknie, — mówił tymczasem Świerkowski.— A żeby też tak jeszcze z jaki tydzień, co?... panie Adamie! Kopnęlibyśmy się konno, albo nie, to na upatrzonego zapolowali po kartoflach... Sama pora: zając teraz, mówię panu, jak byk...

— Nie mogę... Jadę dzisiaj, muszę nawet iść niezwłocznie; pociąg odejdzie.

— Nie odejdzie; pociąg nie zając... Kazałem konie zaprządz i odwiozę pana. Trafimy na sam czas. Teraz warto herbaty złopnąć na stojączkę i dopiero...

Ujął Adama pod rękę i wprowadził do stołowego pokoju, gdzie pani Zofia nalewała już herbatę.

Twarz miała jakby zmarzniętą, koloru ziemi, pokrytą ceglastemi plamami. Ręce jej się trzęsły, na zmarszczone czoło spadały włosy kosmykami, jakby je przed chwilą garścią targała.

Świerkowski pił herbatę, stojąc, i opowiadał historye; szukał po kieszeniach, w szufladach stołu i szafy kredensowej jakiegoś listu z zaproszeniem na polowanie, a nie znalazłszy go między serwetami, wyszedł na poszukiwanie do sąsiednego pokoju.

— Co ja teraz pocznę? Jak tu teraz być, jak żyć, jak tu żyć...—szeptała pani Zofia, jakby do siebie. Wyciągnęła rękę, ale nim dotknęła ręki kochanka, wszedł Świerkowski z listem. Rzucił przelotnie okiem na twarze obojga, i na jego szerokiem, spokojnem, tryskającem zadowoleniem obliczu odmalowało się raptownie tępe i śmieszne zdumienie, jakaś bezradna struchlałość i bojaźń.

— Jedziemy, panie Świerkowski?—zapytał Wawelski, spoglądając na zegarek, — czas już wielki.

— Możemy; ano... tak, czas już wielki...— powtarzał szlachcic, kręcąc w palcach ów list pochlebny.

Niepewnymi ruchami podszedł do pani Zofii, objął ją w pół i pocałował dwa razy mocno,

z mlaskaniem, co się zowie „z dubeltówki,“ i wnet odzyskał dobry humor i pewność siebie. Wawelski stał z boku i przypatrywał się tej scenie z pod oka. Te dwa pocałunki zabolały go, jak smaganie batem. Mówił w duchu do pani Zofii:

— Ja nie mam prawa przycisnąć cię do serca i oto w tej chwili muszę patrzeć, jak cię całuje ten cham. Dobrze mamy urządzony świat! Porządną jesteś kobietą...

Ona nie podniosła oczu, gdy podszedł i uścisnął jej rękę na pożegnanie. Wychodząc na ganek, Świerkowski oglądał się raz za razem na żonę i Wawelskiego, postępujących tuż za nim; rzucał z pod oka zabawnie podstępne wejrzenie i kombinował z malującem się na twarzy naprężeniem umysłu. Wawelski pierwszy wskoczył na bryczkę, a gdy na jej stopniu zaciężyła noga szlachcica, obejrzał się ukradkiem. Pani Zofia cofała się do drzwi; nie podniosła już spuszczonych powiek, gdy konie ruszyły i okrążały gazon, — potem usiadła na ławce i pochyliła głowę na piersi.

Bryczka wtoczyła się na gościniec i pomknęła po wybojach. Wawelski, wyczuwając badawczy i niespokojny wzrok wąsala, dawał niejaką satysfakcyę swemu cierpieniu, trzymając go zimnym spokojem i udanym uśmie-

chem zadowolenia w błędzie i niepewności do ostatka.

Na stacyi zastał już Wawelski matkę, przyczepił do niej szlachcica, a sam wmieszał się w tłum osób.

Ostry, nasycony sadzą dym, węgla drażnił go, dusił i roztkliwiał. Głos świstawek i dzwonków przeszywał go na wskróś, jakby był głosem istot nieznanych, wrogich a świadomych jego myśli aż do ostatka. Ściany budynków, wagony i gromadki obcych ludzi odpychały go z jakąś siłą sprężystą. Było mu źle i duszno. Tłum potrącał go, zabierał ze sobą, cofał i znowu ciągnął—zupełnie, jak pożądania, bezmyślne postanowienia i obawy, władające w owej chwili jego umysłem. Nareszcie Świerkowski wyprowadził pontyfikalnie panią Wawelską, usadowił w wygodnym przedziale, polecił opiece konduktorów i przechadzać się zaczął około drzwiczek wagonu z miną zarazem przebiegłego dyplomaty i wiernego kondotyera. Należało wsiąść do wagonu. W tej chwili Adam poczuł do Świerkowskiego pewien rodzaj sympatyi; miał chęć uścisnąć go i patrzył na niego życzliwie, jak na ostatnie przypomnienie, na ostatnią rzecz, bliską pani Zofii.

Na schyłku dnia błądził po ulicach Warszawy, szukając napróżno tego miejsca, „co jest na smutek łaskawe.“ Bez przerwy widział oczy pani Zofii, słyszał jej głos, dotykał rąk, całował usta i długie, miękkie, jedwabne, nieskończone pasma włosów. Gdy wymijali go młodzi ludzie, rozmawiający wesoło, szedł za nimi i nasłuchiwał, czy nie mówią o niej; zdawało mu się, że wszyscy nieznajomi przechodnie patrzą na niego z udanem współczuciem i szepcą jeden drugiemu do ucha coś złego o nim i o ukochanej nad życie. O zmroku zabrnął na plac teatralny i pospołu z tłumem wszedł do przedsionka teatralnego. Nie namyślając się i nie spojrzawszy nawet na afisz, kupił bilet do amfiteatru i znowu wyruszył na bezcelową włóczęgę po mieście. Przyszedł dopiero na trzeci akt opery. Śpiewano „Manon“ Meilhac'a i Gille'a. Gdy wszedł, właśnie kawaler de Grieux śpiewał: „Ach, opuść mię...“ Niezgłębione fale żałosnej pieśni porwały duszę Adama. Wszystko, co go dręczyło, wypowiadał, wyliczał, nazywał po imieniu ten śpiew, wzlatujący w nieskończoność, wyjawiał natarczywą chęć wyrwania ze siebie nie miłości, ale tego bólu, jaki ona sprawia; a gdy z wysokości zlatywał, jak ptak z przestrzelonemi piersiami, i ciskał się

nań i na ciche łkanie arfy huragan skrzypiec, zdawało się Adamowi, że słyszy płacz pani Zofii. Opłakuje óna dolę swą nędzną, opuszczenie i gorzkie przeczucie, że szczęście już nie wróci; nie skarży się, nie rozpacza, nie przeklina,—tylko płacze; nie złorzeczy sobie ani jemu i nie potępia tej miłości jednej, pierwszej i ostatniej,—tylko w męczarni kopie dla niej grób w sercu swojem; żali się płaczem cieniom lasu, kwiatom uwiędłym i zeschłym trawom, miejscom samotnym a pełnym żalu, kolebce jej miłości...

Dalszy wątek tej elegii przerwała Adamowi pewna uboczna okoliczność: z jednej z lóż pierwszego piętra ktoś obserwował go uparcie, nie odrywając od oczu lornetki.

Po chwili pilnego wpatrywania się w ową lożę młodzieniec nasz poznał w damie, przyglądającej się mu tak ciekawie, pannę Wandę.

— A ta skąd się tu wzięła? — pomyślał w pierwszej chwili z gniewem, w następnej z ciekawością. Doznał takiego wrażenia, jakiego doznaje człowiek, czasami jadający obiady, gdy po kilkodniowym poście przymusowym znajduje przypadkowo za podszewką własnej kamizelki skromnego rubelka. Między nim a tą piękną i śmiałą dziewczyną istniała jakby przepaść, jakaś ciemna i ohydna pró-

żnia; ale para tych oczu, para, do jakiej trudnoby było dobrać podobną na całej kuli ziemskiej, rzucała nad otchłanią złoty most. Czuł zresztą, że musi użyć jakiegoś środka, aby zobojętnieć na nieustanne niespokojne odruchy nieznanej władzy wewnętrznej, na ciągłe uświadamianie się, że pani Zofii już niema,—że niepodobna ulegać tak ciągle jakiejś niezależnej od niego sile,—że trzeba wyprostować się, otrzeźwić i uleczyć z tej gorączki.

Późno w nocy kończył długi i rzewny list do pani Świerkowskiej słowami Romea: „Moja miłość równie jest niezgłębioną, jak morze,—równie, jak ono, bez końca; im więcej ci jej daję, tem więcej czuję jej w sercu...“

Kończył się jeden z ostatnich dni listopada. W zaklęsłych podwórzach, wązkich ulicach i ciasnych ogrodach Warszawy stała już ciemność nocna, nie poprzedzona przez zmrok, zjawiająca się tak prawie szybko, jak w dolinach górskich o zachodzie słońca. Mżył śnieg z deszczem. Okna pokoju Wawelskiego wychodziły na ogród, otoczony wysokim murem. Obdarte z liści, stare i ponure w swej starości drzewa głucho jęczały,—tuż za oknem kołysały się szare kolczaste badyle i byliny wysmukłych kwiatów, z których zieleń uciekła aż wgłąb' korzeni, aby tam śnić nieskończenie

o słońcu, wiośnie, o świetlistych porankach i ciepłych wieczorach. Basen fontanny zasypano stosem sczerniałych liści,—resztę ich, rozrzuconą po zgniłej murawie, wdeptały w błoto buty stróża i nogi romansujących w tych okolicach wyżłów. Obok, na poręczach balkonu, opartych o dzbanuszkowate słupki, stały dwie drewniane wazy czarne i pełne w tej chwili brudnej, gnijącej wody; pozbawione krzewów, kwiatów, zapachów i barw, odrapane przez deszcz z farby, naśladującej kolor marmuru, sprawiały teraz w tym jakby pomyjami zalanym zakątku efekt cudaczny a smutny, niby mowa mistyczna, skierowana do bandy złodziejów.

Wawelski siedział przed wesołym ogniem, płonącym na kominku. W pokoju było już ciemno, tylko na suficie i jednej ze ścian drgały odblaski języków ognia, te ruchliwe kliniki, co zdają się wpadać w głęboki cień, przekłuwać go podstępnie i łamać się w mgnieniu oka, jak strzaskane szpady. Leniwe, zmysłowe marzenia oblegały umysł młodzieńca, roiły się w jego mózgu szybko, jak te biegające światełka. Myślał o pannie Wandzie i całym szeregu spotkań z nią i rozmów, o wszystkich jej kaprysach, sztukach i sposobach dziewiczych, za pomocą których po prostu podłechtywała jego pożądania.

Ileż to razy oczekiwał na nią w rozmaitych punktach miasta, a zawsze w tłumie osób: na ślizgawce, na wystawie sztuk pięknych, w ogrodzie botanicznym, w kościele... Jakież ona ma cudne nóżki, jak je umie pokazywać, odsłaniając aż do kolan podczas przypinania łyżew; jak bezczelnie opierała się o niego piersiami, gdy stali przed płótnem p. Żmurki, wyobrażającem nagą piękność (z ciałem, malowanem ślinami i mydełkiem glicerynowem, czy czemś w tym guście); jak umiejętnie całuje w usta i jak otwarcie odpowiada na dwuznaczniki i propozycye, ledwo, ledwo osłonięte dowcipem: po ślubie, chłopczyku, po ślubie... Dla niej wartoby kupić nawet willę Świerkowskiego. Ba! gdybyż to ją można kupić za pieniądze...

Dla zabicia czasu zaczął przeglądać listy pani Zofii. Otrzymał ich blizko już czterdzieści, pisanych niezgrabnym, pochyłym charakterem na dużych arkuszach szorstkiego papieru. Wypisywała w nich zwierzenia ze wszystkich zatrudnień gospodarskich i kłopotów domowych, z wyrzutów sumienia i zmysłowych pragnień, przerośniętych najczulszymi nerwami miłości. Po powrocie ze wsi Adam pisywał do niej niemal codziennie, obsypywał ją pochwałami i przysięgami, skarżył się na

brak jej uczuć i na swą tęsknotę, malował swą rozpacz i żal nieutulony. Listy te, początkowo szczere i naturalne, z czasem pełne tych samych pięknych wyrazów, choć z nich od dawna „woń miłości uleciała,“ widocznie odurzały panią Zofię i zniepprawiały ją do ostatka. Jakieś biedne refleksye, tułające się między wierszami pierwszych jej odpowiedzi, przerodziły się z biegiem czasu w pomysły nierozsądne i zamiary nieokreślone.

„Jak się Wiktor o wszystkiem dowie — pisała w jednym z ostatnich listów,—to zabiorę dziecko i choćby piechotą pójdę do pana, będę panu u nóg leżała, będę pańską sługą, pomywaczką, czem pan każe. Mnie męczy, dusi, zarzyna to ciągłe udawanie, a miłości dla pana nie mogę pozbyć się w żaden sposób; staram się takową przytłumić, chodzę do spowiedzi, pracuję po całych dniach, ale takowa toczy mi duszę, jak skir, wisi nade mną, chodzi za mną, jest wszędzie. Czekam co dzień na Judkę, który mi przynosi listy od pana, i gdy go zobaczę na drodze, zdążającego do naszego domu niby to po masło, niby to po mleko, za interesem do mnie, a właściwie z mojem najdroższem *poste restante*, wpadam w taką radość, tak płaczę, tak płaczę ze szczęścia...“

Wawelskiego znudziły już dosyć dawno rubaszne sentymenty, papier i ortografia tej

kobiety; odpisywał coraz rzadziej ostatnimi czasy, a nie zrywał korespondencyi zupełnie po prostu dlatego, że miał zamiar skorzystać z uczuć pani Zofii we właściwym, letnim sezonie. Przywykł zresztą budzić się rano na odgłos dzwonka i sapania listonosza, wręczającego mu wielką, kancelaryjną kopertę uwielbień.

Przejrzawszy sporą część paczki, przerwał czytanie i znowu pogrążył się w zadumę. Wtem mocno dźwięknął w przedpokoju dzwonek i po chwili wszedł ociekający wodą posłaniec z listem. Adam rozerwał kopertę i odczytał wezwanie panny Wandy, skreślone na kawałeczku papieru: „Proszę przyjść niezwłocznie na ulicę Browarną, N-r 50, do mieszkania panny Anieli Bezmiańskiej... Oczekuje pana— Wanda.“

Pobiegł bez namysłu. Rzadkie, kleiste błoto pryskało z pod jego kaloszy, gdy zlatywał po pochyłości ulicy Karolkowej i szukał po czeluściach Browarnej wskazanego numeru. Odpoczął dopiero przed drzwiami mieszkania panny Bezmiańskiej,—gdy już z za jakiegoś niewidzialnego pociemku przepierzenia słychać było śmiech panny Wandy. Uchylił pierwsze z brzegu drzwi i znalazł się w pokoiku idealnie małym, nie większym nad wnętrze porządnej

szafy kredensowej. Skromna lampa oświetlała to gniazdo, jak wielkie ognisko: było zupełnie widno, aż za widno... Tak, nie mylił go wzrok: na wąskiej wyplatanej kanapce siedziała pani Zofia, obok niej panna Wanda i jeszcze jakaś dama, a właściwie siedział niezmierny nos i przyczepione do niego niesymetrycznie płaskie i nikłe kształty damy.

Od chwili wkroczenia do pokoju Adam czuł na sobie zimny, surowy, ostry wzrok chudej istoty. Zdawało mu się, że te małe oczka spostrzegają nie tylko jego stosunek do pani Zofii i odgadują zamiary względem panny Wandy, ale że widzą nawet kolor jego szelek i proces trawienia pokarmów w jego żołądku. Zmieszał się bezprzykładnie. Jak człowiek pijany, kłaniał się, gdy go przedstawiano pannie Anieli Bezmiańskiej, tak nizko, że ta mogła po dwakroć oglądać guziki, przyszyte nad tylnemi kieszeniami jego tużurka. Zaledwie ochłonął z pierwszego wrażenia i otrząsnął się ze stanu starcia inteligencyi na proszek do zębów, — opanował go gniew.

— Po co tu przyszedłem? Czy warto było pędzić po błocie nic więcej tylko na ulicę Browarną po to, aby się przekonać, że przyroda, tworząc pannę Anielę Bezmiańską, wyekspensowała na budowę jej piersi, ramion, po-

liczków, brody i tym podobnych efektów jakieś dwa ruble, podczas kiedy budowa samego nosa stanowi wartość listu zastawnego? Po co przyjechała ta pani Zofia? Nikogo nie zaciekawiają jej pokłute, pomarszczone, grube ręce, jakby świeżo wydobyte z beczki kiszonej kapusty... Czego chce, co w tem jest? A ta zwodnica uśmiecha się i kontenta, jak goły w pokrzywach. Po co mię tu wzywałaś, czego chcesz ode mnie?—mówiły do panny Wandy jego złe w tej chwili oczy.

Pani Świerkowska patrzała na Adasia po swojemu, z pod rzęs, i co chwila płoniła się, jakby ją obnażoną prowadzono przez ulice Trebizondowa. Rozmowę zagaiła niezwłocznie panna Bezmiańska i mówiła już bez przerwy, aż do wygadania, jak to mówią, dziury w łonie słuchacza. Uświadomiła swego gościa od niechcenia, że jest kuzynką pana Świerkowskiego, że ojciec jej miał gdzieś jakieś Przebrzmiałowice, bynajmniej nie mniejsze od jakichkolwiek innych Przebrzmiałowic; oświadczyła, że kiedy dobra po śmierci rodzica... fiu!—ona, panna wysokiego rodu, została bez grosza, znalazła się w Warszawie i ocknęła pewnego pięknego poranku w takiej nędzy, jakiej nie życzy żadnemu swemu wrogowi, żadnemu z panów stworzenia. Robiła w przeróżnych ideach,

chwilowo postępowych: w katolicko-arystokratycznych trzewikach, w motylach i baletnicach na lampy, w gilzach, w nadrabianych pończochach, w kapsułkach na olej rycynowy; była w fabryce krawatów i ubierania lalek; a koniec końców jest kasyerką w sklepie spożywczym. Dużo czasu zajęła opowieść o wszystkich zajściach z pracodawcami, o kłótniach i wypędzeniach, powrotach i porzuceniach nastręczającego się fachu.

— Obrońcą moim—mówiła—był tęn oto nos. On ode mnie odstraszał kłamstwo i podłość mężczyzn; idę z nim przez życie, jak z pałaszem, pewna, że jeżeli kiedy umrę z głodu, to przynajmnicj nie zawinię wobec siebie i mojego rodzaju głupotą i ślamazarnością; dzięki jemu, widzę niektóre rzeczy jasno, cha, cha, cha... jak ja niektóre rzeczy jasno widzę!... Życie moje wypełniła po brzegi praca, taka nieraz, że krew z za paznogci tryskała; to też ja niektórych rzeczy nie cierpię, brzydzę się, pogardzam, pluję... pfu!...

— Histeryczka...—pomyślał Adam, patrząc na nabiegłe krwią oczka starej panny i na jej odęte wargi.

— Gdybym ja była prawodawcą, biłabym niektóre osoby batem, biłabym, biłabym! Karałabym niektóre występki według przepi-

sów prawa magdeburskiego; ja i prawa magdeburskiego po łebkach liznęłam — syknęła w kierunku Adama.—Tak! — wołała, bijąc z całej siły w stół chudym palcem, — niektóre występki powinny być strasznie karane; na przykład: niewierna żona powinna być „u pręgi bita,“ a gaszek — wybuchnęła—powinien być „mieczem karan.“

— Egzagierujesz...—wtrąciła słodko panna Wanda.—A miłość... cóżbyś robiła z miłością?

— Miłość...—skrzywiła się obrzydliwie stara walkirya.—I ja przecież jestem owocem miłości... miłości—powtórzyła z przyciskiem, stulając wargi i umyślnie szepleniąc.—Całe męczeństwo istnienia, ta głupia walka, borykanie się na śmierć i życie dla zdobycia suchych bułek i szklanki wstrętnej herbaty jest owocem miłości. Ja wiem, co mówię. Trzeba owoce nieprawej miłości, małe dziateczki, drobnostki, przeszkadzające gruchać przy księżycu, widzieć na wychowaniu u pewnych dam, aby zrozumieć, czem jest miłość i co z nią trzeba robić. Może pofatygujesz się, piękna Wandeczko, do mnie w niedzielę, przejdziemy się po niektórych podwórzach skromnych i nieco nieschludnych domków Warszawy, wówczas zobaczysz...

Zaczęła ruszać wargami, jakby miała zamiar ukąsić Wawelskiego. Ten czyhał już od dawna na taką szczęśliwą chwilę, kiedy można będzie wyrwać się z tego odmętu gadania starej pesymistki. Tymczasem na odgłos skwierczenia maszynki naftowej panna Aniela zaczęła nakrywać stolik czemś w rodzaju wyżółkłej pieluszki, ustawiać szklanki i talerz z bułkami. Kiedy krzątała się między stołem i łóżkiem, ukazała się dopiero cała jej chudość i brzydota. Robiła ona na Wawelskim wrażenie niedojedzonej potrawy, wrażenie czegoś zgryzionego i zmielonego w ostrych kłach życia; wyglądała, jak uosobienie grzechu świata przeciwko kobiecie.

Pani Zofia rozpytywała Adama o panią Wawelską, opowiadała o Trebizondowie i nieustannie, podczas wypowiadania zdań najbardziej banalnych, drgała nerwowo. Z warg panny Wandy nie ustępował zły i szyderczy uśmieszek.

Po wypiciu herbaty pani Zofia i jej siostra zabierać się zaczęły do wyjścia.

— Ale zanocujesz u mnie, droga Zosiu?— zapytała panna Bezmiańska.

— Tak, moja droga. I gdzież-indziej mogłabym nocować? U Wandy nie mogę, bo ona śpi w pokoju uczenic, a na hotel mię nie stać.

— O, hotele bardzo są w Warszawie drogie, ogromnie drogie... — mówiła, kiwając ku Wawelskiemu głową na znak pożegnania. — A wracaj-że niedługo, bo ja czekać nie mogę; zasypiam w mgnieniu oka, i choćbyś całą noc stukała, nie obudzę się. — Dotknęła policzka panny Wandy bokiem dolnej wargi, kiwnęła jeszcze kilka razy głową, zatrzasnęła za wychodzącymi drzwi i zostawiła ich w zupełnej ciemności. Adam sprowadzał damy z krętych schodów, podtrzymując je rękoma w taki sposób, jakby się specyalnie niepokoił o los ich turniur i spódnic.

Te forsowne rękoczyny odżywiły bynajmniej nieplatoniczne jego nadzieje, stłumione dopiero co przez sens kazania starej dziewicy. Gdy przechodzili około latarń ulicznych i twarz pani Świerkowskiej wynurzała się na chwilę z ciemności, przypominał mu się zbłąkany wśród liści promień księżyca i jego odbicie w zamglonych bielmem uniesienia oczach tulącej się do niego. Ocknął się w nim nałóg władania panią Zofią...

— Wanda pisała do mnie przed kilkoma dniami, że widuje pana często, nawet bardzo często, — rzekła z trudnością, po długiem milczeniu, piękna mężatka. — Słyszałam, że z pana

bałamut; chciałam zobaczyć, czy jej pan nie bałamuci, i przyjechałam...

Wawelski nie myślał w tej chwili o pannie Wandzie, to też odrzekł wymijająco:

— Ja jestem bałamutem? Któż to mię tak oczernił? Czyż jest, o Boże, człowiek stalszy nade mnie w uczuciach?

— A któż jest, o Boże, przedmiotem tych uczuć? — spytała panna Wanda...

— Ta, którą kocham nade wszystko, ta jedna i jedyna „do końca świata i po końcu świata...“

— Bagatela... A czy jest już przynajmniej pańską narzeczoną? Wolnoż wiedzieć?

— Nie można; zresztą ja sam nie wiem. Wszystko od niej zależy.

— Kocha pana ta despotka?

— Któż zbadał serce kobiety? Dość czyjejś ploteczki, aby zgasić jej uczucia i pogrążyć nas w rozpacz...

— Jaki z pana polityk, cha cha!... Powodzenia w tej miłości! powrotu spłoszonych uczuć kapryśnej istoty!

Postawiła kołnierz futrzanego kubraczka, i wysunąwszy się o dwa kroki naprzód, szła w milczeniu, prowadząc Adama i siostrę na ulicę Miodową. Mieszkała w domu rodziców dwu dziewczątek, z któremi w charakterze gu-

wernantki przyjechała ze wsi na początku września. Zatrzymawszy się przed bramą dużej kamienicy, zwróciła się szybko i rzekła:

— Do widzenia, Zosiu. Kiedyż znowu zawitasz do Warszawy? Mam nadzieję, że wkrótce, zwłaszcza teraz, gdy zachodzi potrzeba strzeżenia mnie...

Pani Świerkowska nie odpowiedziała nic; ujęła siostrę pod ramię i wprowadziła w bramę. Tam szeptała jej coś długo do ucha. W ukośnym promieniu latarni rysowała się przed oczyma Wawelskiego jej piękna, obciążona bujnymi włosami głowa i usta, zbliżone do samego ucha jej siostry,—te same cudne usta i te same włosy...

Nareszcie wyszła. Podał jej ramię i szeptał z czułością:

— Nareszcie jesteśmy sami, nareszcie, po tylu dniach i nocach.

— Ja mam do pana wielką prośbę... Niech się pan nie gniewa na mnie, że pytam wprost: czy ma pan zamiar ożenić się z Wandą?

— Co za przypuszczenie? Panna Wanda jest... bez kwestyi... Ja kochałem, kocham i kochać będę tylko ciebie, bezcenny skarbie!...

— A więc nie ma pan zamiaru... No tak, tak właśnie myślałam. Niech jej pan nie bałamuci, błagam pana na wszystko, co jest święt-

tego; to jest młoda dziewczyna, a pan... postępuje dosyć bezwzględnie. Przecież pan to rozumie!...

— Ależ dobrze! Nie dybię wcale na cnotę panny Wandy. Spotykałem się z nią, jak z dobrą znajomą, rozmawiałem nieraz wesoło, i na tem koniec. Że coś tam do pani popisała... nie moja wina...

— Tak, tak. Teraz pożegnam pana. Kuzynka moja jest bardzo złośliwą, choć najlepszą pod słońcem osobą; kto wie, czy jej nie strzeli do głowy pomysł śledzenia mnie, podpatrywania z jakiegoś ukrycia, czy wracam sama.

— Czyż doprawdy pani powróci tam natychmiast? Takaż to moja nagroda za tęsknotę?

— Ach, panie, panie!... Któż tak robi?

— Pobawiła się pani mną, a teraz, znudziwszy się, odrzucasz, jak niemodną rękawiczkę... Co ja teraz pocznę?

W tym okrzyku było tyle rozpaczy, że pani Zofia zachwiała się w swych postanowieniach. Znowu poczuła na swej duszy cienkie nici, jakiemi oplątał ją ten młodzieniec, nici mocne, jak kajdany, które chciała potargać w udręczeniu serca, spalonego żądzą i nieszczęściem. Znowu głowę jej owionął zapał, rozpędził myśli logiczne i zdławił wolę.

— Chcę tylko przekonać się, czy jestem jeszcze kochany; oto wszystko. Czyż w tem grzech być może?

— Dobranoc... Muszę iść; Aniela czeka...

— Zmiłuj się nade mną!

— Czego pan chce?

Adam wyjawił, czego chce. Pani Zofia pamiętała, że ma podarte i zabłocone trzewiki, połataną bieliznę. Te względy wpłynęły na jej opór. Zaczęła oddalać się szybko, schodząc na ulicę Oboźną.

Poszedł za nią i znowu nalegał.

— Niech pan przyjdzie jutro rano o ósmej do Anieli... Jutro rano, mój panie, jutro rano...

Przyśpieszyła kroku i znikła w ciemności na zakręcie ulicy. Adam pomedytował, przeszedł się tam i napowrót po ulicy i poszedł, jak niepyszny, do domu.

Nazajutrz wyszedł na miasto o godzinie siódmej, zamówił sobie numer w jednym z tańszych hoteli i punkt o ósmej stanął przed drzwiami mieszkania panny Bezmiańskiej. Zastukał z bijącem sercem. Po upływie pewnego czasu klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się uchyliły i wysunął się przez szparę palec, którym dnia poprzedniego stara panna biła tak zapalczywie po stole.

— Czy jest pani Świerkowska? — zapytał Adam, kłaniając się uprzejmie klamce i filunkom drzwi.

Palec skurczył się, zagiął na drugi, tworząc tak zwaną *figę*.

— Niestety, niema! — zaskrzeczała panna Aniela, — pojechała do domu, do Trebizondowa, do domowego ogniska, do stęsknionego małżonka i ukochanego dziecięcia... Och...

Figa cofnęła się i znowu zgrzytnął klucz w zamku. Adam nie uwierzył starej skorupie. Rozmyślając, jakim sposobem wywabić ukochaną, oparł się o poręcz schodów i czekał dosyć długo. Naraz drzwi się z trzaskiem otwarły i stanęła w nich panna Aniela, wyprostowana, jak żołnierz, prezentujący broń.

— Dżentlmen, podsłuchujący pode drzwiami i zaglądający przez dziurkę od klucza... paradne! Wyjechała, wyjechała, wyjechała! wraz ze swemi cudnemi oczyma i dziurawemi pończochami. Niema jej tutaj. Proszę wejść!

Zanim zdążył słowo wymówić, ujęła go pod ramię i wprowadziła do pokoju. Tam przesunęła z hałasem wszystkie stołki, szklanki i sprzęty, roztwarła drzwi do szafy i drzwiczki do pieca, pokazując mu na oko, że pokój jest pusty. Adama zdjęła jakaś dziwna

niespokojność. Kłaniając się od niechcenia chichoczącej pannie, wyszedł z jej mieszkania, zbiegł ze schodów i ruszył w kierunku mostu na Pragę. Jak na złość, nie spotkał nigdzie dorożki. W pobliżu mostu toczył się melancholijnie tramwaj. Adam wskoczył na jego platformę, ale zanim konduktor, wpatrujący się tęsknemi oczyma w szarą smugę Wisły, zwrócił na niego uwagę, — wybiegł i poskoczył cwałem na chodnik mostu, potrącając przechodniów. To jedno wiedział, że musi widzieć panią Świerkowską, musi ją mieć w ręku za jakąbądź cenę, choćby za cenę życia. Dokoła niego dudniło, wrzało i gotowało się jakieś szalone życie. Z przeraźliwym łoskotem wlokły się ogromne wozy frachtowe, ciągnione przez chude, robiące bokami, spienione konie; szli, wywijając batami, klnąc, wrzeszcząc wniebogłosy woźnice, zbryzgani błotem aż do kołnierzów podkasanych siermięg. Snuł się, biegł, pędził dokądś obdarty, skulony od zimna lud roboczy—z takim gwałtem, jakby podeszwy jego parzył ogień. Chlupały dokoła słupów mostu szare fale rzeki, kołysząc na swych grzbietach tafle kry zmiażdżonej. Wszystkie przedmioty i zjawiska, jak fantastyczne chimery, migały w oczach, huczały w uszach Adama i wydawały mu się dalszym ciągiem chichotu

panny Anieli. Minął wreszcie siwe od osędzielizny kraty mostu, rzucił się w boczną uliczkę i pocwałował, jak obłąkany. Z zeschniętym językiem, upadając na siłach, dowlókł się wreszcie do dworca. Sale były puste. Flegmatyczny portyer porzucił zamiar zamykania drzwi i z kwaśnym uśmiechem usunął się na bok, ujrzawszy nadzwyczajne ruchy Adama. Właśnie rozległ się drugi dzwonek.

Ze sprężystością wyćwiczonego gimnastyka wdzierał się zrozpaczony młodzieniec na schodki wagonów, roztwierał zatrzaśnięte drzwi i torował sobie drogę, przebiegając wagony. W jednym z przedziałów klasy trzeciej, w tłumie biedoty, oczekującej ze skupieniem ducha chwili, kiedy wreszcie *ruszy*, siedziała na brzeżku pani Zofia.

— Niech pani wysiądzie, zaraz, o, teraz... Niech pani wysiada!.. Błagam jednym tchem.

— Nie wysiądę za nic.

— Stanowczo?

— Tak, stanowczo.

— Dlaczego?

— Nie wysiądę.

— A jeżeli ja panią zmuszę?

Spojrzała pytająco i instynktownie chwyciła ręką za brzeg ławki.

— Jeżeli nie wysiądziesz, to ja cię nauczę, ja ci pokażę! Opowiem Wandzie wszystko, od początku do końca, pokażę jej twoje listy...

— Uprzedziłam w tem pana. Właśnie wczoraj opowiedziałam jej wszystko, od początku do końca. Wiem teraz, co pan za jeden... Ach, Boże!...

— Radzę pani wysiąść, nie doprowadzać mię do ostateczności! We mnie, jak w Hamlecie, jest coś niebezpiecznego...

— Już się panu nie uda zwieść mię drugi raz tymi niezrozumiałymi wyrazami. W panu jest rzeczywiście coś niebezpiecznego, ale prędzej coś z żyda, niż z jakiegoś tam Hamleta!...

Uderzył trzeci dzwonek. Serce Wawelskiego ścisnęło się najsroższym, jaki być może, bólem. Wyszedł z wagonu, nie oglądając się poza siebie, z obwisłemi bezwładnie rękami; minął dworzec i brnął po błocie. Na skręcie ulicy przystanął i przyglądał się pociągowi, mknącemu wśród mgły szarej.

— „Prędzej coś z żyda, niż z jakiegoś tam Hamleta“—mówił do siebie.—Przewidywałem, że tak będzie; tak być musiało, tak bywa zawsze, skoro ktoś perły świniom rzuca. Pojechała sobie teraz do męża... I niema na to rady!

Pobiegł środkiem jakiejś nieznanej mu ulicy obok parkanów i lichych domków przed-

mieścia, wymawiając dobitnie raz za razem hańbiący kobietę wyraz plugawy. Powtarzanie tego słowa sprawiało mu ulgę, było oparciem w rozpaczy i jakby środkiem ratunku. Wyszedł na brzeg łachy wiślanej i powlókł się po jej wybrzeżu. Widok wody, kry, fal przypomniał mu biedną, ostatnią nadzieję, z której promykiem w sercu tak jeszcze niedawno biegł przez most, i poczęła się w nim siepać bezradna męka, poczucie doznanej krzywdy. Usiadł na stosie cegły, przyprószonej śniegiem, objął rękami kolana i bezmyślnie wpatrywał się w wodę. Z miejsca, które zajmował, widać było koryto rzeki z szeroką jej zatoką. Odbite, wytrącone z szeregu, zdyszane fale biegły, chlaszcząc grzywami piany, aby ukłaść się na chwilę u brzegu, na łasze wylizanego gruboziarnistego piasku. Pośrodku tej ruchomej powierzchni znać było czarną smugę niezgłębionego nurtu. Ten nurt wciągał wzrok Wawelskiego z niesłychaną siłą. Nęciło go dziwne gadanie fal, jakieś urwane, żałosne półdźwięki, stłumiona wrzawa niepojętych głosów.

Dźwignął się ze swego siedzenia i zbliżył do brzegu. Stał tam czas pewien, mrugając powiekami, — potem zakręcił się na miejscu i poszedł szybko w kierunku mostu.

Niejasny i mglisty zamiar popełnienia samobójstwa, jak mocne wstrząśnienie, otrzeźwił go i stłumił miotającą się rozpacz. Teraz powstał w nim logicznie określony zamiar i w kierunku tego zamiaru wyładowywało się żrące uczucie. Trzeba przeciąć ten wrzód—myślał, przyśpieszając kroku,—inaczej zdechłbym!

Za mostem wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do domu. Znalazłszy się w swoim pokoju, obejrzał, nabił i oczyścił doskonały sześcio-strzałowy rewolwer dużego kalibru i umieścił go za dywanem u węzgłowia swego łóżka. Następnie ułożył według dat wszystkie listy pani Zofii, od pierwszego do ostatniego, związał je w paczkę, obmotał niebieską wstążeczką, zapakował starannie w piękne pudełko i zaszył w płótno. Na wierzchu tego pakunku wypisał kaligraficznie adres:

„Wielmożny Pan Wiktor Jaxa-Świerkowski, obywatel — w Trebizondowie." Posyłkę tę odniósł sam i oddał na pocztę. Załatwiwszy to wszystko, powrócił do domu i rzucił się na łóżko.

— Ach, jakże to długo trzeba czekać! Gdybyż to już dziś... Czas najstraszliwszy wróg... — mówił do siebie.

Umysł jego był w tej chwili niesłychanie wyostrzony; pamięć z oślepiającą wyrazistością

przedstawiała mu dom Świerkowskich, każdy sprzęt tego pokoju, gdzie przebywał z nimi najczęściej; podniecona wyobraźnia wystawiała cały obraz; był raczej tam, niż u siebie w Warszawie. Oto pan Jaxa-Świerkowski chodzi po pokoju, głęboko rozmyślając, kto i co mu może przysyłać, co oznacza otrzymana awizacya pocztowa, którą już poświadczył, podpisał i odesłał na pocztę. Naraz wchodzi żydziak, roznoszący listy; kłania się nizko wielmożnemu panu i ze śmiechem uprzejmym wręcza mały, skromnych rozmiarów, niewinny pakiecik. Świerkowski z namaszczeniem rozcina szwy, wydobywa pudełko i dziwi się, otwiera je i dziwi się, czyta list pierwszy i dziwi się... Cha, cha! Co za małpi wyraz twarzy, jak szeroko roztwarta gęba, jakie zgłupiałe oczy, co za mina!

A potem... co to, co to? Wlecze kogoś za włosy, kopie obcasami, pluje w czyjeś przecudne oczy, bije zwiniętym kułakiem w twarz, w zęby, — wpada w okrutną zapamiętałość, trzęsie w rękach tę ładną kobietkę, drze na niej suknie, i za każdem uderzeniem, za każdym policzkiem, za każdem charknięciem w twarz nazywa tem samem imieniem, tą samą nazwą... Cha, cha! Należy jej się! Bij ją, jeszcze bij, wysilaj całą twoją chamską, bydlęcą brutal-

ność! bij z całej mocy! Niech nie waży się nikogo znieważać, niech nie zdradza! bij tę kochankę żyda! „Więcej żyda, niż jakiegoś tam Hamleta...“ A dalej, co dalej?... Wyrzuca ją za drzwi, tratuje leżącą nogami, odciąga ją precz od swego domu na środek podwórza i zamyka drzwi z trzaskiem.

Ona dźwiga się z ziemi, obciera rękawami krew, ciekącą z nosa, i wlecze się do drzwi. Stuka w nie i mówi cicho, gardłowym głosem, jaki sama zaledwie słyszy:—Oddaj mi dziecko; pójdę sobie... Oddaj, oddaj...

Ale te drzwi na zawsze zamknięte. Zimno jej. Cudne ciało widać przez dziury podartych sukień... Zimno jej strasznie. Idzie po oślizgłej grudzie precz z tego domu, zhańbionego przez nią; mija podwórze i wydostaje się na bagnistą drogę.

Suche konary topól tak głucho jęczą, snują się płateczki śniegu, zapada zmierzch fioletowy.

— Dokądże idziesz, piękna istoto? jaki cel widzą w przestrzeni twe oczy, podbite nieco, ale wiecznie piękne, podobne z barwy do sopli lodu? Do kogo idziesz? Azali do żydziaka, aby mu u nóg leżeć, być jego sługą, pomywaczką, czem każe?... Tą pustą drogą wlecze się jakiś człowiek, nieznany Adasiowi

z nazwiska,—pewno mieszczanin, witający zawsze panią Świerkowską uchyleniem czapki; spotyka ją, widzi i nie wierzy oczom,—uśmiecha się i żegna pokryjomu krzyżem świętym. Ona, spostrzegłszy go, pali się wstydem, straszliwym wstydem; ucieka od niego, dobiega do pnia i chowa się tam, jak waryatka,—przytula się do obmarzłej kory, lgnie do niej ustami. Drży, boi się, dygoce, słysząc chlapanie błota pod stopami przekupnia... Prosi się duszy swojej, aby z niej wyszła, — jak mówią poeci. Cha, cha!

* *
*

W ciągu siedmiu miesięcy Wawelski oczekiwał na pana Wiktora, sądząc, że ten zażąda od niego satysfakcyi honorowej. Miał zawsze przy sobie rewolwer, aby odeprzeć brutalny, jak przypuszczał, napad szlachcica. Ta wieczna myśl o czemś wiszącem nad nim zatruwała mu każdą chwilę życia. Odgłos dzwonka, szybkie kroki na schodach, przyciszona rozmowa w przedpokoju, każdy szelest podejrzany— przejmowały go dreszczem, szczególnie później, po upływie kilku miesięcy, kiedy cała ta przygoda miłosna usunęła się w jego pamięci na plan daleki. Nadeszły ostateczne egzamina,

porzucenie ławy uniwersyteckiej; otwarło się szerokie, czynne życie. Pani Wawelska szeptała już niejednokrotnie do ucha jedynakowi o urodzie, a właściwie o posagu pewnej dziewicy ze sfery burżuazyjnej, i ziarna tej propagandy nie padały na opokę; sam Adaś doszedł już do pewnika filozoficznego, że „życie nie jest romansem“ i że należy się na gwałt żenić bogato.—A tymczasem widmo tłustego szlachcica nie opuszczało go, mąciło każdą jego myśl wesołą, paraliżowało każdy zamiar i pomysł. Postanowił tedy raz to skończyć, odnaleźć Świerkowskiego w jego własnem gnieździe, nasunąć mu się na oczy.—Na początku lipca wyjechał z matką na letnie mieszkanie. Gdy pociąg wtaczał się powoli na zwrotnice trebizondowskie, młodzieńcowi było trochę, szczerze mówiąc, niedobrze. Wyćwiczył się wprawdzie przez ten czas w sztuce robienia rapirem,—ale jakież to cięcie odbić zdoła zamach ramienia Świerkowskiego?

Kolos ten pewno zupełnie nie umie bić się na pałasze, ale może przez zemstę płatnąć w ciemię... i idź potem do Pana Boga na skargę.

Pani Wawelska, wysiadłszy z wagonu, udała się wprost do Odrobinki, a Adam został na dworcu i jedwabnymi kroczkami wszedł do sali.

Ten sam kelner z tym samym głupkowatym uśmiechem obsługiwał kilku trebizondowiaków, ciągnących z godnością i powagą skromne piwko „słomkowe.“ Był tu geometra, pan profesor, chorowity doktor i kilku innych. Wszyscy poznali zeszłorocznego towarzysza i rzucili się ku niemu z wielką serdecznością. Należało stuknąć się z nimi szklaneczką porteru. Nim wypito pierwsze szklanki, Adam cisnął między tych jegomościów pytanie, podobne dla niego do wybuchowego ładunku, który za chwilę wyrwie go w powietrze:

— A cóż to ja nie dostrzegam między szanownymi panami obywatela dobrodzieja, kochanego pana Wiktora?

Wszyscy zaczęli kiwać głowami z politowaniem.

— Nic pan nie wiesz? Tak-że pan gadaj! — zawołał geometra.—Ani dymu, ani popiołu ze Świerkowskiego. Dzierżawę trzyma o dziewiętnaście mil stąd. Pięćset mórg! po dwa ruble z morgi... Taki frant z tego chłopa! Grunt swój rozkolonizował „gulonom“ jakoś w lutym, czy w marcu, spłacił pilniejsze długi, i mając w kieszeni około ośmiuset rubli, puszcza się panu na dzierżawę. Mówię do niego: Wiesz pan co? źle pan, zdaje mi się, robisz; folwark podły, wiem przecież doskonale,

byłem tam nie wiem ile razy: wielki, w piachach, budynków żadnych, jednego kołka w płocie; na polach psi rumianek stokrotne daje plony... Jakże pan sobie dasz radę?—Wiesz pan co?—on powiada—i tak i tak mię dyabli wezmą... Tego Trebizondowa mam już po dziury w nosie... Chciałem—powiada—jednego żydziaka naciągnąć, interes był kapitalny na oko; tymczasem ten właśnie żydziak tak mię ubrał, że teraz już... aus! Co dzierżawa, to dzierżawa. Może da Pan Bóg, że się wyrobię.—Mówię do niego:—Wiesz pan co? szczęść Boże, ale...

— I wyjechał? — spytał Adam z jakiemś nerwowem zachłyśnięciem.

— Ba, jeszcze w marcu.

— Z żoną?

— A ma się rozumieć. Cóżby on bez niej znaczył na świecie? Ta kobieta za dziesięciu parobków mu obstoi.

— Coś tam między niemi było — wtrącił d-r Daktylberg z zadowoleniem, że może nareszcie przyjść do słowa,—coś nawet *de grubis*. Miała wyjeżdżać do matki, chorowała...

— Żadnej matki nie ma! co doktor pleciesz! do siostry, — przerwano mu.

— No, to do siostry! Dopiero erudycya! Służąca Świerkowskich paplała po mieście najdziwniejsze historye...

— Kłamstwo! — huknął geometra.—Nic nie było, żadnych historyi; przecież wiem doskonale... Poszło z pewnością o to, że Świerkowski pił tej zimy nad wszelką miarę; na stacyi kieliszka wódki nie można było dostać; dzień w dzień go stąd do domu saniami odwożono.

— Zadziwiająca rzecz! — uśmiechnął się Wawelski.—Ale koniec końców zgoda nastąpiła?

— A naturalnie. Ta kobieta go od pijaństwa powstrzymała; zapracowuje się na niego; żyły, panie dziejski, da ze siebie dla niego wypruć... Przecież wiem doskonale...

NIEDZIELA.

Pan Władysław (po prostu—pan Władysław, nie mogę bowiem w danej chwili wymyślić interesującego nazwiska), jakkolwiek sumiennie i w dostatecznej mierze „przysiedział już był fałdów nad nauką społeczną,“ to przecież zaczepianiu szwaczek oddawał się z gorliwością bynajmniej nie słabszą od tej, jaka cechowała epokę jego życia, poprzedzającą przysiadanie fałdów. W chwilach wolnych od nawału myśli tytanicznych szkicował nawet w pamięci figlarne dziełko p. t. „Praktyczne wskazówki dla zaczepiających,“ gdzie miało się zawrzeć wiele zarówno bystrych spostrzeżeń z zakresu psychologii szwaczek, jak również dowodów ciętości dyalektycznej autora. Specyalną predylekcyę swą do pracownic igły pan Władysław motywował rozmaicie: już to osobistą nadwrażliwością na wdzięki bie-

dnych dziewcząt, więdnące w zapomnieniu,—już pragnieniem przyjścia z pomocą materyalną tej kategoryi istot ludzkich, skazanej nieodwołalnie na szukanie tego rodzaju zarobków postronnych,—już wreszcie, wcale nawet umiejętnie, atawizmem... Właśnie kilka dni temu spotkał na rogu Podwala faceteczkę... palce oblizywać... Miała naturalnie oczy jak „dwa eziora,“—nosek nie tyle grecki, ile niezrównany w leciuchnem zaróżowieniu od mrozu,—usteczka, jak dwie stulone torebki dzikiej róży, no... i t. d. „Przystawił się“ pan Władysław z mistrzostwem przystawiania się, autorowi podręcznika właściwem, i odprowadził pannę Maryę, zręcznie wybadawszy, że jest panną Maryą, do wysokiej i wązkiej kamieniczki na Starem Mieście. Od bramy zawrócono jeszcze dla flirtowania (Boże drogi! jak ten flirt nizko już upadł!...) i naznaczono sobie spotkanie na niedzielę w mieszkaniu właścicielki oczu „jak dwa jeziora.“

W niedzielę po południu, wszedłszy o naznaczonej godzinie w bramę chudej kamienicy, usiłował pan Władysław odnaleźć mieszkanie stróża, któryby mu gniazdko upragnionej wskazał. Jakaś monstrualnie tłusta i niebywale zła pani, do mieszkania której zaszedł, powiedziała mu opryskliwie, że stróż mieszka

na drugiem piętrze. — Dziwne...—myślał pan Władysław, szukając w ciemnej sieni schodów na drugie piętro. Brnął po ślizkiem, nigdy nie wymiatanem błocie, zawrócił kilka razy na prawo i na lewo w ciemnym lochu, aż jakąś karykaturę schodów odnalazł. Zdawało mu się, że wdrapuje się po szczeblach na szczyt jakiegoś komina; krztusił go kwaśny zaduch, wilgotne zimno wsiąkało aż w głąb' kości. Z za drzwi, niewidzialnych w mroku, dochodziły uszu odgłosy stłumionych rozmów. Natrafił wreszcie omackiem na klamkę, odepchnął drzwi i wszedł do jamy, rozświecanej przez szybkę umieszczoną pod sufitem.

— Czy stróż tutaj mieszka? — zapytał zwracając się w kierunku piecyka żelaznego.

— Ha?—mruknął z kąta głos jakiś.

Rozejrzawszy się baczniej w półmroku, dostrzegł pan Władysław w kącie izby werko, ułożone ze starych pak, na którem w stosie łachmanów leżał człowiek, pobobny do kościotrupa. Człowieczyna ten dźwignął się i ukazał w roztrącającym mrok promieniu, padającym z okienka, łysą czaszkę, zżółkłą jak stara kość, poprzerzynaną zmarszczkami i oblepioną w tylnej części kilkoma kosmykami włosów. Przez chwilkę patrzał na przybysza oczami, ukrytemi w głębi dołów, i wyszeptał świszczącym głosem:

— Cóż ta?

— Wy stróż jesteście?

— Ja; abo cóż?

Pan Władysław czuł przez chwilę, że nie powinien pytać się w tem miejscu o to, czego dowiedzieć się pragnął; ale zapytał:

— Gdzie tutaj mieszka panna Marya Fizykówna, Marya Fizyk?

— Jaka znowu?

— Panna Marya Fizyk... szwaczka.

— Może to, tatuś, Marya szwaczką? — zawołał z za drzwi śpiewny głosik dziecięcy.

— Właśnie...

— Przeprowadź-że ta, Kostka, pana, pokaż, — wykrztusił chory i osunął się bezwładnie na swe posłanie.

Mała istotka przesunęła się obok pana Władysława i pobiegła przodem, przeskakując po cztery schody na raz. Wyprowadziła go na dno pewnego rodzaju studni, dno, zarzucone najwstrętniejszemi śmieciami, i wskazawszy mu ciemny korytarz, rzekła, wytrzeszczając swe przenikliwe oczy:

— O, tu drzwi będą do pralni; tam mieszka Marya, za pralnią.—Maleńkie nogi dziewczynki tonęły w butach ojcowskich; podarta i stwardniała od brudu „barchanka“ sięgała ledwie do nagich i czerwonych jej kolan. Pan

Władysław zaczął szukać z pośpiechem portmonetki, i wsunąwszy dziecku w piąstkę kilka groszy, ruszył naprzód. Obejrzawszy się z głębi sieni, dostrzegł maleńką, stojącą jeszcze na tem samem miejscu i oglądającą z niewymownym zachwytem pieniądz ofiarowany.

Uchylił pierwsze spotkane drzwi i znalazł się w obszernej izbie, zastawionej baliami i zawalonej stosami mokrej bielizny. Panował tam mdły zaduch mydlin i pary. Znowu z rumieńcem na licach zapytał o pannę Maryę. Podżyła jejmość, siedząca obok szerokiego komina, z nogami, założonemi na wystygłą blachę, wskazała mu pogardliwym ruchem głowy drzwi w głębi. Wyminąwszy tę damę z ukłonem wyrafinowanie subtelnym i przeklinając w duszy całą tę wyprawę, zastukał pan Władysław do drzwi wskazanych. Otwarły się natychmiast, i panna Marya powitała gościa czarującym uśmiechem. Zgrabnym ruchem zrzucił z ramion futro i podał upragniónej rękę do uścisku, wymownie świadczącego o jego prawdziwej nadwrażliwości na wdzięki. Zajęty był tak dalece osobą panny Maryi, że nie dostrzegł dwu panienek, które powstały ze swych miejsc pod oknem. Co za przykra niespodzianka! Skłonił się jednak uprzejmie nieznajomym, zajął miejsce na jedynem w tej

stancyjce krzesełku i, zużytkowując swój niezwykły dar konwersacyjny, obserwował z pod oka. Panna Marya nie była wcale tak piękną, jak mu się to przy pierwszem poznaniu wydawało: chuda była, wyniszczona pracą, z pochylonemi ramionami. Twarz jej, pomalowana lichem bielidłem, sprawiała wrażenie niesmaczne. Towarzyszki wyglądały jeszcze mizerniej. Były to młode dziewczęta, zbyt wcześnie rozbite przez jakąś bezlitośną siłę. Że siła ta nie była rozpustą, poznał po nędzy pokoju, gdzie mieszkały, po połatanych kołdrach ich posłań, po braku poduszek, po sposobie zresztą zachowania się tych dziewic. Wszystkie trzy były zmieszane i onieśmielone; oczy ich miały wyraz niemiły, a zagadkowy: stała w nich jakaś wspólna wszystkim trzem, natrętna i przykra podejrzliwość, zmieniająca się co chwila w coś, jak ekstaza, czy wściekłość.

— Panie tu mieszkają we trzy? — zapytał pan Władysław z aksamitną złością.

— Tak, — odpowiedziała panna Marya, gryząc wargi.—Są to moje koleżanki i przyjaciółki; pracujemy w jednym magazynie bielizny.

— Ach, jak to musi być przyjemnie... Trzy rusałki...

— Nie zawsze — rzekła siedząca pod oknem panna Kazia.—Rusałki pewno zawsze jadają obiad; nie dziwota, że im przyjemnie...

— Jakto... obiad?

— Uważa pan—tłómaczyła panna Marya, — my dostajemy od *starej* tak: ja osiem rubli, a Kazia i Helka po pięć i obiad w dnie *robotnie*. Za stancyę płacimy cztery ruble, więc te czternaście rubli, co pozostają, nie mogą nam wystarczyć: w niedzielę ogryzamy na obiad paznogcie...

— Jeżeli nie uda się *naciągnąć* jakiegoś łatwowiernego kawalera, aby przyszedł do nas i kupił serdelków...—rzekła Kazia, z jadowitym uśmiechem wpatrując się w pannę Maryę.

Ta ostatnia przyglądała się mówiącej z wyrazem niewymownego smutku, potem podeszła do niej i pogładziła jej krótko ostrzyżoną czuprynę.

Kiedy zwróciła się następnie do pana Władysława, w oczach jej świeciły dwie łzy trwożliwe.

— Widzi pan—mówiła, — doktor kazał jej, a i Helce jadać codzień mięso, pić tran...

— To też pani znalazła bardzo dowcipny sposób nabywania dla panny Kazi mięsa i tranu,—rzekł, powstając pan Władysław.

— Łatwy, niełatwy... Ale jeśli się pan gniewa na nas, to trudno.

— Nie gniewam się wcale; owszem, może panie pozwolą mi odejść na chwilkę... zaraz powrócę.

— Ale po cóż? Hela może, proszę pana...

— A więc dobrze — mówił pan Władysław, wręczając pannie Maryi ostatniego rubelka;—może wystarczy i na butelkę tranu dla panny Kazimiery...

Wkrótce potem pan Władysław wniósł toast piwem za zdrowie koleżanek. Dobre i ciepłe uczucie ogarnęło mu duszę na widok apetytu dziewic, z jakim połknęły przyniesione bułki i serdelki. Po uczcie wyszedł niezwłocznie. Gdy przechodził przez ciemne i wązkie sienie kamienicy, miał w sercu smutek głęboki. Gdy wyciągał ręce, szukając drogi, dotykał ślizkich ścian, po których strugami sączyła się wieczna wilgoć, i zdawało mu się, że dotyka łez ubóstwa, co tu żyło i żyje, męczy się, pasuje z głodem i zimnem. Łzy te wsączają się w jego serce, kąsają je, jak płyn zatruty... Zatrzymał się na chwilę i słuchał, jak dusza jego składa samej sobie jakąś przysięgę...

Z DZIENNIKA.

Pod pierzyną.

Imieniny pani Heleny... Jedziemy! Serce uderzać przestaje ze szczęścia: zobaczę ją, napatrzę się bogactwa jasno-rudych włosów, ust z lekko pochyloną dolną wargą, oczu tajemniczych, bez blasku, milczących, zamglonych, blado-niebieskich, oczu istot przeżytych, z wystygłemi sercami, jak mawiać zwykli utalentowani a tendencyjni beletryści, a oczu, według mnie, istot wyższego gatunku, mówiących to tylko, co mówić można, co mówić każe konwenans.

Zresztą... co mnie obchodzą beletryści?... Myślę o tej chwili, gdy zwróci zwolna w moją stronę prześliczną głowę i spojrzy śmiało a zimno. Tęsknię za tobą, spojrzenie bogini!... Tak, nie jest to feblik; to głębia, — to, że się tak wysłowię, ocean.

Znam dobrze historyę pani Heleny; wiem, że przed mężem jej, nie mniej szanownym jak dystyngowanym panem Leonem, był ktoś, kto uczył ją muzyki i śpiewu, oraz wyśpiewał jej więcej, niż powinien był wyśpiewać; wiem, że następnie rok cały przepędziła w Palermo; wiem i coś jeszcze więcej,—i dlatego właśnie, otwarcie mówiąc, to w niej przedewszystkiem uwielbiam, czem gardzę... Wyzyskać sytuacyę — jest to filozofia jedyna, jaką rządzimy się zawsze; „n'est ce pas?“

Zaprzężono Bohuna i Figlarkę do ogromnego wasąga; główny furman Ludwik (ów sławny na cały nasz powiat Ludwik, z przysłowiem „tego“ i głową w kształcie wazy) w garść plunął, lejce ujął i jest „fertyk“ pod gankiem.

Fraki, krawaty rautowe, brody „wymierzwinione,“ na lewej stronie każdego czoła po loczku — dżentlmeni; mało powiedzieć: dżentlmeni, — kwiaty!

Wsuwamy się w futra, wskakujemy, jedziemy. Jest nas czterech tylko, lecz śmiało orzec mogę, że w wasągu naszym jedzie inteligencya, jedzie dowcip, jedzie szyk i, że tak powiem, filozofia naszego powiatu.

Mróz jest duży. W zimnem powietrzu lecą drobniutkie pyłki śniegu, mieszają się

z iskrami mrozu, jakie zdziera z lodówki wiatr straszliwy, dmący nieznośnie, monotonnie, z cichem, ledwo dosłyszalnem, namiętnem drżeniem, co usypia i przeraża. Na nieobjętych okiem obszarach mkną po wierzchu skorupy śnieżnej niby dymy białe, leniwe, przejrzyste, sypkie, jak piasek, — mkną aż do umęczenia wzroku i przepadają w dali, roztapiając się w ogromie niebieskim.

Drogi po odwilży oślizgły, jak szklanki. Konie idą pod lada górkę—według orzeczenia Ludwika—„pyskami się podpierający;“ z góry zjeżdżają na tylnych nogach, przedniemi, niby w menuecie, drepcąc. Łamią się pod ocelami kopyt lody w kałużach, koła wrzynają się w skorupę śniegową, nosy się nikczemnie czerwienią... Aby prędzej!

Istnieją od nas do Kabzic dwie drogi: gościniec i tak zwana „na rzekę.“

— Na rzekę pojedziemy, jaśnie... tego?— pyta Ludwik.

— Można chyba będzie — odpowiadamy zbiorowo, — dużo bowiem jest bliżej.

Jedziemy „na rzekę.“ Po upływie pół godziny, minąwszy długą wieś Biebrzczyn, dojeżdżamy nad brzeg rzeki, słusznie zupełnie dla usprawiedliwienia nazwy drogi istniejącej. Przejechać ją trzeba w bród w tem właśnie

miejscu, gdzie tworzy ona szeroką szyję kilkudziesięcio-morgowego stawu. Powierzchnię wody kryje dość cienka, śniegiem przyprószona błona lodu.

— Pod tym lodem jest woda, pod tą wodą jest... tego... twardy — tłómaczy nam „do wyrozumiałości“ oraz dla odegnania strachu nasz furman.

— A jeśli niema... tego?

— Ale, hale! — powiada dumnie i, powiem nawet, pogardliwie.

Powiedziawszy to dumnie i pogardliwie, puszcza konie ostrożnie z początku, następnie tnie je batem z całej swej furmańskiej siły. Jesteśmy na środku rzeki, zbliżamy się ku przeciwległemu brzegowi, gdy nagle lód, ów drugi, z łoskotem pęka—i naprzód Bohun, a następnie Figlarka wpadają w wodę tak, że widać tylko kleszczyny chomąt i łby; wózek chwieje się na prawo, na lewo, i zwolna, melancholijnie tonie wraz z olbrzymią krą, jaką oberwał. Fontanny wody zaczynają bulkotać przez półkoszki, zalewają miejsca na nogi, przód wózka zanurza się tak, że woda przechodzi przez wierzch...

Dżentlmeni, piśnięcie spazmatyczne wydawszy, wyskakiwać poczynają z zadziwiającą szybkością: m-r Jean skacze na przepływającą krę, z niej usiłuje dostać się na ląd; za jego

przykładem idzie pan Zygmunt i Henryk. Widzę nagle rozpierzchającą się wodę, połę czyjegoś hewloka w czyjejś pięści, dwie zadarte do góry nogi w wysokich kaloszach i czarnych „niezapominajkach,“ czarne wąsiki, ogoloną brodę i roztwarte szeroko usta o cal nad powierzchnią wody...

Oho!

Szczęściem nie topi się żaden dżentlmen,— owszem, wyłażą na brzeg w straszliwych, co prawda, postaciach. Dziwne tam podskakiwania robią na jednej nodze, na dwu, szczególne przykucnienia, biegają po brzegu, już to jak zające, już jak dzikie rumaki, wrzeszczą nadludzko, czasami nawet po prostu wyją. Na brycce pozostaję ja i Ludwik. Stajemy na siedzeniu, które woda podmywa; konie rzucają się, piersiami biją w krawędź lodu, na którym leżą ich pyski... Siedzimy w studni; dokoła jest cembrowina lodu, oddalona od nas o kilka łokci. Woda z dyabelskim szmerem płynie przez wózek; konie narowią się, wskakują jeden drugiemu na grzbiet, łamią dyszel, rwą postronki.

— „Heu! me miserum!“—myślę sobie... Nie mogę już wyskoczyć, ponieważ kry odpłynęły; jeśli zaś nie wyskoczę, to lada chwila wózek się wywróci lub woda wasąg zniesie, nasiąknę w moich ogromnych niedźwiedziach wodą, jak

cukier... Na dobitkę Ludwik zgłupiał najzupełniej: stoi obok mnie na siedzeniu, powtarzając melancholijnie:

— Masz teraz... tego... i tego... — jakby chciał przepowiednię mi określić;—teraz się tu już, jucho jedna, utopisz...

Wieś Biebrzczyn odległą jest od rzeki o jakie pół wiorsty... Na rozpaczliwe beknięcie dżentlmenów i nasze z Ludwikiem ryczenie o pomoc wysuwają się z chałup chłopi, stoją, „mendykują,“ wreszcie rusza ku nam jeden z drągiem, drugi z żerdzią, trzeci z siekierą, z powrozem. Przybiegła ich nad brzeg gromadka; stanęli i znowu „mendykują...“

Czuję, że słabo mi się robi na myśl straszliwą, tę mianowicie, iż pomendykują, podziwują się i pójdą.

Aż oto jeden z gromady zdejmuje kożuch, pasikiem opasuje krótki „spencerek,“ bierze w garść drąg i idzie ku nam...

— I mieszkało między nami — powiada Ludwik, a patrzy na mnie tak, jakby miał chęć mię ucałować.

Idzie chłop, a drągiem w lód bije. Złamał zwierzchnią skorupę, wpadł w wodę po pas, stoi na owym drugim lodzie, podnosi żerdź w górę i bije z całej mocy; co palnie w lód, to chrapnie przeciągle: chcha! — a bije. Rozpierz-

cha się woda, zalewa go całego; ten nic... bije.

— Chce niby krawędź lodu, tamtą „warstwę,“ jaśnie... tego... oberwać — oświeca mię Ludwik,—żeby konie mogły niby tego...

Na nic. Spodnia warstwa drągiem urwać się nie da. Stanął chłop, wodę z twarzy otarł i poczyna rozbijać zwierzchni lód. Potłukł go na drobne kawałki kry i doradził Ludwikowi podciąć konie. Podciął Ludwik, wyskoczyły z głębi wody na twardy lód i stoją nad nami, siedzącymi w dole.

— Ruszcie-no, Ludwik—powiada chłop,—może się wzniesie.

— Co ci się nie ma wznieść, kiedy śnice pod lód... i pokój...

— A no, rżnijcie batem, bo to na nic!

„Rżnie“ batem mój Ludwik, aż woda od wierzgania koni na nas strumieniami leci, lecz wózek podsuwa się tylko bardziej pod lód.

— To nic nie będzie z tego interesu—mówi chłop do mnie;—panie, ja pana wyniesę.

— Alboż mię udźwigniecie? — pytam słodko.

— Hii... — zaśmiał się pogardliwie.—Nie bój się, chudziaku, nic.

Przebaczam chamowi owo „chudziaku,“ ponieważ trzęsie mię jakaś dyabla febra z prze-

rażenia. On tymczasem wbija drąg w dno rzeki, sam staje na skraju lodownika, plecami do mnie odwrócony, na drągu opiera ręce i powiada:

— Skikoj, panie, ino leciuśko.

Stoję, jak kolos rodyjski, na literkach wózka... mam wykonać skok nad głębią wody... A jeśli nie trafię na te plecy szerokie, niedźwiedzie? O, rozpaczy!

— Noze, ma-li!—woła chłop.

— ...Ale nas ode złego...—i hop! Trafiłem! Jestem już na plecach chłopa, obejmuję go za szyję tak serdecznie, tak mocno, jak... chama! Zachwiał się, pochylił się tak, że twarzą dostawał wody, wysapał się, wyprostował i wolno posuwać począł. Rękami oparłszy mu się na ramionach, nogami go w pasie objąwszy, wisiałem, jak marna żaba, wcale nawet nieestetycznie. Woda była mu po pas.

Szedł, nogi po kilka cali posuwając; odgarniał rękami zbitą masę kry, zsiadającą się koło jego nóg. Spodnia warstwa lodu podziurawioną była,—kilka razy noga wpadała mu w przepaść; wtedy stawal i cały dwustofuntowy mój ciężar utrzymywał na jednej nodze, drugą ostrożnie z dziury wydostawał i przyduszonym głosem mówił ze złością:

— Trzymać się ta równo! nie gibotać!

Dziwię się dziś, jakim cudem nie dałem mu wówczas tak zwane „w łeb“ za wyrażone

w tej formie przestrogi,—ale wówczas... byliśmy nad przepaścią, na załamujących się lodach, na usuwającem się oparciu stóp,—byliśmy równi. I była wówczas sekunda taka, że, wśród przejmującego mię do szpiku kości strachu, uwierzyłem, jako mrzonki o równości ucieleśniają się... na załamanych lodach.

Po kwadransie piekielnej pielgrzymki wyniósł mię wreszcie na brzeg suchy, postawił na ziemi, jak worek żyta, i jak dzik sapnął:

— Uhaa!

Rozczuliło mi się serce: wyjąłem rubla (jak Boga kocham!) i dałem mu rubla. Gdy mię pod nogi podjął, a potem stał bez czapki-przypatrywałem mu się z serdeczną jakąś, szczególną, niewypowiedzianą radością: silny, jak słoń, od konia wytrwalszy, a taki dobry nadzwyczajnie, niewypowiedzanie dobry!

Na szerokiej jego brzydkiej twarzy rozlewała się radość (na widok zapewne otrzymanego rubla), — lecz oprócz niej było coś innego jeszcze—duma chamska, ani chrześcijańska, ani wysoka żadna, lecz chłopska „dobroć“—taka: „kiejem dobry, to dobry, i basta!“ Pamiętam, że na sekundę poczułem ku chłopu temu coś takiego, coś... o tyle szczególnego, o ile nieprzyzwoitego.

— Nie zimno wam? — spytałem go czule.

— W cholewy mi się, ścierwa, naloło!— mruknął i poszedł po pozostałych na przeciwnym brzegu dżentlmenów. Przeniósł ich po kolei, tak jak mnie, „na barana.“ Wkrótce poczęli wszyscy trzej dziwnie energicznie „rwać“ ku wsi, na obraz i podobieństwo koników polnych. Ja toczyłem się za nimi w wielkich niedźwiedziach z całą już stanowi memu należną, rzec mogę, powagą.

Gdym doszedł do pierwszej chałupy, należącej właśnie do Pyzika Jacka, wybawcy naszego, zastałem wszystkich trzech dżentlmenów... pod pierzyną.

Leżeli, jak jeden mąż, obok siebie, pozbawieni fraków, niezapominajek, krawatów, koszul i t. d., milczenie ponure, nieszczęściu przynależne, zachowując. Co za ruina fryzur! jaka dewastacya wąsów! Nosy koloru ziemi, szczególniejsze dzwonienie zębami, tragedya w wejrzeniach... Fraki od Chábou suszą się na grzędzie obok sukman, kożuchów i „szmat“ babskich; koszule wygrzewa przed ogniem Pyzikowa; kamaszki szoruje wiechciem chłopak. Usiadłem na skrzyni, malowanej w zielone, niebywałego wyglądu kwiaty, u wezgłowia werka, zdolnego całe pokolenia podtrzymać, i zaprawdę zasmuciłem się: jakżeż to? wyższe społeczeństwa

naszego warstwy w tej postawie, pod pierzyną?...

— Szlachta wchodzi w lud i staje się ludem...—dzwoniąc zębami, wykrztusił zawsze dowcipny pan Henryk.

Z najtragiczniejszego położenia umie on wyczerpnąć coś wesołego.

— Czemuż szwarcówki nie pije, jeśli się staje ludem?—nie otwierając oczu, wydzwonił nasz filozof powiatowy, pełniący jednocześnie obowiązki tegoż powiatu pieczeniarza.

— Macie galicyankę, matka?—pyta pan Jan.

— Któż ja? jaśnie panie.

Chłop, czy baba, ilekroć zaprzeczyć nie może, a twierdząco na pytanie odpowiedzieć nie chce, zada napewno takie „któż ja?“ a namyśla się tymczasem nad odpowiedzią.

— No, wy.

— E, mój ta za tem nie chodzi...

— Chodzi, czy nie chodzi, dawajcie!

Otwarła babina do komory i wyniosła zieloną butelczynę... Dżentlmeni palnęli po kieliszku.

— *Encore une fois!*—powiada filozof.

— *Encore une fois!*—odpowiada chór.

Otucha niejaka wstąpiła w nas wszystkich.

Wchodzi tymczasem Pyzik, zdejmuje czapkę i uśmiecha się. Skromnie usiadł sobie na ławie; woda zeń płynie strumieniem.

— Jagna! — powiada do żony, — dej-no onucki.

— Aj-no, pójdź-że! stoplołeś się, to se cierp...

— Nygus baba! — mruknął do nas poufale, a potem ściągnął buty, wodę z nich wylał, obwinął nogi zmoczonymi gałganami i zabrał się do wyjścia.

— Gdzież wy idziecie, gospodarzu? — zapytaliśmy.

— Wywleczemy a to z furmanem wózek.

— A gdzież reszta tamtych... cha... te!... gospodarzy?

— Poszły, psiakość, do domów. Zmarzły psubraty.

Zaśmiał się i poszedł. Nastała cisza. Pyzikowa suszyła trzecią już z rzędu koszulę, wyżymała spodnie i t. d., przybierając skromną minę. Dżentlmeni, odtajawszy, ducha nawet figlarności nabierać poczęli; mnie tylko ogarniała rozpacz: wieczór nadchodził, nie zobaczę jej...

W chałupie śmierdziały kartofle, kożuchy, buty, pomyje, jakieś tłuszcze, wreszcie specyal-

nie chłopski zapach, siarko-wodór, czy jak się tam nazywa...

Patrzałem leniwie na suchotniczych świętych częstochowskiego pędzla, na ławę z poręczą przy łóżku, na straszliwy piec z kominem, na płową czuprynę chłopaka, ucierającego nos palcem i z niezmiernem przerażeniem wpatrującego się we fraki, wiszące na grzędzie. Sen mię ogarniał — i ogarnął. Drzemałem dość długo. Nagle zbudził mię okrzyk dżentlmenów:

— Jedziemy! — wołali, wdziewając wysuszone ubranie.

— Jakto... jedziemy?

— Jedziemy na imieniny.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

